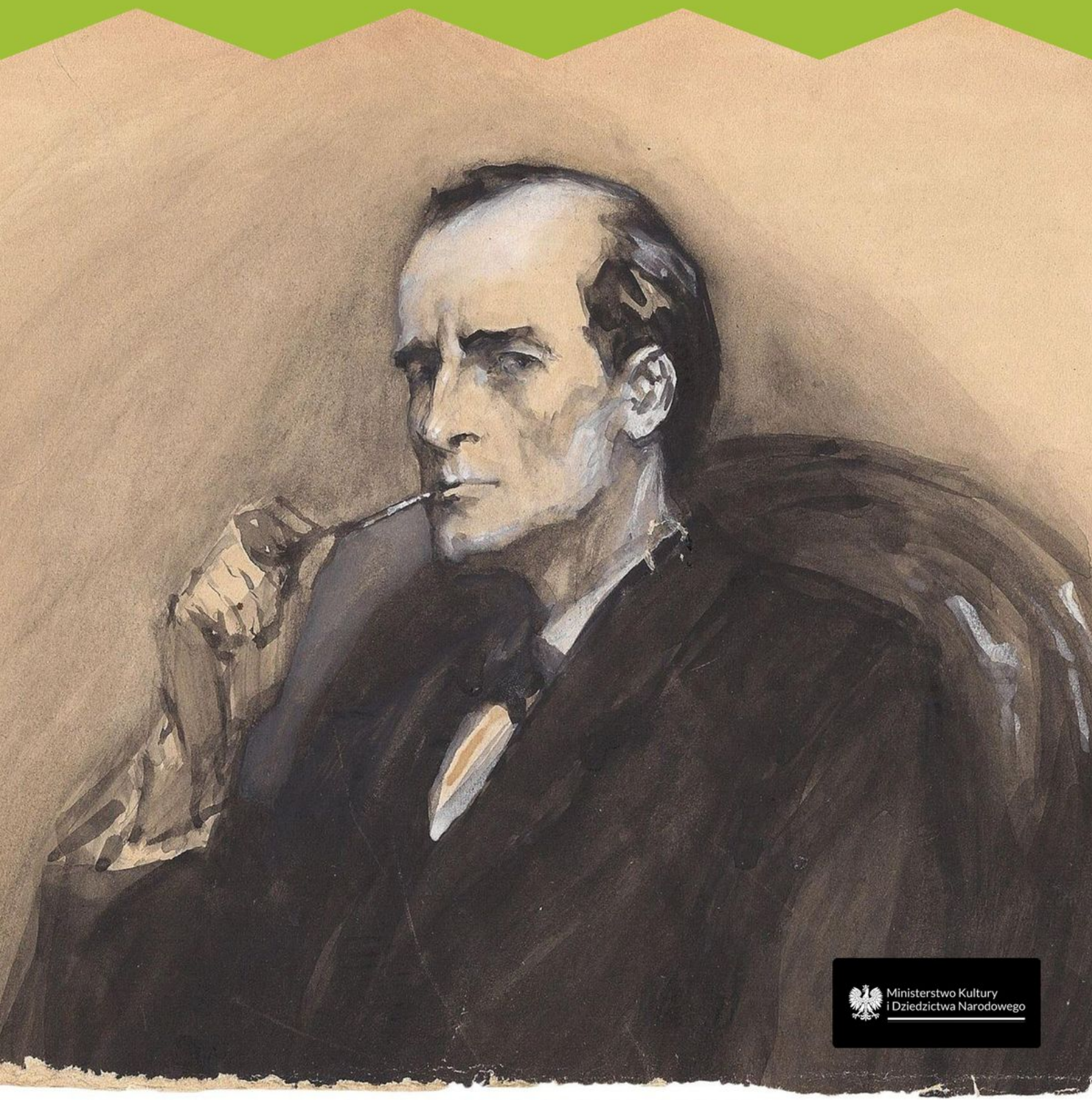


# Stadium w szkartacie





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

---

ARTHUR CONAN DOYLE

# *Studium w szkartacie*

TEUM. E S

# CZEŚĆ I. ZE WSPOMNIEŃ JOHNA H. WATSONA, BYŁEGO LEKARZA ARMII ANGIELSKIEJ

## ROZDZIAŁ I. SHERLOCK HOLMES

W roku 1870 uzyskałem stopień doktora medycyny na uniwersytecie londyńskim i udałem się do Netley na kurs dla chirurgów armii. Uzupełniwszy tam swoje studia medyczne, zostałem mianowany asystentem chirurga w Piątym Pułku Strzelców Northumberlandzkich. Pułk stał wówczas w Indiach i zanim zjechałem na miejsce, wybuchła druga wojna afgańska<sup>1</sup>. Po wylądowaniu w Bombaju dowiedziałem się, że mój pułk przekroczył już wąwozy pograniczne i wtargnął w głąb kraju wrogów. Wraz z gronem oficerów, którzy znajdowali się w tym samym co ja położeniu, wyruszyliśmy w dalszą drogę i przybyliśmy bez przygód do Kandaharu<sup>2</sup>, gdzie zastałem swój pułk i objąłem od razu swoje obowiązki.

Wojna przyniosła niejednemu zaszczyty, mnie zaś tylko niedolę.

Przeniesiony ze swojej brygady do oddziału Berkshire'ów, brałem udział w nieszczonej bitwie pod Maiwandem<sup>3</sup>. Tam kula strzaskała mi obojczyk i zadrasnęła arterię. Byłbym niechybnie wpadł w ręce krwiożerczych Ghazi<sup>4</sup>, gdyby nie przywiązanie i odwaga Murraya, mojego ordynansa, który pochwycił mnie, rzucił na grzbiet konia i dowiózł tak do szeregów brytyjskich. Wycieńczonego bólem, osłabionego dotkliwymi niewygodami, wysłano mnie wraz z licznym gronem rannych do szpitala głównego w Peszawarze<sup>5</sup>. Tu zacząłem wkrótce odzyskiwać siły i poprawiłem się już o tyle, że mogłem chodzić po salach, a nawet wygrzewać się na słońcu, gdy powaliła mnie znowu gorączka tyfoidalna, ta plaga naszych posiadłości indyjskich. Przez kilka miesięcy walczyłem ze śmiercią, a gdy nareszcie niebezpieczeństwo minęło i zaczęła się rekonwalescencja, byłem tak wychudzony i słaby, że konsylium lekarskie orzekło, iż każdy dzień zwłoki jest groźny i należy niezwłocznie odesłać mnie do Anglii. Wsiadłem tedy na okręt „Orontes” i w miesiąc później wylądowałem w Plymouth<sup>6</sup>, mając zdrowie bezpowrotnie zrujnowane, lecz zopatrzone w zamian w dziewięćmiesięczny urlop. Ojcowski rząd pozwolił mi spędzić ten czas na usiłowaniach zmierzających do odzyskania zdrowia.

Nie miałem w Anglii ani krewnych, ani własnego domu, byłem zatem wolny jak ptak — albo raczej tak wolny, jak może być człowiek mający do wydania dziennie jedenaście szylingów<sup>7</sup> i sześć pensów. W tych warunkach udałem się oczywiście do Londynu, tego wielkiego ogniska, do którego, gnany nieprzepartą przyciągającą siłą, dąży z całego imperium brytyjskiego tłum próżniaków bez zajęcia i określonego celu w życiu.

Przez krótki czas mieszkałem w małym hotelu na Strandzie<sup>8</sup>, prowadząc życie jednostajne, beczynne i wydając znacznie więcej pieniędzy, niż mnie było stać na to. Stan moich finansów stał się niebawem tak niepokojący, że uprzytomniłem sobie, iż należało albo opuścić stolicę i osiaść gdzieś na wsi, albo zmienić najzupełniej tryb życia. Wybrawszy tę ostatnią alternatywę, postanowiłem wynieść się z hotelu i poszukać mieszkania mniej świetnego na pozór i mniej kosztownego.

Tego samego dnia, w którym doszedłem do tego wniosku, stałem w barze „Criterion”, gdy nagle uczułem czyjąś dłoń na swym ramieniu — odwróciłem się i ujrzałem młodego

<sup>1</sup>druga wojna brytyjsko-afgańska (1878–1880) — konflikt zbrojny między Wielką Brytanią a Afganistanem, zakończony wycofaniem wojsk brytyjskich i zaakceptowaniem przez stronę afgańską brytyjskich interesów geopolitycznych w regionie. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>Kandahar — miasto w południowym Afganistanie, stolica prowincji; zajęte w 1878 przez siły brytyjsko-indyjskie podczas drugiej wojny brytyjsko-afgańskiej. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>bitwa pod Maiwandem (27 lipca 1880) — starcie zbrojne w trakcie drugiej wojny brytyjsko-afgańskiej, największe zwycięstwo Afgańczyków w tej wojnie. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>ghazi (ar.) — tytuł nadawany w islamie wojownikom i wodzom. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>Peszawar — miasto w północnym Pakistanie; w XIX w. główna kwatera brytyjska na pograniczu brytyjskich posiadłości w Indiach i Afganistanu. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>Plymouth — miasto portowe w pld.-zach. Anglii, nad kanałem La Manche. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>szyling — dawna angielska jednostka monetarna; szyling dzielił się na 12 pensów, 20 szylingów tworzyło funt. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>Strand — ulica w środkowej części Londynu. [przypis edytorski]



Stamforda, który był moim pomocnikiem w szpitalu Barts<sup>9</sup>. Widok znajomej twarzy jest bardzo miły dla człowieka samotnego wśród wielkomięjskiego gwaru. Stamford nie był moim bliskim przyjacielem, ale teraz powitałem go z uniesieniem, a on nawzajem był, jak się zdawało, zachwycony spotkaniem. W radosnym zapale zaprosiłem go na śniadanie do Holborna i po chwili wsiadaliśmy do dorożki.

— Co się z panem działo, Watsonie? — zapytał Stamford z nieskrywanym zdziwieniem, gdy jechaliśmy gwarnymi ulicami londyńskimi. — Wychudł pan jak szczapa i poczerział jak święta ziemia.

Opowiedziałem mu w krótkich słowach swoje przygody i skończyłem właśnie, gdy stanęliśmy u celu.

— Biedaku — rzekł tonem współczucia. — A cóż pan teraz robi?

— Szukam mieszkania — odparłem. — Usiłuję rozstrzygnąć zagadnienie, czy możliwe jest znaleźć wygodne lokum za jakąś rozsądną cenę.

— Szczególna rzecz — zauważył mój towarzysz — już drugi człowiek dzisiaj porusza ze mną ten sam temat.

— A kto był pierwszy? — spytałem.

— Pewien jegomość pracujący w laboratorium chemicznym w szpitalu. Żalił się dziś rano, że nie może znaleźć nikogo, kto by chciał wziąć z nim do spółki mieszkanie, podobno bardzo ładne, ale za drogie dla niego.

— Ach, Boże! — zawołałem. — Jeśli istotnie pragnie znaleźć kogoś, kto by dzielił z nim mieszkanie i komorne, służę mu. Wolę mieć wspólne mieszkanie aniżeli żyć samotnie.

Młody Stamford spojrział na mnie szczególnym wzrokiem, popijając wino.

— Nie zna pan jeszcze Sherlocka Holmesa — rzekł. — Może nie będzie go pan chciał za stałego współlokatora.

— Dlaczego? Co ma pan mu do zarzucenia?

— O, nie mam mu nic do zarzucenia. Ale to poniekąd dziwak... Entuzjasta w pewnych dziedzinach nauki. O ile jednak go znam, człowiek bardzo przyzwoity.

— Czy nie pytał go pan, jaki zawód zamierza obrać?

— Nie. Nie należy do ludzi, z których można by coś wydobyć, choć z drugiej strony potrafi się wywnętrzyć, gdy mu przyjdzie fantazja.

— Rad bym się z nim spotkać — rzekłem. — Jeśli mam mieć współlokatora, wolałbym, żeby to był człowiek pracowity i spokojnych przyzwyczajęń. Nie mam jeszcze sił na znoszenie hałasu lub wzruszeń. Miałem i jednego, i drugiego tyle w Afganistanie, że mi to starczy na resztę mego życia. Kiedy mógłbym się spotkać z pana znajomym?

— Jest teraz na pewno w laboratorium — odparł mój towarzysz. — Albo nie przychodzi tygodniami, albo też pracuje od rana do wieczora. Jeśli chce pan, pojedziemy tam po śniadaniu.

— I owszem — odparłem, po czym rozmowa weszła na inne tory.

W drodze do szpitala, po wyjściu od Holborna, Stamford opowiedział mi jeszcze kilka szczegółów o człowieku, z którym miałem mieszkać.

— Tylko niech pan nie ma do mnie żalu, jeśli się pan z nim nie porozumie — mówił. — Znam go jedynie z laboratorium. Sam wpadł pan na myśl wspólnego mieszkania z nim, proszę nie czynić mi za nic odpowiedziałnym.

— Jeśli wspólne pożycie okaże się dla nas niemożliwe, nietrudno nam będzie się rozstać — odrzekłem. — Zdaje mi się, Stamfordzie — dodałem, patrząc bystro na swego towarzysza — że są jakieś specjalne powody, aby tak umywać ręce od wszystkiego, co by mogło zająć. Czy ten człowiek ma taki gwałtowny temperament, że należy go się obawiać? Niech pan nie będzie taki skryty i powie, co ma na myśli.

— Nielatwa to rzecz wypowiedzieć to, co jest nieuchwytnie — odrzekł ze śmiechem. — Holmes jest, jak dla mnie, za wielkim fanatykiem nauki... Zdaje mi się, że skutkiem tego zatracił wszelką wrażliwość. Wyobrażam sobie, że byłby zdolny zaaplikować przyjacielowi szczyptę świeżo odkrytej trucizny roślinnej, i to bynajmniej nie przez niegodziwość, ale po prostu pod wpływem swego zmysłu badawczego, dlatego aby móc zdać

<sup>9</sup>Barts — potoczna angielska nazwa londyńskiego szpitala św. Bartłomieja (St Bartholomew's Hospital). [przypis edytorski]

sobie dokładnie sprawę z tego, jak ta trucizna działa. Trzeba jednak oddać mu sprawiedliwość i zaznaczyć, że sam zażyłby trucizny z nie mniejszą skwapliwością. Jest to człowiek mający wprost namiętność do wiedzy ścisłej i dokładnej.

— I słusznie, moim zdaniem.

— Tak, ale można posunąć tę zaletę do przesady. Gdy badacz dochodzi do tego, że obija kijem na stole anatomicznym poddawanego sekcji trupa, może się to wydawać co najmniej dziwne.

— Obija trupa?

— Tak, dla sprawdzenia, o ile ślady ciosów występują po śmierci. Widziałem to na własne oczy.

— A jednak mówi pan, że nie jest studentem medycyny?

— Nie. Bóg jeden wie, jaki jest cel jego studiów. Oto jesteśmy na miejscu i niebawem będzie pan mógł sam wyrobić sobie opinię o nim.

Gdy to mówił, skręciliśmy w wąską uliczkę i weszliśmy małymi bocznymi drzwiami, prowadzącymi do jednego ze skrzydeł wielkiego szpitala. Znałem tu wszystkie zakątki i nie potrzebowałem przewodnika, idąc po zimnych schodach kamiennych i dążąc długim korytarzem o białych, pobielonych wapnem ścianach, na który wychodziły drzwi pomalowane brązową farbą. Na samym prawie końcu korytarza skręciliśmy w nisko sklepione odgałęzienie, prowadzące do laboratorium chemicznego.

Był to pokój bardzo obszerny, wysoki, zastawiony niezliczonymi butelkami i fiolkami. Szerokie, niskie stoły poustawiane były we wszystkich kierunkach, a na nich wśród retort i probówek jaśniały błękitnawe płomyki małych palników Bunsena i rzucały migoczące blaski.

W sali tej, prawie na samym końcu, stał tylko jeden student, pochylony nad stołem i zatopiony w swej pracy. Na odgłos naszych kroków obejrzał się i z radosnym okrzykiem podbiegł ku nam, trzymając probówkę w ręku.

— Mam go! Mam go! — zawołał, zwracając się do mego towarzysza. — Znalazłem jedyny odczynnik, który osadza hemoglobinę! Jedyny!

Gdyby odkrył kopalnię złota, oblicze jego nie mogłoby być rozpromienione większą radością.

— Doktor Watson, pan Sherlock Holmes — rzekł Stamford, przedstawiając nas.

— Dzień dobry panu, panie doktorze! — powiedział Holmes przyjaźnie i uściśnął moją dłoń z siłą, o jaką nigdy bym go nie posadzał. — Widzę, że pan był w Afganistanie?

— A skąd pan to wie? — spytałem zdumiony.

— Mniejsza o to — rzekł, uśmiechając się z zadowoleniem. — W tej chwili najważniejszą sprawą jest hemoglobina i jej odczynnik. Nie wątpię, że panowie pojną całą doniosłość mojego odkrycia.

— Jest niewątpliwie ważne dla nauki chemii — odparłem — ale z punktu widzenia praktycznego...

— Jak to, panie doktorze, ależ od wielu lat nie dokonano odkrycia, które miałyby takie praktyczne znaczenie dla celów sądowo-lekarskich! Czyż pan nie widzi, że jest to niezawodny sposób rozpoznawania plam pochodzących od krwi? Proszę, niech pan podejście do stołu! — i w zapale chwycił mnie za rękaw i pociągnął do stołu, przy którym pracował. — Weźmy trochę świeżej krwi — rzekł, ukłul się w palec lancetem i kropkę krwi, która wytrysła, zebrał w małą rurkę. — Teraz wlewam tę kropelkę krwi do litra wody. Jak pan widzi, woda pozostaje zupełnie czysta. Stosunek krwi nie może przewyższać jednej milionowej części. Nie wątpię wszakże, iż będziemy mogli otrzymać reakcję charakterystyczną.

Mówiąc to, wrzucił do naczynia z wodą kilka białych kryształów, a potem dodał parę kropel przezroczystego płynu. W jednej chwili zawartość naczynia przybrała ciemną barwę mahoniową, a na dnie naczynia szklanego ukazał się brunatny osad.

— Ha! ha! — zawołał Holmes, klaszcząc w ręce jak dziecko zachwycone nową zabawką. — I cóż pan na to?

— Zdaje się, istotnie, że to odczynnik bardzo czuły — zauważyłem.

Nauka

— Świetny! Znakomity! Dawniej przy pomocy gwajakolu<sup>10</sup> można było otrzymać z trudnością jakie takie wyniki, i to jeszcze bardzo niepewne. Rozbiór mikroskopowy krwi nie jest bynajmniej ściślejszy, a nie ma wprost żadnej wartości, jeśli plamy mają kilka godzin. Tymczasem mój odczynnik działa równie dobrze bez względu na to, czy krew jest świeża, czy stara. Gdyby był znany wcześniej, setki ludzi, spacerujących swobodnie po kuli ziemskiej, byłoby już dawno ukaranych za popełnione przestępstwa.

— Istotnie — szepnąłem.

— Jest to punkt główny wszystkich niemal spraw kryminalnych. Często bywa, że podejrzenie pada na człowieka w kilka miesięcy po spełnieniu zbrodni. Eksperci badają tedy jego bieliznę albo ubranie i znajdują brunatne plamy. Co to za plamy? Od krwi, błota, rdzy czy soku owocowego? Pytanie to wprowadziło w niemały kłopot niejednego biegłego, a dlaczego? Dlatego, że nie było niezawodnego odczynnika. Teraz mamy odczynnik Sherlocka Holmesa i wszelka niepewność jest odtąd wyłączona.

Oczy jego iskrzyły się, gdy mówił, a skończywszy, przyłożył dłoń do serca i złożył ukłon, jak gdyby dziękował jakiemuś urojonemu, oklaskującemu go tłumowi.

— Należą się panu gratulacje — rzekłem, zdziwiony jego uniesieniem.

— Ot, na przykład sprawa von Bischoffa we Frankfurcie w zeszłym roku. Byłby niewątpliwie powieszony, gdyby ten odczynnik już istniał. A Mason z Bradfordu, a słynny Müller, a Legévre z Montpellier, albo Samson z Nowego Orleanu? Mógłbym wymienić cały szereg spraw, w których mój odczynnik odegrałby decydującą rolę.

— Ależ pan jest chodzącym kalendarzem zbrodni — wtrącił Stamford ze śmiechem. — Mógłby pan wydawać pismo pod tytułem: „Nowiny policyjne z przeszłości”.

— Ręczę panu, że byłyby bardzo zajmujące — odparł Sherlock Holmes, przylepiając plasterkę na ranę, zrobioną w palcu lancetem. — Muszę być ostrożny — ciągnął dalej, zwracając się do mnie z uśmiechem i pokazał mi dłoń pozalepianą w różnych miejscach plasterkami i pełną plam od silnych kwasów.

— Przyszliśmy tu w pewnej sprawie — rzekł wreszcie Stamford, siadając na wysokim trójnogu i podsuwając mi nogą drugi. — Ten oto mój przyjaciel szuka mieszkania, a że pan skarżył się, iż nie może znaleźć współlokatora. Pomyślałem sobie, że dobrze by było was skojarzyć.

Sherlock Holmes przyjął z zapalem myśl wspólnego zamieszkania ze mną.

— Mam na widoku lokal przy Baker Street — rzekł. — Jak stworzony dla nas. Mam nadzieję, że panu nie przeszkadza woń silnego tytoniu?

— Sam palę tylko tytoń „okrętowy” — odparłem.

— Doskonale. Uprzedzam pana, że zawsze pełno u mnie różnych chemikaliów i że niekiedy robię doświadczenia. Czy to panu nie będzie przeszkadzało?

— Bynajmniej.

— Chwileczkę... niech się zastanowię nad tym, jakie mam jeszcze wady niemiłe dla współlokatora... A!... miewam napady czarnej melancholii, a wówczas całymi dniami nie otwieram ust. Proszę wtedy nie przypuszczać, że dąsam się na pana. Proszę mnie zostawić w spokoju i niebawem powrócę do równowagi. A teraz na pana kolej. Cóż mi pan powie o sobie? Uważam bowiem, że skoro dwaj ludzie mają razem zamieszkać, lepiej jest, aby z góry uprzedzili się wzajemnie o swoich wadach.

Roześmiałem się z tego badania.

— Mam szczeniaka, brytana — odrzekłem — protestuję przeciw wszelkim hałasom, gdyż nerwy moje są bardzo rozstrojone, wstaję o rozmaitych niemożliwych godzinach i jestem niesłychanie leniwy. Posiadam jeszcze całą serię innych wad, gdy jestem zdrów, ale na razie te są najważniejsze.

— Czy grę na skrzypcach włącza pan do kategorii hałasów? — zapytał z pewnym niepokojem.

— Zależy... — odparłem. — Dobra gra na skrzypcach jest rozkoszą dla bogów, gdy tymczasem rzępolenie...

— O! to znakomicie! — zawołał wesoło. — Zdaje mi się, że możemy uważać sprawę za ubitą... to jest, jeśli lokal spodoba się panu.

— Kiedy go obejrzymy?

<sup>10</sup>gwajakol — organiczny związek chemiczny z grupy fenoli. [przypis edytorski]

— Niech pan wstąpi po mnie tutaj jutro w południe, pójdziemy razem — odparł.  
— Doskonale... w południe, punktualnie — rzekłem, ściskając dłoń Holmesa.  
Pozostawiliśmy go wśród retort i butelek i skierowaliśmy się w stronę mojego hotelu.  
— Ale, ale — rzekłem nagle, zatrzymując się i zwracając się do Stamforda — skąd on, u licha, wiedział, że powróciłem z Afganistanu?  
Mój towarzysz uśmiechnął się zagadkowo.  
— Jest to właśnie jeden z jego osobliwych przymiotów — odrzekł. — Niemalø ludzi już łamało sobie głowę nad tym, w jaki sposób Holmes odgaduje rozmaite rzeczy.  
— Oho! A więc jest w tym jakaś tajemnica? — zawołałem, zacierając dłonie. — To zaczyna być zajmujące. Jestem panu bardzo wdzieczny za tę znajomość. Najwłaściwszym sposobem studiowania ludzkości jest stopniowe studiowanie różnych jednostek.  
— A więc niech pan przestudiuje tę jednostkę — rzekł Stamford, żegnając się ze mną. — Uprzedzam tylko, że będzie to zadanie niełatwe do rozwiązania. Założę się, że niebawem on będzie wiedział o panu więcej niż pan o nim. Do widzenia!  
— Do widzenia! — odparłem i ruszyłem w dalszą drogę do hotelu, na serio zaintrygowany osobą mojego nowego znajomego.

## ROZDZIAŁ II. SZTUKA DEDUKCJI

Następnego dnia spotkaliśmy się o umówionej godzinie i obejrzelśmy mieszkanie przy Baker Street 221 b, o którym mówił Holmes. Składało się z dwóch wygodnych sypialni i z jednej obszernej, elegancko umeblowanej bawialni o dwóch dużych oknach. Lokal był pod każdym względem ponętny, a cena wydawała się tak umiarkowana, skoro mieliśmy ją płacić we dwóch, że dobiliśmy targu na miejscu. Ponieważ mieszkanie było wolne, przeto tego samego wieczoru przeniosłem rzeczy z hotelu, a następnego dnia rano przyjechał Sherlock Holmes ze skrzyniami i kuframi. Przez kilka dni byliśmy gorliwie zajęci odpakowywaniem, ustawianiem i układaniem naszych rzeczy. Po czym, ukończywszy pracę, zaczęliśmy myśleć o sprawach gospodarczych i przyzwyczajając się stopniowo do nowego otoczenia.

Holmes nie był bynajmniej człowiekiem trudnym w pożyciu. Spokojny w obejściu, prowadził życie systematyczne. Rzadko kiedy kładł się spać po dziesiątej, a z rana, zanim ja wstałem, on już, zjadłszy śniadanie, wychodził. Niekiedy spędzał całe dni w pracowni chemicznej, innym razem w sali sekcyjnej, a bywało, że wybierał się na długie przechadzki po najniebezpieczniejszych zaułkach miasta. Trudno sobie wyobrazić całą siłę jego energii, gdy był w okresie czynu; ale od czasu do czasu przychodziła reakcja, a wówczas całymi dniami leżał na kanapie w bawialni, bez słowa i bez ruchu prawie. W chwilach podobnych zauważyłem tak senny, bezmyślny wyraz w jego oczach, że byłbym niewątpliwie posądził go o używanie jakiegoś narkotyku, gdyby nie jego wzorowa wstrzemięźliwość i przykładowy tryb życia.

Mijały tygodnie, a ciekawość moja wzmagala się stopniowo — jaki był właściwie zawód mojego współlokatora, jakie miał cele w życiu? Zresztą sama jego postać mogła zwrócić uwagę najobojętniejszego obserwatora. Wysokiego wzrostu, miał przeszło sześć stóp<sup>11</sup>, a był tak szczupły, że wydawał się jeszcze wyższy. Oczy miał bystre, przenikliwe, tylko nie podczas owych napadów odrętwienia, o których wspominałem. Nos cienki, zakrzywiony jak dziób drapieżnego ptaka, nadawał twarzy jego wyraz stanowczy i czujny. Podbródek, wystający i kwadratowy, był również cechą charakterystyczną człowieka silnej woli. Ręce miał zawsze poplamione atramentem i poparzone gryzącymi kwasami, przy tym posiadał nadzwyczajną zwinność palców i lekki dotyk, o czym przekonałem się niejednokrotnie, patrząc, jak manipulował kruchymi narzędziami fizycznymi.

Wyznając szczerze, że człowiek ten intrygował mnie niesłychanie i że wielokrotnie usiłowałem przeniknąć tajemnicę, jaką się otaczał. Należy uprzytomnić sobie, że życie moje było beczynne i niewiele rzeczy zajmowało moją uwagę.

Zdrowie pozwalało mi wychodzić tylko podczas wyjątkowo sprzyjającej pogody, nie miałem znajomych, którzy przysliby mi odwiedzić i przerwać jednostajność takiego uciążliwego trybu życia. Wobec takich okoliczności schwyciłem skwapliwie sposobność zapelnienia czymkolwiek czasu i snułem najrozmaitsze domysły co do swego towarzysza.

<sup>11</sup>stopa — anglosaska miara długości wynosząca ok. 30,5 cm; sześć stóp to ok. 180 cm. [przypis edytorski]

Medycyny nie studiował. Potwierdził sam, w odpowiedzi na zapytanie o to, co mi o nim w tym względzie powiedział Stamford. Książki, które czytywał, nie były ujęte w jakiś system, pozwalający mu czynić postępy w pewnej określonej gałęzi wiedzy lub utorować specjalną ścieżkę do świata nauki. Jednakże jego zapał do pewnych studiów był istotnie niezwykły, a jego wiadomości, wychodzące poza obręb utartych granic, były tak obszerne i dokładne, że uwagi jego wprawiały mnie nieraz w zdumienie. Oczywiście — myślałem — nikt nie będzie pracował tak usilnie ani usiłował zdobyć tak dokładnych wiadomości w pewnych kierunkach, jeśli nie ma na widoku jakiegoś określonego celu. Nikt nie będzie obciążał umysłu przeróżnymi podrzędnymi wiadomościami, nie mając po temu ważnych powodów.

Jego ignorancja w pewnych sprawach była równie zdumiewająca, jak jego wiedza w innych. Z dziedziny literatury współczesnej, filozofii i polityki wiedział tyle co nic. Gdy przytoczyłem pewnego razu Tomasza Carlyle'a<sup>12</sup>, Holmes zapytał mnie najnaiwniej w świecie, kto to taki i co on zrobił. Zdumienie moje wszakże dosięgło szczytu, gdy wykryłem przypadkiem, że nie miał pojęcia o teorii Kopernika ani o Układzie Słonecznym. Fakt, że w końcu XIX wieku istniał człowiek cywilizowany, który nie wiedział, że ziemia obraca się dokoła słońca, wydawał mi się tak niesłychany, że nie mogłem wprost temu uwierzyć.

— Jest pan, jak widzę, zdziwiony — rzekł, uśmiechając się na widok mego osłupienia. — Ale teraz, skoro już wiem, dołożę wszelkich starań, żeby o tym zapomnieć.

— Żeby zapomnieć?

— Widzi pan — objaśniał — mózg człowieka jest dla mnie niby strych, który każdy winien umeblować według własnego wyboru. Głupiec zapcha go tandetą, jaka mu się nawinie pod rękę, tak że na wiadomości, które mógłby mu przynieść istotny pożytek, nie będzie miejsca albo w najlepszym razie znajdą się w takim chaosie wraz z różnymi rzeczami, że gdy następczy mu się sposobność skorzystania z nich, już ich wcale nie zdoła odnaleźć. Natomiast pracownik zapobiegliwy jest bardzo ostrożny w zapelnianiu swego strychu mózgowego. Umieści w nim tylko te narzędzia, które mogą mu być użyteczne w pracy, ale ma ich dobór obfity i wzorowo uporządkowany. Błędne jest mniemanie, że ta mała izdebka ma rozciągliwe ściany, które można dowolnie rozszerzyć. Niech mi pan wierzy, iż nadchodzi czas, kiedy w zamian za każdy nowy dodatek do swej wiedzy człowiek zapomina coś, o czym wiedział poprzednio. Stąd też niesłychanie ważne jest, aby fakty niepotrzebne nie wypierały z miejsca pożytecznych.

— Ależ Układ Słoneczny! — zaprotestowałem.

— A mnie cóż on obchodzi — przerwał niecierpliwie. — Powiada pan, że obracamy się naokoło słońca. Gdybyśmy się obracali dokoła księżycy nie zrobiłoby mi to najmniejszej różnicy i nie miałoby najmniejszego wpływu na moje prace.

Zamierzałem spytać go, jakie właściwie są te prace, ale coś nieuchwytnego w jego zachowaniu wskazało mi, że pytanie takie byłoby na razie niewłaściwe. Gdy wyszedł, zacząłem się zastanawiać nad tą krótką rozmową i wysuwać z niej wnioski. Holmes powiedział, że nie stara się o nabycie wiadomości nie dotyczących jego celu. A zatem wszystkie te, które posiada, są mu pożyteczne. Wyliczyłem sobie w myśli wszystkie przedmioty, z którymi wydawał mi się wyjątkowo dobrze obznajmiony. Wziąłem nawet ołówek i spisałem je, a gdym skończył, nie mogłem się powstrzymać od uśmiechu na widok dokumentu, jaki sporządziłem. Brzmiał, jak następuje:

Streszczenie wiedzy Sherlocka Holmesa

1. Literatura — nieznanostwo zupełna.
2. Filozofia — nieznanostwo zupełna.
3. Astronomia — nieznanostwo zupełna.
4. Polityka — znajomość mierna.
5. Botanika — wiadomości nierówne. Obznajmiony doskonale ze wszystkim co dotyczy belladony, opium i trucizn w ogóle. Nie ma pojęcia o ogrodnictwie praktycznym.

<sup>12</sup>Carlyle, Thomas (1795–1881) — szkocki historyk i filozof historii, popularyzator i jeden z twórców historiozofii zwanej heroizmem, w myśl której historię tworzą tylko wybitni ludzie; wzbudzał kontrowersje jako społeczny komentator i miał duży wpływ na myśl pravicową w epoce wiktoriańskiej. [przypis edytorski]



6. Geologia — wiadomości praktyczne, lecz ograniczone. Odróżnia od pierwszego rzutu oka różne gatunki gruntu. Po powrocie z przechadzek pokazywał mi niejednokrotnie plamy na spodniach i objaśniał, jak po barwie i składzie poznać, z jakiej dzielnicy Londynu pochodzi każda plama.
7. Chemia — wiadomości bardzo gruntowne.
8. Anatomia — wiadomości dokładne, ale niesystematyczne.
9. Literatura sensacyjna — znajomość niesłychana. Zdaje się, że wie o każdym szczególnie każdej zbrodni popełnionej w ciągu wieku.
10. Gra dobrze na skrzypcach.
11. Jest wyśmienitym bokserem, fechtuje się świetnie.
12. Zna dobrze przepisy kodeksu brytyjskiego.

Ale zaledwie skończyłem ten spis, ze złością wrzuciłem go w ogień.

„Zamiast męczyć się nad tym — pomyślałem — do czego może prowadzić taki zbiór przeróżnych wiadomości i jakiego jest rodzaju zawód, w którym się mogą przydać, lepiej od razu zrezygnować”.

Wspomniałem, że Holmes grał dobrze na skrzypcach. Miał istotnie duży talent, ale objawiał go w sposób równie ekscentryczny, jak wszystkie inne wiadomości. Wiedziałem dobrze, że grał wprawnie utwory niełatwe, gdyż na moje prośby grywał mi pieśni Mendelssohna<sup>13</sup> i inne sławne kompozycje. Gdy wszakże brał skrzypce z własnego popędu, rzadko kiedy grał jak się należy. Siedział najczęściej wyciągnięty w fotelu, zamykał oczy i brzdąkał po strunach skrzypiec, które kładł na kolanach. Niekiedy wydobywał dźwięki łagodne i smętne, niekiedy struny rozbrzmiewały wesoło, energicznie. Najwidoczniej odpowiadał w ten sposób na swoje najskrytsze myśli; ale czy ta muzyka miała na celu podniecić jego wyobraźnię, czy też wynikała z chwilowego kaprysu — nie potrafię powiedzieć.

Zbuntowałbym się niechybnie przeciw tym denerwującym popisom, gdyby nie to, że zazwyczaj kończył rżepolenie odegraniem całego szeregu moich ulubionych utworów, chcąc tym niewątpliwie wynagrodzić mi owo wystawienie na próbę mojej cierpliwości.

Przez pierwszy tydzień nikt nas nie odwiedził i zacząłem przypuszczać, że mój współlokator jest człowiekiem równie osamotnionym jak ja. Stopniowo jednak przekonałem się, że ma dużo znajomych, i to we wręcz przeciwnych sferach towarzyskich. Zauważyłem między innymi niskiego, szczupłego mężczyznę, o bladej twarzy, czarnym, przeszywającym oku, którego głowa przypominała szczególnym kształtem łeb szczura. Przychodził dwa, trzy razy na tydzień, a Holmes przedstawił mi go jako pana Lestrade’a.

Pewnego ranka przysła młoda, wytwornie ubrana dziewczyna i siedziała u Holmesa przeszło pół godziny. Tego samego dnia po południu zjawił się siwy jegomość w wytartym ubraniu, który wyglądał na Żyda-handlarza i wydawał mi się bardzo wzburzony. Niezwłocznie prawie po nim ukazała się stara kobieta w podartych trzewikach. Innym razem jakiś stary, siwowłosy pan miał naradę z moim współlokatorem, a nazajutrz przyszedł urzędnik kolejowy, którego poznałem po mundurze. Ilekroć zjawiał się taki dziwny gość, Sherlock Holmes prosił mnie, abym mu pozwolił korzystać z bawialni, a ja wówczas zamykałem się w swojej sypialni. Tłumaczył się zawsze i przeproszał mnie za to. „Ten pokój — mówił — musi mi służyć za biuro; ci wszyscy ludzie to moi klienci”. Byłbym znów mógł skorzystać z tej sposobności i zapytać go znieścacka, ale wrodzona delikatność powstrzymała mnie od zmuszenia go do zwierzeń. Nadto z czasem zacząłem przypuszczać, że Holmes ma jakieś specjalne powody do pomijania milczeniem swego właściwego zajęcia; niebawem wszakże sam wyprowadził mnie z błędu.

Dnia 4 marca — mam poważne powody pamiętać dokładnie tę datę — wstałem nieco wcześniej niż zwykle i zastałem Sherlocka Holmesa jeszcze przy śniadaniu. Nasza gosposia tak przywykła do mojego późnego wstawania, że na stole nie było jeszcze narkrycia dla mnie ani też kawa dla mnie nie była jeszcze przygotowana. Z niedorzeczną niecierpliwością, właściwą naturze ludzkiej, zadzwoniłem i suchym tonem oznajmiłem gosposy, że jestem ubrany. Po czym wziąłem jakieś czasopismo ze stołu i zabrałem

<sup>13</sup>Mendelssohn-Bartholdy, Felix (1809–1847) — niemiecki kompozytor, pianista i dyrygent okresu romantyzmu. [przypis edytorski]

się do przerzucania go dla zabicia czasu, gdy mój towarzysz spożywał w milczeniu swoje grzanki. Jeden z artykułów był zaznaczony ołówkiem; oczywiście, zacząłem go czytać.

Pretensjonalny nieco tytuł artykułu brzmiał: „Księga życia”, a autor usiłował w nim wykazać, jak wielką korzyść może osiągnąć człowiek z dokładnego i systematycznego obserwowania powszednich wydarzeń. Artykuł wydał mi się szczególną mieszaniną bystrości i głupoty.

Rozumowanie było ściśle, ale wnioski, jak dla mnie, zbyt naciągnięte i przesadne. Autor utrzymywał, że chwilowy wyraz twarzy, skurcz mięśnia lub błysk oka wystarczy, aby zdradzić najtajniejsze myśli człowieka. Człowiek przyzwyczajony do obserwowania i analizy nie mógł się mylić, zdaniem autora, i musiał wysuwać wnioski równie matematyczne jak Euklides<sup>14</sup> w swych teoriach. Wyniki metody wydają się niewtajemniczonym tak zdumiewające, że dopóki się nie zaznajomi ze sposobem jej stosowania, może je uważać za jakieś czarnoksiężskie zjawiska.

„Człowiek obdarzony umysłem prawdziwie logicznym — pisał autor — może z kropli wody wywieść możliwość istnienia Atlantyku lub Niagary, choć o nich poprzednio nic nie wiedział. Tak to życie człowieka jest wielkim łańcuchem, a dość znać jedno jego ogniwo, aby je umieć połączyć w całość z innymi. Podobnie jak wszystkie rodzaje wiedzy i nauk dedukcji i analizy można również zdobyć drogą długich i cierpliwych studiów, ale życie nie jest dość długie, aby śmiertelnik mógł osiągnąć w tym kierunku najwyższą doskonałość. Zarówno z punktu widzenia moralnego, jak i umysłowego przedmiot to tak zawikłany, że zrazu należy zacząć od rozwiązywania zagadnień najprostszych. Nauczmy się, spotykając bliźniego, od jednego rzutu oka odgadywać jego historię, jego rzemiosło lub zawód. Jakkolwiek błaha wydać się może taka wprawa, niemniej zaostrza zmysł obserwacyjny i uczy, gdzie i jak czego szukać. Paznokcie, rękaw, obuwie, zagięcia spodni dokoła kolan, kształt palca wskazującego i dużego, wyraz twarzy, mankiety od koszuli — to wszystko wskazówki pozwalające poznać zawód danego człowieka. Niepodobna sobie wyobrazić, żeby złożone razem nie dały inteligentnemu badaczowi pożądaných wyników”.

— Jakaż niesłychana gmatwanina! — zawołałem, rzucając pismo na stół. — W życiu swoim nie czytałem takich idiotyzmów!

— Co takiego? — spytał Holmes.

— Ten artykuł! — odparłem i wskazałem łyżeczką od jajek, zabierając się do śniadania. — Widzę, że pan go też czytał, skoro jest zaznaczony. Nie przeczę, że napisany jest zręcznie. Ale irytuje mnie. Założyłbym się, że to teorie próżniaka, który, rozparty w fotelu, rozwija te wszystkie ładne paradoksy w samotnym gabinecie. Przecież wcale nie mogą mieć zastosowania praktycznego. Chciałbym tego pana widzieć w wagonie trzeciej klasy kolei podziemnej, niechby mi tam wyliczał zajęcia swoich współpasażerów. Założyłbym się o tysiąc przeciw jednemu, że temu nie podolałby.

— I przegrałby pan — rzekł Holmes flegmatycznie. — Co zaś do artykułu, to ja go napisałem.

— Pan?!

— Tak. Mam wrodzoną skłonność zarówno do obserwacji, jak i do dedukcji. Teorie, które wyłożyłem w artykule, a które wydają się panu tak fantastyczne, mają w istocie rzeczy wielkie zastosowanie praktyczne, tak dalece, że są podstawą mojego zarobku.

— A to w jaki sposób? — spytałem mimo woli.

— Mam swój specjalny zawód i zdaje mi się, że uprawiam go sam jeden na całym świecie. Jestem detektywem-doradcą, jeśli pan rozumie, co to znaczy. Mamy tu w Londynie chmary detektywów rządowych i prywatnych. Gdy ci znajdują się w kłopotcie, przychodzą do mnie, a ja naprowadzam ich na właściwy trop. W tym celu przedstawiam mi szczegółowo fakty i okoliczności, mające z nimi związek, ja zaś, przy pomocy znajomości historii zbrodni, daję im niechybne wskazówki. Przestępstwa mają wzajemnie jakby podobieństwo rodzinne. Jeśli zna pan na wylot szczegóły tysiąca zbrodni, niepodobna

<sup>14</sup>Euklides (ok. 300 p.n.e.) — czołowy matematyk grecki; „ojciec geometrii”, autor dzieła *Elementy*, do XIX w. będącego podstawowym podręcznikiem geometrii i wzorem ścisłości wykładu, w którym usystematyzował wiedzę matematyczną i jako pierwszy przedstawił ją w formie systemu wniosków z zaproponowanego przez siebie zestawu aksjomatów. [przypis edytorski]

prawie, żeby nie mógł pan wyjaśnić tysiąc pierwszej. Lestrade jest dobrze znanym detektywem. Niedawno jednak nie mógł sobie poradzić ze sprawą fałszerstwa i to sprowadziło go tutaj do mnie.

— A ci inni pańscy goście?

— To ludzie przysyłani przeważnie przez prywatne agencje. Wszyscy mają jakieś kłopoty i żądają pomocy, wskazówek. Ja słucham ich opowiadań; oni słuchają moich komentarzy i... wsuwam do kieszeni honorarium.

— A więc pan utrzymuje — rzekłem — że nie opuszczając swego pokoju, może pan wyjaśnić sprawę, która dla innych, choć zbadali na miejscu wszystkie szczegóły, jest ciemna?

— Tak jest. Dopomaga mi w tym wrodzona intuicja. Od czasu do czasu zdarzają się sprawy bardziej zawiłane; wówczas muszę ruszyć się z miejsca i zbadać stan rzeczy naocznie. Zauważył pan może, iż posiadam dużo wiadomości specjalnych; korzystam z nich wszystkich przy rozwiązywaniu zagadnień, a to niezmiernie ułatwia sprawę. Metoda dedukcyjna, wyjaśniona w artykule, który pana oburzył, oddaje mi nieocenione usługi praktyczne. Obserwacja stała się moją drugą naturą. Był pan zdziwiony, gdy panu powiedziałem, gdyśmy się po raz pierwszy spotkali, że powraca pan z Afganistanu, czy tak było?

— Niewątpliwie ktoś to panu powiedział.

— Bynajmniej. „Spostrzegłem”, że pan wrócił z Afganistanu. Dzięki dawnemu przyzwyczajeniu moje myśli wiążą się tak szybko, że doszedłem do wniosku, nie zdając sobie sprawy z ogniw pośrednich, które łączą te myśli. A jednak one istnieją. Bieg mojego rozumowania był następujący: „Oto jegomość w typie lekarza, ale jednocześnie i pozór żołnierza. Jest to zatem oczywiście lekarz wojskowy. Powrócił tylko co z jakiegoś kraju podzwrotnikowego, bo ma cerę ogorzałą, a nie jest to jej zwykła barwa, bo ręce w kostce są białe. Znosił ciężkie niewygody, przeszedł chorobę, mówi o tym wyraźnie wynędzniała twarz i podkrążone oczy. Nadto miał zranioną lewą rękę: jest sztywna i ma utrudnione ruchy. W jakim kraju podzwrotnikowym mógł angielski lekarz wojskowy znosić niewygody, chorować i zostać zraniony? Oczywiście w Afganistanie. Całe to rozumowanie nie trwało sekundy. Po czym powiedziałem, że pan powrócił z Afganistanu, co pana mocno zdziwiło.

— Dzięki pańskim objaśnieniom wydaje mi się to teraz dosyć proste — rzekłem z uśmiechem. — Przypomina mi pan Dupina Edgara Allana Poe<sup>15</sup>. Nie wyobrażałem sobie, żeby takie jednostki mogły istnieć nie tylko w literaturze, ale i w życiu rzeczywistym.

Sherlock Holmes wstał i zapalił fajkę.

— Sądzi pan niewątpliwie, że tym porównaniem z Dupinem mi pan pochlebia — zauważył. — Tymczasem moim zdaniem Dupin był człowiekiem bardzo pospolitym. Cała jego sztuka polega na tym, że po kwadransie milczenia znieściska wdziera się trafną uwagę w myśli swojego przyjaciela. Jest to metoda efektowna, ale bardzo powierzchowna. Posiada on niewątpliwie pewien zmysł analityczny, ale nie jest bynajmniej takim niezwykłym zjawiskiem, jakim go chce przedstawić Poe.

— Czytał pan dzieła Gaboriau<sup>16</sup>? — spytałem. — Czy Lecoq jest dla pana typem doskonałego detektywa?

Sherlock Holmes zaśmiał się szyderczo.

— Lecoq jest marnym partaczem — odparł rozdrażnionym tonem. — Ma tylko jedną zaletę, a mianowicie energię. Ta książka przyprawiła mnie po prostu o chorobę. Chodzi tam o stwierdzenie tożsamości nieznanego więźnia. Ja dokonałbym tego w ciągu dwudziestu czterech godzin. Lecoq zaś potrzebował na to sześciu miesięcy. Ta praca Gaboriau powinna być dla detektywów podręcznikiem, który nauczyłby ich, czego powinni unikać.

<sup>15</sup>Poe, Edgar Allan (1809–1849) — amerykański poeta, prozaik i krytyk literacki, prekursor opowieści grozy i noweli detektywistycznej; twórca postaci Auguste’a Dupina, błyskotliwego paryskiego detektywa, posługującego się w pracy dedukcją i analizą sposobu myślenia innych osób, która stała się prototypem kolejnych literackich detektywów, w tym Sherlocka Holmesa Arthura Conan Doyle’a. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>Gaboriau, Émile (1832–1873) — francuski pisarz i dziennikarz, pionier literatury kryminalnej, autor kilku powieści o detektywie policyjnym imieniem Monsieur Lecoq, wydanych w latach 1867–1871. [przypis edytorski]

Gniewało mnie trochę to lekceważenie dwóch bohaterów, którzy budzili we mnie podziw. Podeszedłem do okna i stanąłem, przyglądając się ożywionemu ruchowi ulicznemu.

„Ten jegomość może być bardzo mądry — pomyślałem — ale jest też niezwykle zarozumiały”.

— Dzisiaj nie ma już ani zbrodni, ani zbrodniarzy — zaczął znów zgryźliwie Holmes. — Porządny mózg jest dziś zbyt cenny w naszym zawodzie. Wiem doskonale, że mam w sobie dane, aby rozślawić swoje nazwisko. Nie ma i nie było człowieka, który by z takim jak ja zasobem wiedzy nabytej i wrodzonych zdolności przystępował do śledzenia zbrodni. I jaki z tego rezultat? Nie mam czego śledzić. Zbrodnie już nie istnieją, są tylko co najwyżej drobne, pospolite przestępstwa, tak niezręcznie popełniane, że wykryje je najskromniejszy urzędnik Scotland Yardu.

Ta zarozumiałość drażniła mnie coraz bardziej, postanowiłem tedy zmienić temat rozmowy.

— Ciekaw jestem, czego ten tam szuka? — rzekłem, wskazując palcem barczystego, pospolicie ubranego człowieka, który szedł wolno przeciwległym chodnikiem i przyglądał się uważnie numerom domów. W ręku trzymał niebieską kopertę, widocznie miał spełnić jakieś zlecenie.

— Kto? Ten dymisjonowany podoficer marynarki? — spytał Sherlock Holmes.

„A niech go licha porwie z takim pyszałkostwem! — pomyślałem. — Dobrze wie, iż nie mogę sprawdzić, czy odgadł słusznie”.

Zaledwie zdążyłem sformułować tę myśl, gdy człowiek przez nas śledzony spostrzegł numer naszego domu i przebiegł spiesznie ulicę. Po chwili usłyszeliśmy głośne stukanie do drzwi, niski głos na parterze i ciężkie kroki na schodach.

— Dla pana Sherlocka Holmesa — rzekł, wchodząc do pokoju i podając list mojemu współlokatorowi.

Nastręczała mi się doskonała sposobność dania mu nauki za tę nieznośną zarozumiałość, tym bardziej że gdy popisował się swoją domyślnością, nie przypuszczał, iż będę mógł niezwłocznie sprawdzić jego słowa.

— Niech mi pan powie, mój przyjacielu — rzekłem tonem wielce uprzejmym — czym się pan właściwie zajmuje?

— Jestem posłańcem, proszę pana — odparł szorstko. — Dałem mundur do odświeżenia.

— A czym pan był poprzednio? — spytałem, spoglądając złośliwie na Holmesa.

— Sierżantem w lekkiej piechocie marynarki królewskiej. Nie ma odpowiedzi? Moje uszanowanie panom.

Trzasnął obcasami, uniósł rękę, zasalutował i wyszedł.

### ROZDZIAŁ III. TAJEMNICA LAURISTON GARDENS

Wyznaję, że ten dowód słuszności teorii głoszonej przez mego towarzysza zrobił na mnie głębokie wrażenie. Mój szacunek dla jego zmysłu analitycznego wzmógł się niesłychanie. Niemniej nie mogłem się pozbyć podejrzenia, że całe to zajście było z góry ułożone z zamiarem olśnienia mnie, jakkolwiek sam doprawdy nie rozumiałem, w jakim celu by to uczynił.

Spojrzałem na niego, skończył czytać list, a oczy jego przybrały martwy, jakby nieprzytomny wyraz, wykazujący, że błędzi myślami daleko.

— W jaki sposób pan to odgadł? — spytałem.

— Odgadłem co? — rzekł szorstko.

— Że ten człowiek jest dymisjonowanym sierżantem marynarki.

— Nie mam czasu na głupstwa — odparł niecierpliwie, po czym uśmiechnął się i dodał: — Proszę wybaczyć moją szorstkość. Przerwał mi pan wątek myśli. Ale może to i lepiej. A więc pan istotnie nie poznał, że ten człowiek był sierżantem marynarki?

— Nie, przyznaję.

— A jednak łatwiej to było poznać niż wyjaśnić, co mnie na to naprowadziło. Gdyby od pana zażądano, żeby pan dowiódł, że dwa razy dwa jest cztery, przysłoby to panu z trudnością, niemniej jest pan samego faktu pewien. Co zaś do naszego człowieka, to

mogłem stąd dojrzeć, że ma na wierzchu dłoni wytatuowaną niebieską kotwicę. To mi od razu zapachniało morzem. Ma nadto wojskowe ruchy i bokobrody przystrzyżone według regulaminu. Mamy zatem już marynarkę. Z powierzchowności widać, że to człowiek przeświadczony o swym znaczeniu i że przyzwyczajony jest do rozkazywania. Musiał pan zauważyć, w jaki sposób trzymał laskę i nią wywijał. Ponieważ nadto nie jest młody i ma pewien wyraz godności w obliczu, przeto wszystko to razem wzięwszy doprowadziło mnie do wniosku, że był sierżantem.

— Ależ to bajeczne! — zawołałem.

— Bardzo proste — odparł Holmes, jakkolwiek po wyrazie twarzy spostrzegłem, że moje zdumienie i mój podziw sprawiły mu przyjemność. — Powiedziałem przed chwilą, że nie ma już zbrodniarzy. Zdaje się, że się omyliłem... Niech pan przeczyta!

To mówiąc, rzucił mi przez stół list przyniesiony przez posłańca.

— Co! — zawołałem, przebiegłszy list wzrokiem. — Ależ to okropne!

— Tak, zdaje się, że to wychodzi poza szablon — zauważył obojętnie. — Czy nie zechciałby pan przeczytać mi tego listu głośno?

Oto, co zawierał list, który mu odczytałem:

Szanowny Panie!

Dzisiejszej nocy popełniono zabójstwo na Lauriston Gardens nr 3, w pobliżu Brixton Road. Policjant dyżurny tej dzielnicy spostrzegł tam światło około drugiej w nocy, a ponieważ dom jest niezamieszany, przeto wydało mu się to podejrzane i poszedł się przekonać. Zastał drzwi otwarte, a w pokoju frontowym, zupełnie nieumeblowanym, znalazł zwłoki dobrze ubranego mężczyzny, który miał w kieszeni karty wizytowe z nazwiskiem „Enoch J. Drebbler, Cleveland, Ohio, USA”. Kradzieży nie popełniono, nie ma też dotąd żadnej wskazówki, jaką śmiercią człowiek ten zginął.

W pokoju są ślady krwi, ale na zwłokach nie ma rany. Nie mamy pojęcia, w jaki sposób zabity dostał się do pustego domu. Sprawa jest bardzo tajemnicza.

Jeśli zechce Pan przyjść do tego domu o jakiegokolwiek porze przed dwunastą, to Pan mnie tam zastanie. Zostawiłem wszystko *in statu quo*<sup>17</sup>, dopóki nie będę wiedział, co Pan zamierza. Gdyby Pan nie mógł przyjść, opowiem Panu dokładnie wszystkie szczegóły i będę Panu niesłychanie wdzięczny, gdy zechce Pan powiedzieć swoje zdanie.

Łączę wyrazy szacunku

Tobiasz Gregson

— Gregson jest najsprytniejszy z całego Scotland Yardu — odezwał się Holmes. — On i Lestrade to wyjątki w tej bandzie półgłówków. Obaj są pełni zapału, energiczni, ale żaden z nich nie grzeszy pomysłowością. Między sobą są na noże. Zazdrośni o sobie wzajemnie jak dwie głośne piękności. Jeśli obaj zajmą się wyśledzeniem tej sprawy, będziemy mieli zabawę.

Oślupiałem wobec spokoju, z jakim Holmes mówił.

— Ależ nie ma chwili do stracenia! — zawołałem. — Czy chce pan, żebym poszedł po dorożkę?

— Nie wiem jeszcze, czy tam w ogóle pójde. Jestem największym leniuchem pod słońcem... to jest, miewam periodyczne napady lenistwa, ale umiem też być niekiedy bardzo pracowity.

— Ależ przecież ten wypadek nastrocza panu sposobność, jakiej pan tak pragnął.

— Mój kochany panie, cóż mi z tego przyjdzie? Przypuśćmy, że odkryję całą sprawę. Może pan być pewien, że całą korzyść odniosą Gregson, Lestrade i spółka. Taki jest zysk, jak się nie ma urzędowego stanowiska.

— Jednakże Gregson prosi pana o pomoc.

— Tak. Dobrze wie, iż jestem sprytniejszy od niego i przyznaje mi to zawsze, ale dałby sobie raczej obciąć język, niżby to uznał wobec osoby trzeciej. Niemniej możemy

<sup>17</sup>*in statu quo* (łac.) — w niezmiennym stanie; w stanie takim jak poprzednio. [przypis edytorski]

pójść i zobaczyć, co to takiego. Postąpię, jak sam będę uważał za odpowiednie, i może jeszcze wyśmieję tych dudków<sup>18</sup>. Chodźmy.

Włożył śpiesznie palto i zabierał się do wyjścia w sposób wskazujący, że po napadzie apatii nastąpił okres energii.

— Mam pójść z panem?

— Tak, jeśli pan nie ma nic lepszego do roboty.

W chwilę później siedzieliśmy obaj w dorożce pędzącej w kierunku Brixton Road.

Ranek był mglisty, chmurny, nad dachami domów unosił się ciemny obłok, będący jakby odbiciem zabłoconych ulic. Towarzysz mój był w najlepszym usposobieniu i rozprawił o skrzypcach z Cremony<sup>19</sup>, o różnicy między Stradivariusem<sup>20</sup> i Amatim<sup>21</sup>. Ja zaś siedziałem, milcząc, gdyż chmurna pogoda i ponura sprawa oddziaływały na mnie przygnębiająco.

— Jak widzę, nie bardzo pan myśli o tej całej sprawie — zauważyłem wreszcie, przerywając muzyczną rozprawę Holmesa.

— Nie mam jeszcze żadnych danych — odparł. — To wielki błąd budować teorię, zanim się ma potrzebne podstawy. To tylko paczy właściwy sąd.

— Niebawem będzie pan miał dane — rzekłem, wskazując palcem. — Oto i Brixton Road, a jeśli się nie mylę, tam stoi ów dom.

— Tak jest. Dorożkarz! Stój!

Byliśmy oddaleni jeszcze o jakieś sto jardów<sup>22</sup> od domu, ale Holmes uparł się, żeby wsiąść, i odbyliśmy resztę drogi pieszo.

Budynek numer 3 na Lauriston Gardens wyglądał groźnie i ponuro. Stanowił część grupy złożonej z czterech domów cofniętych nieco w głąb ulicy, z których dwa były zamieszkałe, a dwa niezajęte. Ostatnie spozierały trzema rzędami pustych, smutnych okien, z napisem „do wynajęcia” niby katarakta<sup>23</sup> na oku. Każdy z tych domów oddzielony był od ulicy małym ogródkiem, zarośniętym wątlami, chorobliwymi roślinami, przeciętym wąską, żółtawą ścieżką z gliny i żwiru. Całe miejsce przedstawiało w tej chwili jedną przestrzeń błota. Każdy ogródek otoczony był sztachetami drewnianymi na podmurowaniu, a przy sztachetach numeru trzeciego stał policjant otoczony gromadą gapiów, którzy wyciągali szyję i natężali wzrok w nadziei, że dojrzą, co się dzieje w środku.

Mniemałem, że Sherlock Holmes wejdzie od razu do domu i pograży się w badaniu tajemnicy. Okazało się jednak, że nie miał bynajmniej tego zamiaru. Z obojętną miną, która w tych okolicznościach była według mnie udawana, chodził po ulicy, patrzył bezmyślnie na ziemię, na niebo, na przeciwległe domy i sztachety. Skończywszy to badanie, wszedł wolno na ścieżkę, a raczej na wąski pas trawy wzdłuż ścieżki i spoglądał uparcie w ziemię. Dwa razy przystanął, a raz dostrzegłem na ustach jego uśmiech i usłyszałem okrzyk zadowolenia.

Na mokrym gliniastym gruncie wyciśnięte były liczne ślady stóp, lecz ponieważ policja chodziła tą ścieżką od kilku godzin, przeto nie pojmowałem, w jaki sposób mój towarzysz mógł cokolwiek wywnioskować z tych śladów. Miałem już wszelako tak nadzwyczajne dowody bystrości jego zmysłu spostrzegawczego, że nie wątpiłem, iż mógł widzieć mnóstwo zajmujących szczegółów tam, gdzie ja nic nie dostrzegałem.

W drzwiach domu spotkaliśmy wysokiego bladego blondyna z notatnikiem w ręku. Rzucił się ku nam i uściśnął skwapliwie dłoń mego towarzysza.

— Bardzo panu jestem wdzięczny, że pan przyszedł — rzekł. — Pozostawiłem wszystko nietknięte, jak zastałem.

<sup>18</sup>dudek (daw., pot.) — głupek. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>Cremona — miasto we Włoszech; w XVI–XVIII w. była słynnym ośrodkiem wyrobu instrumentów muzycznych (tzw. kremonska szkoła lutnicza, wytwarzająca skrzypce i in. instrumenty strunowe). [przypis edytorski]

<sup>20</sup>Stradivarius, właśc. *Antonio Stradivari* (1643 lub 1644 –1737) — włoski mistrz lutniczy z Cremony, jeden z najwybitniejszych budowniczych instrumentów w historii. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>Amati, *Nicolo* (1596–1648) — włoski mistrz lutniczy z Cremony, najwybitniejszy z lutniczego rodu Amatic, nauczyciel Stradivariusa. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>jard — anglosaska miara długości, równa trzem stopom i wynosząca ok. 0,9 metra. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>katarakta — zaćma, zmętnienie soczewki ocznej. [przypis edytorski]



— Tylko nie tutaj! — odparł Holmes, wskazując ścieżkę. — Gdyby przeszło tędy stado bawołów, zamęt nie byłby z pewnością większy. Nie wątpię jednak, panie Gregson, że wysnuł pan swoje wnioski, zanim pan na to pozwolił.

— Miałem tyle do roboty wewnątrz domu — odparł policjant wymijająco. — Ale jest tu mój kolega, Lestrade, i pozostawiłem mu zbadanie ogrodu.

Holmes spojrzał na mnie, a w jego oczach malowało się szyderstwo.

— Wobec tego, że jest na miejscu takich dwu ludzi, jak pan i Lestrade, nie będzie tu już wielkiej roboty dla trzeciego — rzekł.

Gregson zatarł ręce z zadowoleniem.

— Zdaje mi się, że zrobiliśmy wszystko, co tylko było można — odparł. — Sprawa jest jednak bardzo zawiślana, a znając pańskie upodobanie do wszystkich nadzwyczajnych wypadków...

— Nie przyjechał pan tu dorożką? — przerwał Holmes.

— Nie, proszę pana.

— Ani Lestrade?

— Nie, proszę pana.

— W takim razie pójdziemy obejrzeć pokój.

Po tej niezbyt konsekwentnej uwadze wszedł do domu, a za nim podążył Gregson, na którego obliczu odmalowało się zdumienie.

Krótki korytarz, o brudnej, zakurzonej podłodze, prowadził do kuchni i pokoiów dla służby. Dwoje drzwi wychodziło na lewo i na prawo. Jedne z nich widocznie nie były otwierane od dłuższego czasu. Drugie prowadziły do jadalni, gdzie rozegrał się właśnie dramat. Holmes wszedł, a ja za nim, przejęty uczuciem smutku, jakie nas zawsze ogarnia wobec śmierci.

Pokój był duży, kwadratowy, zupełnie pusty, przez co wydawał się jeszcze większy. Ściany obite były ordynarną tapetą, na której widniały plamy od wilgoci; tu i ówdzie tapeta odkleiła się i wisiała, odsłaniając poźółkłe wapno na murze. Naprzeciwko drzwi stał okazały kominek z ozdobami naśladowującymi biały marmur. Na jednym jego rogu dostrzegłem ogarek świecy z czerwonego wosku. Szyby jedyne okna były tak brudne, że przepuszczały niewiele światła, stąd w całym pokoju panował posępny półmrok, wzmacniony jeszcze grubą warstwą zalegającego wszędzie kurzu.

Wszystkie te szczegóły zauważyłem dopiero później. Na razie cała moja uwaga skupiała się na sztywnej, nieruchomej postaci, która leżała wyciągnięta na podłodze z martwymi, szklanymi oczyma, utkwionymi w bezbarwnym suficie. Zmarły był mężczyzną lat czterdziestu trzech lub czterech, średniego wzrostu. Barczysty, miał czarne, kędzierzawe włosy, krótką, rzadką brodę. Ubrany był w surdut z grubego sukna, takąż kamizelkę i jasne spodnie; kołnierz i mankiety koszuli jaśniały niepokalaną białością. Nowy, lśniący cylinder stał za nim na podłodze. Nieboszczyk miał rozkrzyżowane ręce, zaciśnięte dłonie, nogi zaś zgięte w skurczu, jak gdyby stoczył straszną przedśmiertną walkę.

Na skamieniałym obliczu zastygł wyraz takiej zgrozy i takiej nienawiści, jakiego nie widziałem jeszcze na twarzy ludzkiej. Ten ohydny i straszny skurcz rysów w połączeniu z niskim czołem, płaskim nosem i wystającą szczęką, a nadto nienaturalna pozycja, powykęcane członki nadawały zmarłemu uderzające podobieństwo do goryla. Widziałem już śmierć w rozmaitych postaciach, ale nigdy w takiej przerażającej, jak na tle tego ponurego, pustego pokoju, wychodzącego na jedną z głównych arterii podmiejskiego Londynu.

Szczupły Lestrade, jak zawsze z wyrazem przypominającym łasicę, stał we drzwiach i powitał nas.

— Ta sprawa narobi hałasu, proszę pana — zauważył. — Wszystko, co dotąd widziałem, to w porównaniu z tym zabawka, a przecież nie jestem dzisiaj.

— Żadnej wskazówki — wtrącił Gregson.

— Ani jednej — powtórzył Lestrade.

Sherlock Holmes zbliżył się do zwłok i ukląkłszy, zaczął je pilnie oglądać.

— Jesteście, panowie, pewni, że nie ma ran? — spytał, wskazując liczne krople i plamy krwi rozsiane dokoła.

— Najzupełniej pewni! — zawołali jednocześnie obaj policjanci.

Trup

— W takim razie, oczywiście, te krwawe ślady zostawił ktoś inny, prawdopodobnie morderca, o ile popełniono tu morderstwo. Przypomina mi to okoliczności, które towarzyszyły śmierci van Jansena w Utrechcie w roku tysiąc osiemset trzydziestym czwartym. Przypomina pan sobie tę sprawę, Gregson?

— Nie, proszę pana.

— W takim razie niech pan o niej przeczyta, radzę szczerze. Nie ma nic nowego pod słońcem. Wszystko, co się zdarza, kiedyś już było.

Gdy to mówił, jego zwinne palce przesuwają się po zwłokach, macały, wyczuwały, naciskały, odpinały, badały, a w oczach miał ten sam, nieprzytomny prawie wyraz, o którym wspominałem. Badanie trwało tak krótko, że nikt nie domyśliłby się, z jaką ścisłością zostało przeprowadzone. W końcu Holmes powąchał usta zmarłego i obejrzał podeszwy jego butów.

— Nie był wcale poruszany? — spytał.

— O tyle tylko, o ile okazało się konieczne dla naszego badania.

— Możecie kazać przenieść go do prosektorium — rzekł Holmes. — Już się tu niczego nie dowiemy.

Gregson sprowadził już czterech ludzi z noszami. Wezwał ich tedy, a gdy podnosili trupa, wypadła skądś obrączka i potoczyła się po podłodze. Lestrade pochwycił ją i przyglądał się jej zdumionym wzrokiem.

— Tu była kobieta! To damska obrączka! — zawołał, trzymając ją na dłoni.

Otoczyliśmy go. Nie ulegało wątpliwości, że ta gładka złota obrączka zdobyła niegdyś palec panny młodej.

— To jeszcze bardziej wikła sprawę — rzekł Gregson — a była już i bez tego dość zawiślana.

— Czy jest pan pewien, że to jej nie uprości? — zauważył Holmes. — Ale przypatrywanie się obrączce nie nauczy nas niczego. Co znaleźliście w jego kieszeniach?

— Mamy tu wszystko — odparł Gregson, wskazując na zbiór przedmiotów, leżących na najwyższych stopniach schodów. — Złoty zegarek Nr 97163 od Barrauda w Londynie. Złota dewizka zwana „Albert”, bardzo ciężka. Złoty pierścionek ze znakami wolnomularskimi. Złota szpilka w kształcie łba buldoga z rubinowymi ślepiami. Skórzany portfelik na karty wizytowe z kartami Enocha J. Drebbra z Cleveland, co odpowiada literom E. J. D. na bieliźnie. Portmonetki nie było, ale znaleźliśmy w kieszeniach trzymane luzem łącznie siedem funtów i trzynaście szylingów. Wydanie kieszonkowe *Dekameronu*<sup>24</sup> Boccaccia, z nazwiskiem „Joseph Stangerson” wypisanym na pierwszej stronie. Dwa listy, jeden, zaadresowany do E. J. Drebbra, a drugi do Josepha Stangersona.

— Jaki adres?

— „American Exchange”, Strand, *poste restante*<sup>25</sup>. Oba są od Towarzystwa Parowcowego Guion i dotyczą odjazdu ich statków z Liverpoolu, co wykazuje jasno, że ten nieszczęśliwy człowiek zamierzał wracać do Nowego Jorku.

— A dowiadawaliście panowie się o tego Stangersona?

— Zacząłem od tego — rzekł Gregson. — Rozesłałem ogłoszenia do wszystkich gazet, a jeden z moich ludzi poszedł do „American Exchange”, ale dotąd nie wrócił.

— Telegrafowaliście do Cleveland?

— Z samego rana.

— W jaki sposób zredagowaliście depezę?

— Opisałiśmy po prostu, co zaszło, i dodaliśmy, że bylibyśmy wdzięczni za jakiegokolwiek informacje, które mogłyby się nam przydać.

— Nie pytał pan o szczegóły jakiegoś punktu, który wydał się panu najważniejszy?

— Pytałem o Stangersona.

— O nic więcej? Czy nie wydaje się panu, że jest jakaś jedna podstawowa okoliczność w tej całej sprawie? Nie wysłał pan drugiej depezy?

— Zrobiłem wszystko, co należało — odparł Gregson obrażonym tonem.

<sup>24</sup>*Dekameron* — zbiór stu nowel obyczajowych Giovanniego Boccaccia (1313–1375), arcydzieło literatury włoskiej. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>*poste restante* (fr.) — poczta pozostająca, wysyłka na adres urzędu pocztowego dogodnego dla odbiorcy, a nie na adres zamieszkania. [przypis edytorski]

Sherlock Holmes zaśmiał się z cicha i zamierzał coś powiedzieć, lecz Lestrade, który pozostał w pokoju, gdy my rozmawialiśmy na korytarzu, ukazał się w tej chwili, zacierając ręce z miną triumfatora.

— Panie Gregson — rzekł — dokonałem odkrycia niesłychanej wagi; wykryłem szczegół, który byłby niewątpliwie został pominięty, gdybym nie wpadł na myśl dokładnego obejrzenia ścian.

Oczy małego policjanta iskrzyły się. Nie mógł ukryć zadowolenia, że udało mu się tak zręcznie zaszachować kolegę.

— Proszę, wejdźcie, panowie, tutaj — dodał, wracając śpiesznie do pokoju, którego atmosfera wydała mi się mniej duszna teraz, skoro nie było już w nim przerażającego trupa. — A teraz stańcie tam!

Potał zapalkę o podeszwę buta i oświetlił nią ścianę.

— Spójrzcie! — rzekł triumfująco.

Wspomniałem poprzednio, że tapeta była poodklejana. W kącie, który wskazywał Lestrade, oddarty był szeroki pas obicia, odsłaniając pożółkłe wapno na ścianie. I tu widniał napisany dużymi, skreślonymi niewprawną ręką, krwawymi literami jeden wyraz:

### RACHE

— I cóż panowie o tym powiedzą? — zawołał policjant tonem przedsiębiorcy zachwalającego popisy cyrkowe na jarmarku. — Nikt nie dostrzegł tego napisu, bo był w najciemniejszym kącie pokoju i nikomu nie wpadło na myśl tam spojrzeć. Morderca skreślił go własną krwią. Patrzcie na te ślady, krew ciekła po ścianie. Niweczy to wszelkie podejrzenie samobójstwa. A teraz, dlaczego morderca wybrał właśnie ten kąt? Zaraz panom objaśnię. Popatrzcie na świecę na kominku. Palila się wówczas i oświetlała tylko ten kąt, tak że był najjaśniejszy, jak teraz jest najciemniejszy.

— A teraz, skoro dokonał pan tego cennego odkrycia, czego to dowodzi? — spytał lekceważąco Gregson.

— Czego dowodzi? Po prostu tego, że ktoś zaczął pisać imię „Rachel”, lecz nie zdążył dokończyć, bo mu przeszkadzono. Pamiętajcie, panowie, co wam mówię: gdy ta sprawa będzie wyjaśniona, przekonacie się, że jest w nią wplątana kobieta imieniem Rachel. Może się pan śmiać, panie Holmes, może się pan śmiać... Może pan być bardzo przebiegły i mądry, ale jednak stary pies myśliwski będzie w końcu górą.

— Och, przepraszam! Przepraszam! — rzekł mój towarzysz, który parsknął śmiechem i tym wywołał wybuch gniewu policjanta. — Przypada panu niewątpliwie ta zasługa, że jako pierwszy odkrył pan ten napis, który, jak słusznie pan utrzymuje, mógł zostać wykonany jedynie przez drugiego uczestnika tajemniczego dramatu. Nie miałem dotąd czasu obejrzeć tego pokoju, ale jeśli panowie pozwolą, uczynię to teraz.

Mówiąc to, wyjął z kieszeni taśmę mierniczą i dużą okrągłą lupę. Uzbrojony w te swe narzędzia, zaczął chodzić cichym krokiem po pokoju, zatrzymując się w jednym miejscu, przyklękając w innym, niekiedy nawet kładąc się plackiem na ziemi. Zajęcie to pochłaniało go tak całkowicie, że zdawało się, iż zapomniał o naszej obecności. Szeptał do siebie półgłosem, to znów jęknął, pogwizdywał, wydawał okrzyki zachęty i nadziei. Przypominał mi rasowego, dobrze wytresowanego psa gończego, pędzącego tam i z powrotem wśród zarośli, który zdradza od czasu do czasu niecierpliwość krótkim szczeknięciem, dopóki nie wpadnie na utracony trop. Badanie to trwało mniej więcej dwadzieścia minut. Holmes raz mierzył z najściślejszą dokładnością odległość między dwoma śladami, zupełnie dla mnie niewidocznymi, to znów przykładał miarękę do ściany, w celu dla mnie równie niezrozumiałym. W pewnym punkcie pokoju zebrał bardzo starannie trochę kurzu z posadzki i schował go do koperty. W końcu przyjrzał się przez lupę wyrazowi napisanemu na ścianie, oglądając każdą literę z osobna z największą uwagą, po czym złożył miarękę i lupę do kieszeni, a na jego twarzy odmalowało się zadowolenie.

— Mówią, że człowiek talentu jest niezmordowany w ponoszeniu trudów — zauważył z uśmiechem. — Jest to określenie zupełnie niesłuszne, lecz można je zastosować do pracy detektywa.

Gregson i Lestrade przyglądali się manipulacjom kolegi amatora z wielką ciekawością połączoną z odcieniem lekceważenia. Nie dostrzegali widocznie tego, co teraz widziałem

jasno: że najdrobniejsze czyny Sherlocka Holmesa miały cel praktyczny i najzupełniej określony.

— I cóż pan teraz o tym myśli? — spytali obaj jednocześnie.

— Pozbawiłbym panów zasługi wyjaśnienia tej zagadkowej sprawy, gdybym rościł sobie pretensje do pomagania — odparł mój towarzysz. — Radzicie sobie, panowie, tak świetnie, że byłoby szkoda, gdyby się w to ktokolwiek wtrącał. — W tonie Holmesa dźwięczało nieopisane szyderstwo. — Jeśli jednakże zechcecie, panowie, zawiadamiać mnie o przebiegu śledztwa, rad będę bardzo dopomóc według możliwości — ciągnął dalej. — Tymczasem chciałbym pomówić z policjantem, który znalazł ciało. Możecie mi powiedzieć, jak się nazywa i gdzie mieszka?

Lestrade zajął do notatnika.

— John Rance — objaśnił. — Nie jest już teraz na służbie. Znajdzie go pan pod numerem czterdzieści sześć, Audley Court, Kensington Park Gate.

Holmes zanotował adres.

— Chodźmy, doktorze — rzekł. — Poszukamy tego jegomościa. — Po czym, zwracając się do obu policjantów, dodał: — Na pożegnanie powiem panom kilka słów, które mogą się przydać w sprawie. Popelniono tu niechybnie morderstwo, a mordercą był mężczyzna wysokiego wzrostu, w sile wieku, który ma stosunkowo małą stopę, nosi ciężkie obuwie z kwadratowymi nosami i palił cygaro „Trichinopoly”. Przyjechał tu ze swoją ofiarą w czterokołowej dorożce, zaprzężonej w konia mającego trzy stare podkopy, a czwartą nową, na jednej z przednich nóg. Według wszelkiego prawdopodobieństwa morderca ma rumianą cerę i wyjątkowo długie paznokcie u prawej dłoni. Są to tylko drobne wskazówki, ale mogą wam być pożyteczne.

Lestrade i Gregson spojrzeli na siebie z uśmiechem niedowierzania.

— Jeśli zatem ten człowiek został zamordowany, to w jaki sposób? — zapytał pierwszy.

— Trucizna — odparł Sherlock Holmes sucho i zabrał się do odejścia. — Jeszcze słowo, Lestrade — dodał, zatrzymując się przy drzwiach. — „Rache” to wyraz niemiecki i znaczy „zemsta”, więc niech pan nie traci czasu na szukanie panny Racheli.

I wypuściwszy tę partyjską strzałę<sup>26</sup>, odszedł, pozostawiając swoich dwóch rywali w osłupieniu.

## ROZDZIAŁ IV. CO POWIEDZIAŁ JOHN RANCE

Była już pierwsza, gdy wychodziliśmy spod numeru 3 na Lauriston Gardens. Sherlock Holmes zaprowadził mnie do najbliższego biura telegraficznego, skąd wysłał długą depeszę. Następnie zawołał dorożkę i kazał się zawieźć pod adres wskazany przez Lestrade'a.

— Nie ma jak wiadomość z pierwszej ręki — zauważył. — Faktycznie wiem już, czego się trzymać w tej sprawie, lecz należy dowiedzieć się wszystkiego, co tylko można, nie należy niczego zaniedbywać.

— Zdumiewa mnie pan — rzekłem. — Nie zechce pan chyba wmówić we mnie, że jest pan taki pewny, jak to się wydaje, tych wszystkich szczegółów, o których pan mówił.

— Niepodobna tu się mylić — odparł. — Pierwszą rzeczą, jaką zauważyłem po przybyciu na miejsce, był podwójny ślad kół dorożki wzdłuż sztachet. Otóż deszcz nie padał od tygodnia aż do wczoraj, tak że te głębokie bruzdy musiały zostać wyłobione przez koła w ciągu ostatniej nocy. Są tam również ślady podków. Kształt jednej z nich jest dużo wyraźniejszy niż pozostałych trzech, co wykazuje, że ta jedna podkova jest nowa. Skoro dorożka była tam już podczas deszczu, a nie zajeżdżała z rana, o czym zapewniał mnie Gregson, musiała tedy zjechać nocą, a stąd wniosek prosty, że przywiozła mordercę i jego ofiarę.

— Pańskie wywody są zupełnie logiczne — rzekłem. — Ale skąd mógł pan wywnioskować, jakiego wzrostu był morderca?

— Widzi pan, wzrost mężczyzny w dziewięciu przypadkach na dziesięć można ocenić według długości jego kroków. Jest to obliczenie bardzo proste, ale nie chcę pana tym nu-

<sup>26</sup>partyjska strzala — przen.: celne, dotkliwe słowa wypowiedziane na pożegnanie; starożytni Partowie służyli z manewru pozorowanej ucieczki konnych łuczników, którzy strzelali wówczas przez ramię do tyłu w kierunku wroga. [przypis edytorski]

dzić. Powiem panu tylko, że kroki tego człowieka mogłem zmierzyć dwa razy: najpierw na błotnistej ziemi w ogrodzie, a potem na zakurzonej podłodze w pokoju. Następnie miałem jeszcze jeden sposób sprawdzenia swojego obliczenia. Gdy człowiek pisze na ścianie, instynktownie kreśli wyrazy na wysokości swoich oczu. Otóż napis, który widzieliśmy, znajdował się sześć stóp nad ziemią. Jak pan widzi, stwierdzenie tego wszystkiego było dziecinną igraszką.

— A jego wiek? — zapytałem.

— Jeśli mężczyzna może zrobić skok długości czterech i pół stopy bez najmniejszego wysiłku, to znaczy, że nie jest stary i zniedołężniały. A tak szeroka właśnie była kałuża na ścieżce ogrodowej, przez którą widocznie przeskoczył. Ślady wytworniejszego obuwia okrążają tę kałużę, a buty z kwadratowymi nosami ją przeskoczyły. Nie ma doprawdy w tym wszystkim żadnej tajemnicy. Stosuję po prostu do zwykłych faktów niektóre teorie obserwacji i dedukcji, jakie zalecałem w tamtym artykule. Czy jest jeszcze coś, co pana intryguje?

— Paznokcie i cygare „Trichinopoly” — odparłem.

— Wyraz na ścianie napisany został palcem wskazującym umaczanym we krwi. Dzięki swojej lupie dostrzegłem, że wapno było z lekka zdrapane, co nie zdarzyłoby się, gdyby ów mężczyzna miał obcięte paznokcie. Co zaś do cygara, zebrałem trochę popiołu z ziemi. Jest ciemny i nie rozsypuje się, ale układa warstewkami. Otóż taki popiół daje tylko cygare „Trichinopoly”. Studiowałem specjalnie popiół cygar, a nawet napisałem w tym przedmiocie monografię. Pochlebiam sobie, że mogę od jednego rzutu oka rozróżnić popiół jakiegokolwiek gatunku cygara czy tytoniu. W rozpoznawaniu takich właśnie szczegółów różni się wytrawny detektyw od Gregsonów i Lestrade’ów.

— A rumiana cera? — spytałem.

— Ach, to było twierdzenie nieco ryzykowne, jakkolwiek nie wątpię, że mam słuszną opinię. Ale nie odpowiem panu na to w tej chwili.

Przesunąłem dłonią po czole.

— Mąci mi się w głowie — rzekłem. — Im dłużej zastanawiam się nad tym, tym bardziej wydaje mi się to wszystko tajemnicze. Dlaczego ci dwaj mężczyźni, jeżeli ich było dwóch, przyjechali do pustego domu? Co się stało z dorożkarzem, który ich tam zawiózł? W jaki sposób człowiek może zmusić drugiego do zażycia trucizny? Skąd pochodzi krew? Jaki cel miał morderca, skoro nie rabunek? W jaki sposób dostała się tam kobieca obrączka ślubna? A przede wszystkim, dlaczego ów drugi mężczyzna wypisał przed odejściem niemiecki wyraz „Rache”? Wyznaję, że nie widzę sposobu powiązania tych wszystkich faktów.

Towarzysz mój uśmiechnął się z uznaniem.

— Wylicza pan bardzo jasno i bardzo ściśle wszystkie trudności — rzekł. — Wiele szczegółów jest jeszcze niewyjaśnionych, jakkolwiek co do głównych punktów mam już ustaloną opinię. Co się tyczy odkrycia biednego Lestrade’a, był to po prostu wybieg celem sprowadzenia policji na fałszywy trop przez podsuniecie myśli, że w tę sprawę zamieszani są niemieccy socjaliści i tajne związki. Wszelako wyraz „Rache” nie został napisany przez Niemca. Litera „A”, jeżeli pan zauważył, przypomina „A” z pisma niemieckiego. Tymczasem prawdziwy Niemiec jeśli pisze, jak w tym wypadku, dużymi drukowanymi literami, używa zawsze alfabetu łacińskiego. Możemy zatem twierdzić na pewno, że nie uczynił tego Niemiec, lecz ktoś bardzo niezręczny, który chciał zrobić za dobrze. Był to, powtarzam, wybieg celem wprowadzenia śledztwa na fałszywy trop. Nie powiem panu już nic więcej w tej sprawie, doktorze. Prestidigitator<sup>27</sup> traci urok i wiarę u ludzi, skoro raz wyjaśni swoje sztuki. Gdybym pana zanadto wtajemniczył w swoją metodę pracy, doszedłby pan niechybnie do wniosku, że jestem wielce pospolitym człowiekiem.

— Nigdy w świecie — odparłem. — Podniósł pan, o ile to możliwe, zawód detektywa do poziomu nauki ścisłej.

Mój towarzysz zarumienił się z zadowolenia, słysząc te słowa, wypowiedziane szczerym i poważnym tonem. Zauważyłem już, że był tak wrażliwy na pochlebstwa odnoszące się do jego talentu śledczego, jak młoda dziewczyna na komplementy dotyczące jej urody.

<sup>27</sup> *prestidigitator* — iluzjonista, sztukmistrz. [przypis edytorski]

— Powiem panu jeszcze jedno — rzekł. — Mężczyzna, który nosił cienkie buty, delikatniejszej roboty, i ten, który miał obuwie z kwadratowymi nosami, przyjechali jedną dorożką i szli ścieżką w najlepszej zgodzie, prawdopodobnie pod rękę. Skoro weszli do domu, chodzili po pokoju, a raczej chodził ten, który miał buty z kwadratowymi nosami, tamten zaś stał w miejscu. Wyczytałem to wszystko z kurzu na podłodze, a nadto jeszcze, że ten, który chodził, wpadał stopniowo w coraz większe rozdrażnienie. Wykazała to wzrastająca długość jego kroków. Mówił ciągle, a w końcu jego gniew zamienił się we wściekłość i wówczas niewątpliwie zaszła tragedia. No, powiedziałem panu już wszystko, co wiem, bo reszta to tylko przypuszczenia i domysły. W każdym razie posiadamy jako punkt wyjścia doskonałą podstawę. Musimy się pospieszyć, bo chcę pójść po południu na koncert Hallé'go<sup>28</sup>, żeby posłuchać Norman-Nerudy<sup>29</sup>.

Rozmawialiśmy tak, jadąc brudnymi ulicami i krętymi zaułkami. W najbrudniejszej i najciemniejszej uliczce nasz dorożkarz nagle przystanął.

— Tam jest Audley Court — rzekł, wskazując przejście w długiej ciemnej linii utworzonej przez mury. — Zaczekam tutaj.

Audley Court nie przedstawiało się bynajmniej ponętnie. Przez wąskie przejście dostaliśmy się do dziedzińca, wybrukowanego zwyczajnymi kamieniami i okolonego cuchnącymi norami, które służyły za mieszkania. Torowaliśmy sobie drogę przez gromadki zasmolonych dzieciaków i sznury obwieszane nieokreślonego koloru bielizną, aż wreszcie dotarliśmy do numeru 46, gdzie na drzwiach jaśniała mała mosiężna tabliczka, na której wyryto nazwisko Rance. Na nasze pytanie odpowiedziano, że policjant śpi, i wprowadzono nas do niewielkiego, frontowego pokoiku.

Po chwili wszedł, wyraźnie niezadowolony z tego, że przerwano mu sen.

— Złożyłem raport w biurze — rzekł.

Holmes wyjął z kieszeni monetę dziesięcioszylingową i zaczął się nią bawić od niechcienia.

— Wolelibyśmy usłyszeć tę historię z pańskich własnych ust — rzekł.

— Z wielką przyjemnością, opowiem panom wszystko, jak było — odpowiedział policjant, nie spuszczając z oczu złotej monety.

— Niech pan nam opowie po swojemu wszystko, to co zaszło.

Rance usiadł na kanapie i zmarszczył brwi pod wpływem natężenia pamięci, aby nie opuścić żadnego szczegółu.

— Opowiem więc od samego początku — rzekł. — Moja służba zaczyna się o dziesiątej wieczorem, a kończy o szóstej rano. O jedenastej zaszła bójka „Pod Białym Jeleniem”, ale poza tym w moim rewirze było zupełnie spokojnie. O pierwszej zaczął padać deszcz, a potem spotkałem Harry'ego Murchera, kolegę, który ma rewir w Holland Grove. Przystanęliśmy na rogu Henrietta Street i gawędziliśmy dobrą chwilę. Nagle, mogła być wtedy druga, a może trochę później, pomyślałem, że warto by obejść Brixton Road i zobaczyć, czy tam wszystko w porządku. Pogoda była okropna, wszędzie pusto, nie spotkałem żywej duszy przez całą drogę, minęły mnie tylko dwie dorożki. Wlokły się noga za nogą i między nami mówiąc, myślałem sobie, jak by to dobrze było, żeby tak mieć kwaterek gorki na rozgrzewkę, gdy nagle dostrzegłem blask świecy w tym domu. Wiedziałem dobrze, że te dwa domy na Lauriston Gardens są puste, bo właściciel nie chce naprawić kanałów, pomimo tego, że ostatni lokator jednego z domów umarł na tyfus. Oslupiałem więc, widząc światło w oknie, i od razu podejrzewałem, że tam się coś złego święci. Podszedłem do drzwi...

— Zatrzymał się pan i zawrócił do furtki — przerwał mój towarzysz. — W jakim celu?

Rance drgnął gwałtownie i z wyrazem najwyższego zdumienia popatrzył na Holmesa.

— Tak — rzekł po chwili. — Tak było w istocie, ale skąd pan o tym wie? Widzi pan, jak doszedłem do drzwi i stanąłem przed domem, takim cichym i pustym, pomyślałem sobie, że nie szkodziłoby mieć kogoś ze sobą. Nie boję się niczego tu, na ziemi, ale przyszło

<sup>28</sup> Hallé, Charles (1819–1895) — niemiecki pianista i dyrygent; w 1848 przeniósł się do Anglii. [przypis edytorski]

<sup>29</sup> Neruda, Wilhelmina (1838–1911) — morawska skrzypaczka; w 1864 roku poślubiła szwedzkiego muzyka Ludwiga Normana (1831–1885), a w 1888 niemiecko-angielskiego muzyka Charlesa Hallé (1819–1895). [przypis edytorski]



mi na myśl, że może to tamten nieboszczyk, który umarł na tyfus, przyszedł obejrzeć kanały, które go zabiły. I ogarnął mnie taki strach, że wyszedłem za furtkę, żeby zobaczyć, czy nie ujrzę gdzieś latarki Murchera. Nie dostrzegłem jednak ani jego, ani żadnej innej żywej duszy.

— Nie było nikogo na ulicy?

— Nikogo, proszę pana, nawet psa. Zebrałem się na odwagę, powróciłem i otworzyłem drzwi. Było zupełnie cicho, więc poszedłem do pokoju, gdzie było światło. Na kominku paliła się świeca... czerwona, woskowa... i przy jej blasku ujrzałem...

— Tak, wiem, co pan ujrzał. Obszedł pan pokój kilka razy, uklęknął przy trupie, potem przeszedł pan do kuchennych drzwi i próbował je otworzyć, a potem...

Jan Rance zerwał się na równe nogi z wyrazem przestachu na twarzy i podejrzenia w oczach.

— Gdzie się pan ukrywał, skąd pan widział to wszystko?! — zawołał. — Zdaje mi się, że pan wie o wiele więcej, niż pan powinien.

Holmes roześmiał się i rzucił policjantowi przez stół swoją kartę wizytową.

— Tylko nie zaaresztujcie mnie za to morderstwo — rzekł. — Jestem jednym z psów, nie wilkiem. Niech pan zapyta Gregsona albo Lestrade'a. Proszę mówić dalej. Co pan zrobił potem?

Rance usiadł znów na kanapie, wyraz zaniepokojenia nie znikł jednak z jego twarzy.

— Powróciłem do furtki i zagwizdałem. Na ten sygnał nadbiegł Murcher i dwóch innych policjantów.

— Czy ulica była wówczas pusta?

— Mniej więcej. Nie było na niej nikogo, kto by się mógł na coś przydać.

— Co przez to rozumiecie?

Policjant skrzywił się.

— Widziałem w życiu niejednego pijaka — rzekł — ale kogoś tak pijanego, jak ten włóczęga, na którego wpadłem, gdy wychodziłem z furtki, dotąd nie spotkałem. Uczepił się kraty przed domem i wrzeszczał wniebogłosy jakąś piosenkę. Nie mógł stać o własnych siłach, a tym mniej być nam pomocnym.

— Jaki to był człowiek? — spytał Sherlock Holmes.

John Rance wydawał się trochę zirytowany tym odejściem od tematu.

— Zwykły pijak — rzekł. — Byłby obudził się niechybnie dziś rano w areszcie, gdybyśmy nie byli zajęci czym innym.

— A jego twarz... ubranie... zwrócił pan uwagę? — przerwał Holmes niecierpliwie.

— Oczywiście, skoro musiałem podtrzymywać go do spółki z Murcherem. Był wysoki, miał rumianą twarz, od dołu owiniętą...

— Dostyc! — zawołał Holmes. — Co się z nim stało?

— Mieliśmy i tak dostyc roboty, nie było czasu się nim zajmować — odparł podrażnionym tonem policjant. — Założę się, że znalazł drogę do domu.

— Jak był ubrany?

— W brązowe palto.

— Czy miał w ręku bat?

— Bat?... Nie.

— Musiał go zatem zostawić — mruknął mój towarzysz. — Nie widział pan potem przypadkiem albo nie słyszał jakiejś dorożki?

— Nie.

— Proszę, to dla pana — rzekł Holmes, podając policjantowi złotą monetę, po czym wstał i wziął kapelusz. — Obawiam się, Rance, że nigdy pan nie awansuje. Powinien pan mieć głowę nie tylko do ozdoby, ale i do użytku. Mógł pan minionej nocy zasłużyć na galony sierżanta. Ten człowiek, którego trzymaliście w garści, posiada klucz do tej tajemnicy. Jego właśnie szukamy. Rozprawianie o tym nie ma teraz celu. Mówię panu, że jest tak, a nie inaczej. Chodźmy, doktorze.

Powróciliśmy do dorożki, zostawiając naszego informatora widocznie zaniepokojonego, jakkolwiek jeszcze nie dowierzał Holmesowi.

— Cóż to za ciężki idiota! — rzekł Holmes z goryczą podczas jazdy do domu. — Pomyśleć, że miał w ręku taką gratkę i nie umiał z niej skorzystać.

— Nie mogę jeszcze polapać się w tym wszystkim. Prawda, że opis tego pijaka zgadza się z pańskim wyobrażeniem o drugim aktorze naszego dramatu. Ale dlaczegoż by, raz wyszedłszy, powrócił do domu? Przestępcy nie mają tego zwyczaju.

— Obrączka, człowieku, obrączka! Po nią wrócił. Jeśli nie znajdziemy innego sposobu schwytania go, możemy zawsze posłużyć się obrączką jako przynętą. Ale ja go chwycę, doktorze. Założę się, że go będę miał. Gdyby nie pan, nie byłbym poszedł i straciłbym okazję do najwspanialszego studium, jakie kiedykolwiek napotkałem. „Studium w szkarłacie”, co? Dlaczego nie mielibyśmy posłużyć się odrobiną artystycznego żargonu. Przez bezbarwny kłębek życia biegnie szkarłatna nić morderstwa, a naszym obowiązkiem jest wysupłać ją, oddzielić i ukazać całość po całości.... Teraz na śniadanie, a potem na koncert Nerudy. Jak ona świetnie atakuje nuty, z jaką wprawą włada smyczkiem!... Jak się nazywa ta etiuda Chopina, którą gra tak znakomicie: Tra-la-la-lira-lira-li...

Rozparty w dorożce ten amator detektyw nucił jak skowronek, gdy ja zastanawiałem się nad wielostronnością umysłu ludzkiego.

## ROZDZIAŁ V. OGŁOSZENIE SPROWADZA GOŚCIA

Wzruszenia doznane w ciągu ranka były zbyt silne dla mojego wątłego jeszcze zdrowia, byłem tedy po południu wyczerpany do ostatka. Po wyjściu Holmesa na koncert, położyłem się na kanapie i usiłowałem zasnąć. Próżny wysiłek! Miałem umysł zanadto podniecony tym, co zaszło, i w mózgu moim wirowały najdziwniejsze urojenia i podejrzenia.

Ilekrót zamknąłem oczy, widziałem tego trupa z twarzą goryla i powykęcanyimi członkami. Wrażenie, jakie wywarło na mnie to oblicze, było tak straszne, że zaczynałem czuć wdzięczność dla tego, który je uśmiercił. Jeżeli bowiem kiedykolwiek rysy ludzkie nosiły piętno najgorszego występku, to z pewnością żadne nie były silniej tym piętnem nacechowane aniżeli rysy Enocha J. Drebbra z Cleveland. Niemniej musiałem uznać, że sprawiedliwości powinno stać się zadość i że nikczemność zamordowanej ofiary nie może być okolicznością łagodzącą w oczach prawa.

Im bardziej się zastanawiałem, tym bardziej nieprawdopodobna wydawała mi się hipoteza mego towarzysza, utrzymującego, że ów człowiek został otruty. Przypomniałem sobie, że Holmes wahał jego usta, i nie wątpiłem, iż odnalazł jakąś wskazówkę, która mu poddała tę myśl. Jeśli wszakże nie trucizna, to cóż innego spowodowało śmierć tego człowieka, skoro nie było rany ani oznak uduszenia? A z drugiej strony, czyja krew połała się strumieniem po podłodze?

Nie było śladów walki, ofiara nie miała też broni, którą mogłaby zranić napastnika. Czulem, że dopóki wszystkie te pytania nie zostaną należycie wyjaśnione, ani Holmes, ani ja nie będziemy mogli spać spokojnie. Równowaga i pewność siebie mego towarzysza były mi dowodem, że wytworzył sobie już teorię tłumaczącą wszystkie fakty, lecz jaka była ta teoria, nie mogłem się domyślić.

Holmes wrócił późno, tak późno, iż oczywiście było, że nie cały czas spędził na koncercie. Siedziałem już przy kolacji, gdy się ukazał.

— Koncert był wspaniały — rzekł, zajmując zwykłe miejsce. — Pamięta pan, co mówił Darwin<sup>30</sup> o muzyce? Utrzymuje, że ludzie umieli ją tworzyć i oceniać, na długo zanim nauczyli się mówić. Może dlatego muzyka przejmuje nas tak do głębi. Nosimy w duszy niejasne wspomnienia tej epoki, tonącej w mgle wieków, kiedy świat był jeszcze w stanie dzieciństwa.

— Pojęcie nieco za szerokie — zauważyłem.

— Pojęcia powinny być zawsze równie szerokie jak przyroda, jeśli mają być jej wrazem — odpowiedział. — Ale co się panu stało? Jest pan w złym humorze. Czyżby ta sprawa z Brixton Road do tego stopnia pana rozdrażniła?

<sup>30</sup>Darwin, Charles Robert (1809–1882) — angielski przyrodnik, twórca teorii ewolucji biologicznej, zwanej darwinizmem, która tłumaczy przemiany ewolucyjne regulowane doбором naturalnym i walką o byt; autor książek: *Podróż na okręcie „Beagle”* (1839), *O powstawaniu gatunków* (1859), *O pochodzeniu człowieka i o doborze płciowym* (1871). [przypis edytorski]

— Jeśli mam powiedzieć prawdę, tak jest — odrzekłem. — Powinienem być bardziej zahartowany po swoich doświadczeniach afganistańskich. Patrzyłem na kolegów poćwiartowanych w kawałki pod Maiwandem i nie traciłem zimnej krwi.

— Rozumiem pana. Wypadek obecny otoczony jest tajemnicą i to pobudza wyobraźnię; tam, gdzie nie pracuje wyobraźnia, nie ma i grozy. Czytał pan wieczorne gazety?

— Nie.

— Opisują dosyć dokładnie całą sprawę, nie wspominając tylko o tym, że gdy trup został poruszony z miejsca, spadła na ziemię kobieca obrączka ślubna. Ale to i lepiej.

— Dlaczego?

— Niech pan spojrzy na to ogłoszenie — odparł. — Rozesłałem je do wszystkich pism dziś rano, jak tylko powróciliśmy.

Podał mi gazetę, a ja spojrzałem na wskazane miejsce. Pierwsze ogłoszenie w kolumnie „Rzeczy znalezionych” brzmiało:

Dzisiaj rano na Brixton Road pomiędzy gospodą „Pod Białym Jeleniem” a Halland Grove znaleziono złotą obrączkę ślubną. Zgłosić się po odbiór do dr. Watsona, 221 b Baker Street, pomiędzy ósmą a dziewiątą dzisiaj wieczorem.

— Przepraszam pana bardzo, że użyłem pańskiego nazwiska — rzekł Holmes. — Gdybym podał swoje własne, niejeden z tych idiotów mógłby je zauważyć i zechciałby się wnieść w sprawę.

— Miał pan słuszność — odparłem. — Ale przypuśćmy, że ktoś się zgłosi, ja nie mam obrączki.

— Owszem, ma pan — rzekł, podając mi obrączkę. — Może pan oddać tę, jest prawie taka sama.

— A kto, zdaniem pana, zgłosi się do nas skutkiem tego ogłoszenia?

— Oczywiście ten człowiek w brązowym palcie... nasz przyjaciel o kwitnącym obliczu, w butach z kwadratowymi nosami. Jeśli nie przyjdzie sam, przyśle współnika.

— Czy taka wycieczka nie wyda mu się zbyt niebezpieczna?

— Bynajmniej. Jeśli moje przypuszczenia są słuszne, a mam wszelkie powody sądzić, że są, ten człowiek narazi się raczej na wszelkie niebezpieczeństwa, niżby miał stracić obrączkę. Jestem prawie pewien, że upuścił ją, pochylając się nad zwłokami Drebbera, i na razie nie spostrzegł tego. Wyszedłszy na ulicę, zauważył zgubę i powrócił śpiesznie, lecz zastał już policję, przybyłą dzięki jego własnemu szaleństwu: niepotrzebnie zostawił palącą świecę. Musiał udawać pijanego celem odwrócenia podejrzeń, jakie mogła wzbudzić jego obecność przy sztachetach. A teraz niech się pan postawi w jego położenie. Zastanowiwszy się, mógł przypuścić, że zgubił obrączkę na ulicy, wyszedłszy z domu. Cóż w takim razie zrobi? Będzie skwapliwie czytał w wieczornych gazetach ogłoszenia o rzeczach zgubionych. Oczy jego padną i na moje ogłoszenie; będzie uszczęśliwiony. Dlaczego miałby się obawiać zasadzki? Nie ma powodu przypuszczać, że ten, kto znalazł obrączkę, dopatrzy się w niej związku z morderstwem. Powinien zatem przyjść. I przyjdzie. Zobacz go pan przed upływem godziny.

— A wtedy, cóż? — spytałem.

— O, niech pan to mnie pozostawi. Ma pan jakąś broń?

— Mam stary służbowy rewolwer i kilka naboju.

— Dobrze by było, żeby pan go oczyścił i nabił. Będziemy mieli do czynienia z człowiekiem, który nie ma nic do stracenia, a aczkolwiek zaskoczę go zniemacka, niemniej lepiej być przygotowanym na wszystko.

Udałem się do sypialni i usлуchałem rady Holmesa. Gdy powróciłem z rewolwerem, zastałem stół sprzątnięty, a Holmesa pogrążonego w ulubionym zajęciu: brzdąkał na skrzypcach.

— Bieg sprawy przyspiesza — rzekł. — Otrzymałem właśnie odpowiedź na mój telegram do Ameryki. Okazuje się, że moje przypuszczenia są słuszne.

— Jakże? — spytałem skwapliwie.

— Trzeba będzie naciągnąć nowe struny na moje skrzypce — odparł. — Niech pan włoży rewolwer do kieszeni. Jak ten jegomość przyjdzie, musi pan z nim mówić zupeł-

nie obojętnie, a mnie proszę zostawić resztę. A przede wszystkim nie przerażać go zbyt byстрым wpatrywaniem się w niego.

— Już ósma — rzekłem, spoglądając na zegarek

— Tak. Będzie tu prawdopodobnie za kilka minut. Niech pan trochę uchyli drzwi, tak... dosyć. A teraz włoży klucz od wewnątrz. Dziękuję! Znalazłem wczoraj na straganie ciekawą starą książkę... *De iure inter gentes*... wydana po łacinie w Liege w Niderlandach w roku tysiąc sześćset czterdziestym drugim. Głowa Karola<sup>31</sup> siedziała mu jeszcze mocno na karku, gdy drukowano tę książkę w brązowej okładce.

— Kto ją drukował?

— Niejaki Filip de Groy. Na pierwszej stronie widnieje nakreślony wyblakłym atramentem napis: „*Ex libris Gulielmi Whyte*”. Ciekaw jestem, kim był ten Whyte? Prawdopodobnie jakiś gorliwy adwokat z siedemnastego wieku; jego pismo przypomina pismo prawnika. O, zdaje mi się, że oto nasz jegomość!

Gdy to mówił, odezwał się głośny dzwonek. Sherlock Holmes wstał cicho i odwrócił krzesło w kierunku drzwi. Słyszeliśmy, jak służąca przeszła przez korytarz i odsunęła zamek przy drzwiach.

— Czy tu mieszka doktor Watson? — zapytał wyraźny, choć ochrypły głos.

Nie mogliśmy dosłyszeć odpowiedzi służącej, ale drzwi zamknęły się i ktoś zaczął wchodzić po schodach, krokiem niepewnym, powłócząc nogami. Po twarzy mojego nasłuchującego bacznie towarzysza przebiegł wyraz zdumienia. Kroki wlokły się następnie po korytarzu i wreszcie ktoś lekko zapukał do drzwi.

— Proszę wejść! — zawołałem.

Na to wezwanie zamiast brutalnego mężczyzny, którego się spodziewaliśmy, weszła, utykając, bardzo stara kobieta, o twarzy zwiędłej i pomarszczonej. Nagły blask światła oślepił ją widocznie, bo złożywszy ukłon, stała, mrugając oczyma i nerwowymi, drżącymi palcami szukając czegoś w kieszeni. Spojrzałem na mojego towarzysza: na jego twarzy malował się wyraz takiego rozczarowania, że z trudnością utrzymałem powagę.

Stara czarownica wydobyla nareszcie z kieszeni wieczorną gazetę i wskazała nasze ogłoszenie.

— To mnie sprowadziło, proszę łaski panów — rzekła, składając powtórny ukłon. — Złota obrączka ślubna znaleziona na Brixton Road. To najpewniej obrączka mojej córki Sally. Poszła za mąż przed rokiem, jej mąż jest stewardem na statku. Boże miłosierny, co by to było, gdyby tak wrócił i zastał ją bez obrączki! Nie bardzo on tam delikatny w ogóle, a cóż dopiero, gdy sobie cokolwiek podpije. Z przeproszeniem panów, Sally poszła wczoraj do cyrku z...

— Czy to jej obrączka? — spytałem.

— Bogu dzięki! — zawołała stara. — To ci dopiero Sally się ucieszy! Tak, to ta sama.

— A jaki jest pani adres? — spytałem, biorąc ołówek.

— Duncan Street trzynaście, Houndsditch. Kawał drogi stąd.

— Brixton Road nie leży między żadnym cyrkiem a Houndsditch — powiedział ostro Sherlock Holmes.

Stara kobieta odwróciła się i rzuciła na mówiącego przenikliwe spojrzenie spod czerwienionych powiek.

— Ten pan pytał o mój adres — rzekła. — Sally mieszka na Mayfield Place trzy, Peckham.

— A jak się nazywacie?

— Ja Sawyer... ona Dennis, jako że ożenił się z nią Tom Dennis... chłop tęgi, przystojny. Dopóki jest na morzu, nie ma sobie równego stewarda, ale na lądzie, między kobietami a szynkiem...

— Proszę, to pani obrączka — przerwałem, posłuszny znakowi danemu przez mojego towarzysza. — Należy najwidoczniej do córki pani i rad jestem, że mogę ją zwrócić prawowitej właścicielce.

<sup>31</sup> Głowa Karola siedziała mu jeszcze mocno na karku — mowa o Karolu I Stuarcie (1600–1649), królu Anglii i Szkocji, który w wyniku wojny domowej został obalony przez poddanych i ściety. [przypis edytorski]

Mrucząc pod nosem błogosławieństwa i podziękowania, stara czarownica wsunęła obrączkę do kieszeni i niebawem dobiegł nas ze schodów odgłos jej wlokących się kroków.

Skoro tylko zamknęły się za nią drzwi, Sherlock Holmes zerwał się na równe nogi i pobiegł do swej sypialni. Po chwili wrócił w płaszczu i szaliku na szyi.

— Pójdę za nią — rzekł śpiesznie. — To niewątpliwie współniczka naszego jegomości i zaprowadzi mnie do niego. Niech pan czeka na mnie.

Zaledwie drzwi na dole zamknęły się za naszym gościem, Holmes zbiegł ze schodów. Wyrząłem przez okno i dostrzegłem, jak starowina wlokła się wolno po przeciwległej stronie ulicy, a Holmes szedł za nią w pewnej odległości. „Albo cała jego teoria jest fałszywa — pomyślałem — albo też doprowadzi go do samego jądra tajemnicy”. Niepotrzebnie zalecał mi czekanie na niego, czułem i tak, że nie zmrużę oka, dopóki nie dowiem się wyniku tej przygody.

Była blisko dziewiąta, gdy Holmes wyszedł z domu. Nie miałem pojęcia, jak długo zabawi; usadowiłem się wygodnie i pałac fajkę, przerzucałem *Scènes de la vie de Bohème*<sup>32</sup> Henryka Murgera. Wybiła dziesiąta i dosłyszałem odgłos kroków służącej idącej spać. Wybiła jedenasta i odezwały się stateczniejsze kroki gospodyni, zmierzającej do tego samego celu. Nareszcie tuż przed dwunastą rozległ się zgrzyt klucza w zamku. Zaledwie Holmes wszedł, z wyrazu twarzy wyczytałem, że mu się nie powiodło. Wydawał się jednocześnie ubawiony i zirytowany, aż wreszcie wesołość wzięła górę i parsknął głośnym śmiechem.

— Nie chciałbym za nic w świecie, żeby ci ze Scotland Yardu dowiedzieli się o mojej przygodzie — zawołał, padając na fotel. — Drwiłem z nich tak niemiłosiernie, że oni nawzajem sztydziłoby ze mnie do końca życia. Ale ja mogę sobie pozwolić na śmiech, gdyż pewien jestem, że przynajmniej zawsze im dorównam.

— Cóż się stało? — spytałem.

— Zaraz panu opowiem, bo i co mi to szkodzi, że pan się dowie, jak dalece wzięto mnie na kawał? Ta stara wiedźma, uszedłszy kawałek drogi, zaczęła utykać, jak gdyby ją zabolęła noga, w końcu przystanąła i zawołała na przejeżdżającą dorożkę. Usiłowałem podejść jak najbliżej, tak aby usłyszeć adres, ale było to zbyt trudne, gdyż krzyknęła tak głośno, że mógł ją słyszeć każdy idący po drugiej stronie ulicy: „Jedź na ulicę Duncan trzynaste, Houndsditch”. Pomyślałem sobie, że widocznie powiedziała nam prawdę, i przekonawszy się, że wsiadła do dorożki, uczepiłem się tyłu wehikułu. Jest to sztuka, którą powinien umieć każdy detektyw. Ruszyliśmy tedy w drogę, nie zatrzymując się nigdzie aż do wskazanej ulicy. Zeskoczyłem, zanim dojechaliśmy pod dom, i z najobojetniejszą miną w świecie zacząłem iść po trotuarze. Dorożka stanęła, woźnica zszedł z kozła, otworzył drzwiczki i stał przez krótką chwilę, wyczekując. Ale... nikt nie wysiadł. Gdy podszedłem do dorożki, woźnica, wystraszony, tkwił w niej do połowy, przewracał nawet poduszki siedzenia i sypał doborem przekleństw, jakich jeszcze nie słyszałem. Pasażerka znikła, przepadła jak kamień w wodę i zdaje mi się, że dużo czasu minie, zanim woźnica odbierze swoją zapłatę. Zasięgnąwszy wiadomości pod numerem trzynastym, dowiedzieliśmy się, że dom ten należy do zamożnego handlarza papieru nazwiskiem Keswick i że nikt tam nie znał nazwiska Sawyer ani Dennis.

— Ależ mój panie — zawołałem zdumiony — nie wzmówisz pan we mnie, że ta utykająca stara baba zdolna była wysiąść z dorożki w biegu, i to tak, że ani pan, ani woźnica nie zauważyli!

— Niech diabli porwą taką starą babę! — rzekł Sherlock Holmes z goryczą. — To z nas stare baby, że daliśmy się tak podejść. Musiał to być młody chłopak, niepospolicie silny, a do tego znakomity aktor. To jego przebranie było niezrównane. Widział niewątpliwie, że go śledzą i użył takiego wybiegu, żeby mi się wymknąć. Okazuje się z tego, że człowiek, którego szukamy, nie jest taki osamotniony, jak przypuszczaliśmy, i że ma przyjaciół, którzy gotowi są narazić się dla niego. Doktorze jest pan zupełnie wyczerpany, widać to po panu. Niech pan posłucha mojej rady i położy się.

<sup>32</sup>*Scènes de la vie de Bohème* — *Sceny z życia cyganerii*, powieść francuskiego pisarza Henri Murgera (1822–1861) z 1851, opisująca środowisko paryskiej bohemy. [przypis edytorski]

Byłem istotnie bardzo znużony, nie oponowałem tedy. Pozostawiłem Holmesa siedzącego przed kominkiem, na którym płonął ogień, i długo w noc słyszałem jeszcze stłumione, smętne zawodzenie jego skrzypiec, co dowodziło, że nieustannie rozmyślał nad niezwykle tajemnicą, którą postanowił odkryć.

## ROZDZIAŁ VI. GREGSON POKAZUJE, CO POTRAFI

Następnego dnia gazety pełne były „Tajemnicy z Brixton”, jak ją tytułowały. Każda zamieszczała długi opis zbrodni, a niektóre drukowały jeszcze w dodatku artykuły wstępne. Były tam i szczególnie nowe dla mnie. Dotychczas jeszcze mam w notatniku wycinki i wyciągi dotyczące tej sprawy, a oto streszczenie artykułów kilku gazet:

Zdaniem „Daily Telegraph”, w rocznikach sądowych rzadko zdarza się spotkać dramat tak osobliwy. Niemieckie nazwisko ofiary, brak wszelkich widocznych powodów do zbrodni, ponury napis na ścianie, wszystko wskazuje, że ten czyn występny popełnili emigranci polityczni i rewolucyjni. Socjaliści mają mnóstwo związków w Ameryce, a zmarły, przekroczywszy niewątpliwie przepisy ich tajnego kodeksu, był przez nich ścigany i wytropiony w Londynie. Wspomniawszy mimochodem o Vehmgericht<sup>33</sup>, *Aqua Tofana*<sup>34</sup>, karbonariuszach<sup>35</sup>, margrabinie de Brinvilliers<sup>36</sup>, teorii Darwina, zasadach Malthusa<sup>37</sup>, artykuł kończył się odezwą do rządu, nawołującą do baczniejszego dozoru nad cudzoziemcami w Anglii.

„Standard”, komentując fakt, pisał, że podobne bezprawia zdarzają się zazwyczaj, gdzie u steru rządu stoi stronnictwo wolnomyślne. Wynikają one z zamętu, jaki powstaje w umysłach tłumów przez rozsiewanie pojęć, które podkopują powagę wszelkiej władzy. Nieboszczyk był Amerykaninem, przybył przed kilkoma tygodniami do stolicy. Zamieszkał w pensjonacie pani Charpentier, na Torquay Terrace, Camberwell. W podróży towarzyszył mu prywatny sekretarz, Joseph Stangerson. Obaj pożegnali gospodynię we wtorek, czwartego, i pojechali na stację Euston, oświadczywszy, iż zamierzają udać się do Liverpoolu. Następnie widziano ich razem na peronie, a potem już nic o nich nie wiadomo, aż do czasu znalezienia zwłok Drebera w pustym domu na Brixton Road, o kilka mil od Euston. W jaki sposób tam się dostał? Kto był jego zabójcą? Wszystko to osłonięte jest tajemnicą. Co się stało ze Stangersonem, nie wiadomo. Z zadowoleniem dowiadujemy się, że panowie Lestrade i Gregson ze Scotland Yardu wzięli wyśledzenie tej sprawy w swoje ręce. Możemy zatem być pewni, że ci znani i wytrawni detektywi policyjni wyświecą niebawem tajemniczą sprawę.

„Daily News” nie wątpił, że to przestępstwo polityczne. Despotyzm wszystkich rządów kontynentalnych i brak liberalizmu sprawiły, że wyemigrowali do naszego kraju ludzie, którzy mogli się okazać doskonałymi obywatelami, gdyby nie byli rozgoryczeni wspomnieniami tego wszystkiego, co przeszli. Wśród tych ludzi obowiązywał nieubłagany kodeks honorowy, a każde wyłamanie się spod jego przepisów karane było śmiercią. Policja powinna dolożyć wszelkich starań, aby odnaleźć sekretarza Stangersona i dowiedzieć się szczegółów trybu życia zamordowanego. Wielkim krokiem naprzód jest odnalezienie adresu domu, dzięki sprytowi i gorliwości pana Gregsona ze Scotland Yardu.

Czytaliśmy razem te artykuły, siedząc przy śniadaniu z Sherlockiem Holmesem. Bały go one widocznie.

— Powiedziałem panu, że cokolwiek się stanie, Lestrade i Gregson potrafią zbierać laury.

<sup>33</sup>*Vehmgericht* — rodzaj sądów funkcjonujących w Westfalii w XIV–XV wieku, działających na ziemiach nieobjętych systemem sądownictwa dziedzicznych książąt; opierały się na bractwach ławników zwanych „wolnymi sędziami”, a ich obrady, początkowo jawne, później często przebiegały w tajemnicy; zniesione w 1811, stały się synonimem samowolnych tajnych sądów sprawowanych przez rozmaite sprzysiężenia. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>*Aqua Tofana* (łac.: woda Tofany) — trucizna na bazie arseniku, jaką sporządzała Giulia Tofana, stracona w Rzymie w 1659 roku za wieloletnie dostarczanie jej kobietom, które chciały się pozbyć okrutnych mężów. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>*karbonariusze* — tajne stowarzyszenia rewolucyjne, skierowane przeciwko absolutyzmowi, założone we Włoszech, działające w Europie w 1. poł. XIX w. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>*margrabina de Brinvilliers*, właśc. *Marie Madeleine d'Aubray*, *markiza de Brinvilliers* (1630–1676) — francuska trucicielka, skazana na śmierć, ścięta i spalona; jej proces zwrócił uwagę na znaczącą liczbę nagłych i niewyjaśnionych zgonów wśród arystokracji i zapoczątkował aferę trucicielską. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>*Malthus, Thomas* (1766–1834) — duchowny i ekonomista angielski, jako pierwszy rozważał kwestię przeludnienia. [przypis edytorski]



— Zależy to od obrotu, jaki przybierze sprawa.

— Ani trochę! Jeśli zabójca zostanie schwytany, stanie się to „dzięki ich usiłowaniu”, jeżeli zaś im się wymknie, nastąpi to „pomimo ich usiłowań”. Cokolwiek uczynią, będą mieli zawsze stronników. Głupiec znajdzie zawsze głupszego, który go podziwia.

— A to co, u licha? — zawołałem, w sieni bowiem i na schodach rozległ się odgłos licznych kroków i okrzyki oburzenia, wydawane przez naszą gospodynię.

— Oddział policji śledczej z Baker Street — odparł Holmes z całą powagą, a gdy to mówił, do pokoju wpadło sześciu łobuzów, tak brudnych i obdartych, jakich w życiu nie widziałem.

— Cicho, spokojnie! — zawołał Holmes surowym tonem i nicponie stanęli od razu w szeregu, nieruchomi, jak sześć wstrętnych posążków. — Na przyszłość będziecie przysyłali Wigginsa samego z raportem, a reszta ma czekać na ulicy. Rozumiecie? Wiggins, dowiedzieliście się czegoś?

— Nie, panie — odparł jeden z urwisów.

— Byłem tego pewien. Nie ustawajcie jednak w poszukiwaniach, dopóki się nie dowiecie. Macie tu — dał każdemu szylinga. — A teraz marsz; żebyście mi następnym razem przynieśli lepsze nowiny.

Skinął ręką, a chłopcy zbiegli, niczym szczury, po schodach i w chwilę potem z ulicy dobiegły nas ich krzykliwe głosy.

— Niekiedy taki mały żebrak przyniesie daleko lepsze wiadomości niż sześciu agentów — zauważył Holmes. — Sam widok policjanta wystarczy nieraz, aby zamknąć ludziom usta. Ci malcy zaś chodzą wszędzie i słyszą wszystko. Przy tym szcwanę z nich lisy, brak im tylko należytej organizacji.

— Czy posługuje się pan nimi w sprawie Brixton Road? — spytałem.

— Tak. Chciałbym wyświecić pewien punkt. Zresztą to tylko kwestia czasu. Oho! Dowieemy się jakiejś nowiny! Gregson idzie ulicą, a na jego twarzy maluje się niewysłowiona błogość. Myślę, że chyba idzie do nas. Tak, zatrzymał się... Oto i on!

Dzwonek, szarpnięty silną ręką, odezwał się głośno i niebawem jasnowłosy policjant minął schody, skacząc po trzy stopnie, i wpadł do naszej bawialni.

— Drogi panie — zawołał, ściskając dłoń Holmesa — proszę mi powinszować! Mam już wszystko w ręku, cała sprawa jasna jak słońce.

Zdawało mi się, że po wyrazistej twarzy mojego towarzysza przemknął cień niepokoju.

— Jak to, wpadliście na właściwy trop? — spytał.

— Właściwy trop! Ależ, proszę pana, nasz jegomość siedzi pod kluczem.

— Jak się nazywa?

— Artur Charpentier, podporucznik marynarki królewskiej — odrzekł pompatycznie Gregson, zacierając tłuste ręce i wypinając pierś.

Sherlock Holmes odetchnął z widoczną ulgą, a uśmiech powrócił na jego twarz.

— Niech pan siądzie, Gregson, i zapali jedno z tych cygar — rzekł. — Radzi byśmy jak najprędzej wiedzieć, w jaki sposób to się stało. Może trochę whisky z wodą?

— Przydałoby się — odparł policjant. — Jestem zupełnie wyczerpany pracą ostatnich dwu dni. Nie tyle wysiłkiem fizycznym, ile natężeniem umysłu. Pan zrozumie mnie najlepiej, panie Holmes, bo obaj nie oszczędzamy naszego mózgu.

— Jest pan bardzo łaskaw dla mnie, panie Gregson — rzekł Holmes z całą powagą. — Proszę nam wreszcie opowiedzieć, w jaki sposób doszedł pan do takiego świetnego wyniku.

Policjant rozsiadł się wygodnie w fotelu i z zadowoleniem spoglądał na obłoki dymu unoszące się z cygara. Nagle w napadzie wesołości klepnął się po udzie.

— Najlepsze z tego wszystkiego — zawołał — jest to, że ten osioł Lestrade, który się ma za takiego mądrego, puścił się zupełnie fałszywym tropem. Szuka sekretarza Stangersona, który ma ze zbrodnią tyle wspólnego, co nowo narodzone niemowlę. Nie wątpię, że go już schwycił.

Ta myśl wydała się Gregsonowi tak zabawna, że śmiał się na całe gardło, dopóki się nie zakrztusił.

— Cóż pana naprowadziło na ślad zbrodniarza?

— Zaraz panu opowiem. Ale, doktorze, zastrzegam sobie całkowitą dyskrecję. Pierwszą trudnością, jaką napotkaliśmy, był brak wszelkich wskazówek co do przeszłości Amerykanina. Są tacy, którzy czekali by odpowiedzi na swoje ogłoszenie albo aż ktoś przyniesie jakieś wiadomości. Ale Tobiasz Gregson nie w ten sposób zabiera się do pracy. Pamięta pan kapelusz obok zmarłego?

— Pamiętam — odparł Holmes. — Kapelusz od Johna Underwooda i Synów, sto dwadzieścia dziewięć Camberwell Road.

Gregson spojrzął na Holmesa, zupełnie zbity z tonu.

— Nie przypuszczałem, że pan to zauważy — rzekł. — Czy pan tam był?

— Nie.

— A! — zawołał Gregson z zadowoleniem. — Nie należy, widzi pan, nigdy zaniedbywać żadnej sposobności, choćby się wydawała małego znaczenia.

— Dla wielkiego umysłu nie ma nic małego — zauważył Holmes sentencjonalnie.

— Otóż poszedłem do Underwooda i zapytałem, czy sprzedał kapelusz takiej wielkości i takiego kształtu. Zajrzał do książki i znalazł od razu, że posłał kapelusz do niejakiego Drebbiera, mieszkającego w pensjonacie pani Charpentier, Torquay Terrace. Miałem już zatem jego adres.

— Wyśmienicie, doskonale — szepnęła Sherlock Holmes.

— Następnie udałem się do pani Charpentier — ciągnął detektyw. — Zastałem ją bardzo wzburzoną i bladą. Córka, nawiasem mówiąc, śliczna dziewczyna, miała zaczerwienione oczy, a jej usta drżały, gdy do niej mówiłem. Nie uszło to mojej uwagi i wnet zwąchałem pismo nosem. Pan zna to uczucie, panie Holmes, jakie nas ogarnia, gdy widzimy, że wpadliśmy na właściwy trop: wszystkie nerwy drgają. Spytałem:

— Czy pani słyszała o tajemniczej śmierci swego byłego lokatora, Enocha J. Drebbiera z Cleveland?

Matka skinęła głową. Nie była zdolna wymówić słowa. Córka wybuchła płaczem. Czulem coraz wyraźniej, że ci ludzie byli zamieszani w nieszczęsną sprawę.

— O której godzinie pan Drebbier wyszedł od pani na pociąg? — zapytałem.

— O ósmej — odparła, usiłując zapanować nad wzburzeniem — Jego sekretarz, pan Stangerson, powiedział, że są dwa pociągi: jeden o dziewiątej piętnaście, drugi o jedenastej. Pan Drebbier zamierzał jechać pierwszym.

— Już go pani potem nie widziała?

W twarzy kobiety zaszła straszna zmiana. Pobladła jak chusta i minęło kilka sekund, zanim zdołała odpowiedzieć: „nie”, ochryplym, niepewnym głosem. Zapanowało chwilowe milczenie, po czym córka odezwała się stanowczym, spokojnym tonem:

— Mamo, kłamstwo nie doprowadziło nigdy do niczego dobrego. Bądźmy szczerze względem tego pana. Widziałyśmy raz jeszcze pana Drebbiera.

— Niechaj ci Bóg przebaczy! — krzyknęła pani Charpentier, wznosząc ręce ku niebu i opadając na fotel. — Zamordowałaś własnego brata!

— Artur pierwszy zażądałby, abyśmy powiedziały prawdę — odparła młoda dziewczyna.

— Niechże mi pani opowie teraz wszystko — rzekłem — Połowiczne zaufanie jest gorsze niż żadne. Zresztą panie nie wiedzą, jak dalece jesteśmy już wtajemniczeni.

— Niech skutki spadną na twoją głowę, Alicjo! — zawołała matka, po czym zwracając się do mnie, dodała: — A więc powiem panu wszystko. Niech pan tylko nie myśli, że moje wzruszenie i niepokój o syna wynikają z obawy, iż maczał palce w tej strasznej sprawie. Jest najzupełniej niewinny. Boję się tylko, że mimo to w pańskich oczach i w oczach innych ludzi może wydawać się winny. Ale to niemożliwe! Rękojmią jego niewinności jest nieskazitelny charakter i dotychczasowe życie.

— Najkorzystniej dla pani będzie, powtarzam, gdy pani opowie wszystko dokładnie — odrzekłem. — Niech mi pani wierzy, że jeżeli syn jest niewinny, nic mu się nie stanie.

— Alicjo, może lepiej będzie, jak nas zostawisz samych — rzekła i córka wyszła z pokoju. — Nie miałam wprawdzie zamiaru powiedzieć panu tego wszystkiego — ciągnęła dalej pani Charpentier — ale skoro moja córka już zaczęła, nie mam innego wyjścia. Postanowiłam tedy powiedzieć panu, co zaszło, nie opuszczając żadnego szczegółu.

— To bardzo mądrze z pani strony — zauważyłem.

— Pan Drebbler mieszkał u nas blisko trzy tygodnie. Podróżował po kontynencie ze swoim sekretarzem, panem Stangersonem. Na ich walizkach zauważyłam nalepione kartki z napisem „Kopenhaga”, co wskazywało, że przed przybyciem tutaj przebywali w tym mieście. Stangerson był człowiekiem cichym, statecznym, czego nie mogę bynajmniej powiedzieć o jego panu. Nieokrzesany w przyzwyczajeniach, brutalny w obejściu, upił się tego samego wieczora, kiedy przyjechał, i muszę wyznać, że po dwunastej w południe nie widziałam go nigdy trzeźwego. Jego zachowanie względem służącej było wstrętne swobodnie i poufałe, a co najgorsze, zaczął niebawem postępować tak samo z moją córką Alicją. Niejednokrotnie odzywał się do niej w sposób, którego na szczęście w swej dziewiczej niewinności nie rozumiała. Raz zapomniał się do tego stopnia, że chwycił ją wpół i objął... To bezceństwo oburzyło nawet jego sekretarza, który nie szczędził mu wymówek za takie niecne postępowanie.

— Nie rozumiem, dlaczego pani właściwie znosiła to wszystko? — zapytałam. — Myślę, że może pani pozbyć się swoich lokatorów w każdej chwili.

Pani Charpentier spąsowiała na to moje słuszne zapytanie.

— Bodajbym go była wyrzuciła pierwszego dnia, jak się tylko pokazał — odrzekła. — Ale pokusa była za wielka. Każdy z nich płacił po funcie dziennie, co wynosiło czternaście funtów tygodniowo, a przecież mamy teraz martwy sezon. Jestem wdową, utrzymanie syna, który służy w marynarce, kosztowało mnie bardzo dużo. Żał mi było takiego zarobku. Chciałam jak najlepiej. Ostatni postępek pana Drebblera był wszakże tak oburzający, że wymówiłam mu mieszkanie, wyjaśniając dlaczego. Taki był powód jego wyjazdu.

— I cóż dalej? — zapytałam.

— Odetchnęłam swobodniej, gdy się wyniósł. Mój syn ma teraz właśnie urlop, ale nic mu o tym wszystkim nie mówiłam, bo jest bardzo porywczy i ubóstwia siostrę. Gdy zamknęłam drzwi za tymi lokatorami, kamień spadł mi z serca. Niestety, zaledwie upłynęła godzina, odezwał się dzwonek. Pan Drebbler powrócił w stanie niezwyklego podniecenia. Widocznie podpił sobie porządnie. Przemocą wtargnął do pokoju, gdzie siedziałam z córką, i zaczął opowiadać bezładnie, że spóźnił się na pociąg. Potem nagle zwrócił się do Alicji i wobec mnie zaproponował jej z całą bezczelnością, żeby z nim uciekła. „Jest już pani pełnoletnia — mówił — żadne prawo nie może pani tego wzbronić. Mam więcej pieniędzy, aniżeli mogę wydać. Niech pani nie zwraca uwagi na starą i zaraz idzie ze mną. Będzie pani żyła jak księżna”. Biedna Alicja była tak przerażona, że odsunęła się od niego, ale on chwycił ją za rękę i usiłował pociągnąć do drzwi. Wówczas krzyknęłam i w tej samej chwili mój syn, Artur, wszedł do pokoju. Co się później stało, już nic nie wiem. Słyszałam przekleństwa, odgłos bijatyki, ale byłam tak przerażona, że nie śmiałam podnieść głowy. Gdy nareszcie oprzytomniałam, ujrzałam Artura stojącego z laską w rękę w progu i śmiejącego się do rozpuku. „No, mam nadzieję, że ten piękny pan nie będzie nam już zawracał głowy — rzekł. — Pójdę jednak za nim i zobaczę, co z sobą pocznie”. To mówiąc, Artur wziął kapelusz i wyszedł. Następnego ranka dowiedzieliśmy się o tajemniczej śmierci pana Drebblera.

Opowiadanie to pani Charpentier przerywała częstymi westchnieniami i chwilami milczenia. Czasem mówiła tak cicho, że zaledwie mogłam dosłyszeć jej słowa. Porobiłam notatki z jej zeznania dla uniknięcia wszelkich pomyłek.

— Ależ to niesłychanie zajmujące — rzekł Sherlock Holmes, ziewając. — I cóż dalej?

— Gdy pani Charpentier skończyła — mówił dalej detektyw — wpatrzyłem się w nią wzrokiem, który, jak często się przekonałem, robi zawsze wrażenie na kobietach, i zapytałam, o której godzinie jej syn wrócił.

— Nie wiem — odparła.

— Nie wie pani?

— Nie. Ma klucz od zamka i wszedł, nie budząc nikogo.

— Pani zatem już spała.

— Tak.

— A kiedy udała się pani na spoczynek?

— Około jedenastej.

— W takim razie syn pani bawił poza domem około dwóch godzin?

— Tak.

— A może cztery lub pięć?

- Może.
- Cóż robił przez ten czas?
- Nie wiem — odparła, blednąc silniej jeszcze.

Oczywiście, potem nie miałem już wyboru. Dowiedziałem się, gdzie przebywa porucznik Charpentier, wziąłem ze sobą dwóch policjantów i aresztowałem go. Gdy położyłem mu rękę na ramieniu i wezwałem spokojnie, aby poszedł ze mną, odpowiedział mi z niesłychaną bezczelnością: „Przypuszczam, że aresztujecie mnie jako zamieszanego w sprawę zabójstwa tego łotra Drebbbera”. Nie wspomnieliśmy mu ani słowa o zbrodni, więc jego uwaga była bardzo podejrzana.

— Bardzo — rzekł Holmes.

— Trzymał w ręku tę samą grubą laskę, którą, jak mówiła matka, wziął ze sobą, gdy wybiegł ścigać Drebbbera. To sękaty dębowy kij.

— Jakie jest zatem pańskie mniemanie?

— Otóż moim zdaniem ścigał on Drebbbera aż do Brixton Road. Tam zaszła między nimi nowa awantura, porucznik kropnął Drebbbera laską w sam dołek, co spowodowało jego śmierć, nie zostawiając najmniejszego śladu. Deszcz był tak ulewny, że na ulicy panowała zupełna pustka i Charpentier mógł niepostrzeżenie zawlec zwłoki swojej ofiary do pustego domu. Co się tyczy świecy, krwi, wyrazu napisanego na ścianie i obrączki, uważam, że to wszystko wybiegi, żeby zmylić ślad i wprowadzić w błąd policję.

— Sprawił się pan doskonale, panie Gregson — rzekł Holmes zachęcającym tonem. — Doprawdy, myślę, że będziemy jeszcze mieli z pana pociechę.

— Pochlebiam sobie, rzeczywiście, że nieźle poprowadziłem sprawę — odparł detektyw z dumą. — Porucznik zeznał niezwłocznie, że śledził Drebbbera przez pewien czas, ale ten go dostrzegł i wsiadł do dorożki, aby mu się wymknąć. Wracając do domu, porucznik Charpentier spotkał dawnego kolegę i odbył z nim długą przechadzkę. Zapytano, gdzie mieszka ten kolega, nie był w stanie dać zadowalającej odpowiedzi. Myślę, że wszystkie te zajścia mają ze sobą niezaprzeczony związek. Bawi mnie tylko ten Lestrade, który się puścił fałszywym śladem. Obawiam się, że niewiele się dowie. Ale co to? Toż to on sam we własnej osobie.

Istotnie w tej chwili wszedł do pokoju Lestrade, pozbawiony jednak tej pewności siebie i stanowczości, jakie zwykle cechowały jego zachowanie. Twarz miał zmienioną, strwożoną, odzienie nieoczyste, zaniedbane. Przyszedł widocznie z zamiarem zasięgnięcia rady Sherlocka Holmesa, gdyż spostrzegłszy kolegę, zmieszał się i nachmurzył. Stał na środku pokoju, obracając nerwowym ruchem kapelusz i nie wiedząc, co począć.

— Wypadek rzeczywiście niesłychany — rzekł wreszcie. — Sprawa zupełnie niezrozumiała.

— Ach! Tak pan uważa, panie Lestrade? — zawołał Gregson triumfująco. — Byłem pewien, że dojdzie pan do tego wniosku. Czy odszukał pan wreszcie sekretarza, tego Josepha Stangersona?

— Tego sekretarza, pana Josepha Stangersona — odparł Lestrade poważnie — zamordowano dzisiaj około szóstej rano w hotelu Halliday.

## ROZDZIAŁ VII. ŚWIATŁO WŚRÓD CIEMNOŚCI

Nowina, jaką powitał nas Lestrade, była tak ważna i niespodziewana, że wszyscy trzej osłupieliliśmy. Gregson zerwał się z krzesła i wylał resztkę whisky z wodą. Ja w milczeniu patrzyłem na Sherlocka Holmesa, który siedział z zaciśniętymi ustami i zmarszczonymi brwiami.

— I Stangerson także! — szepnął. — Sprawa się wikła.

— Była i bez tego dość zawikłana — mruknął Lestrade, siadając. — Ale zdaje mi się, że przerwałem naradę wojenną?

— Czy?... czy jest pan pewien tej nowiny? — wybuchnął Gregson.

— Wracam z jego pokoju — odparł Lestrade. — Pierwszy odkryłem, co się stało.

— Usłyszeliśmy właśnie mniemanie Gregsona w tej sprawie — zauważył Holmes. — Czy nie zechciałby pan nam opowiedzieć, co pan widział i zrobił?

— I owszem — odparł Lestrade. — Wyznaję szczerze, iż byłem przekonany o udziale Stangersona w zamordowaniu Drebbbera. Dopiero ten nowy fakt wykazał, iż najzupełniej

się myliłem. Zajęty tą jedną myślą, zabrałem się do odszukania sekretarza. Otóż widziano ich razem na stacji Euston około pół do dziewiątej wieczorem trzeciego. O drugiej nad ranem Drebbler został znaleziony przy Brixton Road. Najważniejsze wtedy na razie było dowiedzenie się, co Stangerson robił między pół do dziewiątej a czasem, w którym popełniono zbrodnię, i co się z nim stało później. Zatelegrafowałem do Liverpoolu, podając nazwisko i pewne wskazówki co do Stangersona i zalecając baczny nadzór nad statkami amerykańskimi. Następnie sam zabrałem się do roboty i zacząłem chodzić po wszystkich hotelach i pensjonatach w okolicy stacji Euston. Myślałem bowiem, że jeśli wbrew moim przypuszczeniom Drebbler rozstał się ze swoim towarzyszem, ten ostatni, oczywiście, spędził noc gdzieś w tej samej dzielnicy, aby następnego ranka pójść znów na stację.

— Prawdopodobnie przed rozstaniem umówili się, gdzie się nazajutrz spotkają — zauważył Holmes.

— Tak było istotnie. Spędziłem cały wczorajszy wieczór na bezowocnych poszukiwaniach. Dzisiaj zacząłem na nowo od wczesnego ranka i o ósmej byłem w hotelu Halliday przy Little George Street. Na moje pytanie, czy mieszka tam pan Stangerson, odpowiedziano mi twierdząco.

— Niewątpliwie pan jest tym, na którego pan Stangerson czeka — powiedziano mi. — Spodziewa się kogoś od dwóch dni.

— Gdzie teraz jest? — spytałem.

— U siebie. Śpi jeszcze, kazał się obudzić o dziewiątej.

— Pójdę do niego — odparłem.

Pomyślałem, że moje niespodziane pojawienie się zmiesza go do tego stopnia, iż wyrwie mu jakieś niebaczne słowo. Portier poszedł ze mną, aby mi wskazać pokój. Znajdował się na drugim piętrze, a prowadził do niego mały korytarzyk. Portier pokazał mi drzwi i zamierzał zejść na dół, gdy naraz spostrzegłem coś, co przejęło mnie trwogą pomimo moich dwudziestu lat doświadczenia. Spod drzwi sączył się wąski strumyk krwi, który przepłynął przez korytarzyk i utworzył małą kałużę pod przeciwległą ścianą. Krzyknąłem, co skłoniło portiera do powrotu. Omal nie zemdlął na widok krwi. Drzwi były zamknięte od wewnątrz, ale podważyliśmy je we dwóch i wylaliśmy. Okno w pokoju było otwarte, a obok okna leżały skurczone zwłoki mężczyzny w koszuli nocnej. Nie żył już widocznie od jakiegoś czasu, gdyż był sztywny i zimny. Gdyśmy go odwrócili, portier poznał od razu, że był to ten sam człowiek, który wynajął pokój jako Joseph Stangerson. Przyczyną śmierci było pchnięcie nożem czy sztyłem w lewy bok, takie głębokie, że musiało przebić serce. A teraz przychodzi rzecz najdziwniejsza. Jak się panu zdaje, co znajdowało się ponad zamordowanym?

Dreszcz wstrząsnął mną od stóp do głowy, ogarnęło mnie przeczucie czegoś straszego, zanim jeszcze Sherlock Holmes odpowiedział:

— Wyraz „Rache” napisany krwią.

— Tak jest! — odparł drżącym głosem Lestrade i przez dobrą chwilę milczeliśmy wszyscy.

Postępowanie nieznanego mordercy było tak systematyczne i niezrozumiałe, że zbrodnia stawała się tym straszniejsza. Moje nerwy, zahartowane na polu bitwy, zaczęły mi odmawiać posłuszeństwa, drżałem cały.

— Widziano zabójcę — ciągnął dalej Lestrade. — Chłopiec sprzedający mleko, jadąc do mleczarni uliczką między oborą a tyłami hotelu, zauważył, że drabina, która tam zwykle leżała, była oparta o jedno z okien na drugim piętrze, otwarte na oścież. Chłopak, minąwszy hotel, obejrzał się i spostrzegł na drabinie jakiegoś człowieka, który schodził z takim spokojem, tak nie zdradzając żadnego wzruszenia, że chłopak wziął go za stolarza lub cieślę pracującego w hotelu. Nie zwrócił więc na niego specjalnej uwagi, dziwił się tylko, że tak wcześnie zaczyna robotę. Chłopak ma wrażenie, że mężczyzna był wysoki, miał czerwonawą twarz i miał na sobie długi, brązowy płaszcz. Popelnivszy zabójstwo, pozostał widocznie jeszcze przez czas jakiś w pokoju, znaleźliśmy bowiem wodę z krwią w miednicy, gdzie mył ręce, a na prześcieradle plamy krwi, wykazujące, że ocierał nim nóż.

Spojrzałem na Holmesa, słysząc ten rysopis zabójcy, identyczny z tym, jaki on mi podał. Ale na twarzy mego towarzysza nie dostrzegłem najlżejszego śladu uczucia trwogi lub choćby zadowolenia.

— Czy nie znaleźliście w pokoju nic, co mogłoby naprowadzić na ślad mordercy? — spytał.

— Nic zupełnie. Stangerson miał w kieszeni sakiewkę Drebbbera, ale tak pewnie bywało zazwyczaj, skoro płacił za niego wszystkie rachunki. W sakiewce było przeszło osiemdziesiąt funtów. Jakiegokolwiek są pobudki tych niezwykłych zbrodni, rabunek jest zupełnie wykluczony. Nie znalazłem przy zamordowanym ani papierów, ani żadnych notatek, tylko jeden telegram, datowany z Cleveland jakiś miesiąc temu, zawierający słowa: „J. H. jest w Europie”. Bez podpisu.

— I nic więcej? — spytał Holmes.

— Nic ważnego. Na łóżku leżała powieść, którą nieszczęśliwy człowiek czytał widocznie przed zaśnięciem, a na krześle obok — fajka. Na stoliku stała szklanka wody, a na parapecie okna małe drewniane pudełeczko z dwiema pigułkami.

Sherlock Holmes zerwał się z krzesła, wydając okrzyk radości.

— Ostatnie ogniwo! — zawołał. — Już teraz nie brak mi niczego.

Policjanci spojrzeli na niego wzrokiem pełnym bezbrzeżnego zdumienia.

— Mam nareszcie w ręku wszystkie nici, które składają na się ten zagmatwany węzeł — rzekł mój towarzysz tonem zwierzenia. — Są jeszcze, oczywiście, pewne luki, ale to drobne szczegóły. Głównych faktów, jakie zaszły od czasu rozstania się Drebbbera ze Stangersonem na stacji do chwili znalezienia zwłok, jestem wszelako tak pewny, jak gdybym na nie patrzył własnymi oczyma. Dam wam zaraz dowód. Panie Lestrade, nie ma pan przypadkiem tych pigulek przy sobie?

— Owszem — odparł Lestrade, wyjmując z kieszeni białe pudełeczko. — Zabrałem je ze sobą z sakiewką i depeszą i zamierzam złożyć wszystko razem w biurze policyjnym. Ale pigułki wziąłem przypadkiem, bo muszę wyznać, że nie przywiązuję do nich żadnej wagi.

— Proszę mi je dać — rzekł Holmes. — A teraz, doktorze — dodał, zwracając się do mnie — czy to zwyczajne pigułki?

Nie, stanowczo. Były perłowszare, małe, okrągłe i prawie przezroczyste pod światło.

— Wnosząc z ich lekkości i przezroczystości, muszą być rozpuszczalne w wodzie — zauważyłem.

— Właśnie — odparł Holmes. — A teraz doktorze, czy zechciałby pan zejść i przynieść tu tego nieboraka jamnika, który męczy się już tak długo, że aż gospodyni prosiła wczoraj, abyś pan położył kres jego cierpieniom?

Zszedłem do kuchni, przyniosłem pieska i położyłem go na poduszce przed kominem. Ciężki oddech jamnika, szkliste oczy wskazywały, że jego koniec się zbliżał, a biały jak śnieg pysk dowodził, że przekroczył już zwykle granice żywota psów swojej rasy.

— Przekroję teraz jedną pigułkę na pół — rzekł Holmes i dobywając szczyryka, zmienił swoje słowa w czyn. — Jedną połówkę chowam do pudełka, bo będzie mi później potrzebna, a drugą kładę do tego kieliszka, gdzie jest łyżeczka wody. Widzicie panowie, że nasz przyjaciel, doktor, ma słuszość, i pigułka z łatwością się rozpuszcza.

— To doświadczenie może być bardzo interesujące — odezwał się Lestrade tonem człowieka, który podejrzewa, że drwiał z niego. — Nie widzę jednak, co to wszystko może mieć wspólnego ze śmiercią Josepha Stangersona?

— Cierpliwości, mój przyjacielu, cierpliwości! Przekona się pan we właściwym czasie, że ma bardzo wiele wspólnego. Teraz dodaję trochę mleka, żeby mikstura była smaczniejsza, daję psu i widzimy, że pije chętnie.

Mówiąc to, Holmes wylał płyn z kieliszka do spodeczka i postawił go przed psem, który chciwie wylał wszystko do ostatniej kropli. Poważne zachowanie się Holmesa oddziało na nas do tego stopnia, że siedzieliśmy wszyscy, milcząc, wpatrzeni w psa, czekając jakiegos zduńiewającego wyniku. Daremnie wszakże. Pies leżał w dalszym ciągu wyciągnięty na poduszce, oddychając z trudnością, nie czując się widocznie ani lepiej, ani gorzej po zażyciu lekarstwa.

Holmes wyjął zegarek, a w miarę tego jak upływała minuta za minutą, nie przynosząc żadnego rezultatu, na jego twarzy odbijało się coraz dobitniej wielkie zmartwie-



nie i rozczarowanie. Gryzł wargi, bębnił palcami po stole, objawiał w ogóle gwałtowne zniecierpliwienie. Był tak silnie wzburzony, że żał mi się go zrobiło, gdy obaj policjanci uśmiechali się drwiąco, zachwyceni porażką.

— Niepodobna, żeby to był zbieg okoliczności — zawołał, zrywając się na koniec z krzesła. — Niepodobna, żeby to był tylko zwykły zbieg okoliczności — powtórzył, chodząc wielkimi krokami po pokoju. — Te same pigułki, których działania domyślałem się w sprawie Drebbiera, ukazują się znów po śmierci Stangersona. A jednak są nieszkodliwe. Co to może znaczyć? Cały łańcuch moich dowodzeń nie może być fałszywy. To niepodobna! A jednak ten przeklęty pies nie zdycha... A, mam!... Mam już, mam!

Z okrzykiem radości rzucił się na pudełeczko, przekroił drugą pigułkę na połowę, dodał mleka i podsunął znów spodeczek jamnikowi. Zaledwie nieszczęśliwy piesek umoczył język, konwulsyjne drgawki szarpnęły nim kilkakrotnie i padł martwy i sztywny, jak rżony piorunem.

Sherlock Holmes odetchnął głęboko i otarł pot z czoła.

— Powinienem być mieć więcej wiary — rzekł — powinienem być wiedzieć, że gdy jakiś fakt zaprzecza pozornie całemu szeregowi wniosków, okazuje się zawsze, że należy dla tego faktu szukać innego wyjaśnienia. Z dwóch pigulek w tym pudełku jedna zawierała zabójczą truciznę, a druga była zupełnie nieszkodliwa. Powinienem być wiedzieć o tym, zanim nawet ujrzałem pudełko.

To ostatnie twierdzenie wydało mi się takie zdumiewające, że trudno doprawdy było mi uwierzyć, iż Holmes mówi przytomnie. Niemniej jednak nieżywy pies potwierdzał jego wywody. Czulem, że mgła przysłaniająca mój umysł stopniowo się rozprasza, że zaczyna zarysowywać się w nim niejasne pojęcie prawdy.

— Wszystko to wydaje wam się tak osobliwie — ciągnął dalej Holmes — dlatego, że od początku śledztwa nie uchwyciliście całego znaczenia jedynej prawdziwej wskazówki, jaka się wam nastęrczała. Los zrzędził, że od razu zdałem sobie z tego sprawę, a wszystko, co zaszło następnie, potwierdziło tylko moje początkowe podejrzenie i było faktycznie tylko naturalnym jego wynikiem. Stąd rzeczy, które was wprawiały w osłupienie i w naszym mniemaniu zaciemniały sprawę, mnie posłużyły do wyjaśnienia i do wzmocnienia słuszności moich wniosków. Błędne jest mniemanie, że wypadki niezwykle są zarazem tajemnicze. Najpospolitsza zbrodnia bywa często najbardziej tajemnicza, dlatego że nie zawiera żadnych nowych ani odrębnych cech, z których można by wyprowadzić wnioski. Zabójstwo zajmujące nas obecnie byłoby daleko trudniejsze do wyjaśnienia, gdyby zwłoki ofiary zostały znalezione po prostu na drodze, bez tych wszystkich sensacyjnych okoliczności, jakie od razu nadały wybitne piętno całej zbrodni. Wszystkie te osobliwe szczegóły nie tylko, że nie utrudniały wyjaśnienia sprawy, ale przeciwnie jeszcze, ułatwiły nasze zadanie.

Gregson, który słuchał tych wywodów z widoczną niecierpliwością, nie mógł się dłużej powstrzymać.

— Panie Holmes — rzekł — jesteśmy gotowi wszyscy przyznać, że z pana dzielny człowiek i że pan ma własną metodę pracy. Niemniej teraz same teorie i kazania na nic nam się nie przydadzą. Teraz chodzi o schwytywanie zabójcy. Działalem na własną rękę i zdaje mi się, że byłem w błędzie. Młody Charpentier nie może być sprawcą tego drugiego zabójstwa. Lestrade tropił Stangersona i okazuje się, że również się pomylił. Pan tymczasem rzucał od czasu do czasu wzmianki, które każą wnosić, że pan wie więcej od nas. Mamy zatem teraz prawo zapytać pana wprost, co pan wie o tej sprawie. Czy może pan wymienić człowieka, który popełnił te zbrodnie?

— Nie mogę nie przyznać Gregsonowi, że ma słuszność — zauważył Lestrade. — Obaj robiliśmy, co było w naszej mocy, i obaj ponieśliśmy porażkę. Niejednokrotnie, od czasu jak jestem tutaj, wspominał pan, że ma pan wszystkie potrzebne dowody zbrodni. Myślę, że ich pan dłużej dla siebie nie zatrzyma.

— Najmniejsza zwłoka w aresztowaniu zbrodniarza — zauważyłem — może mu nastręczyć sposobność popełnienia jakiegoś nowego okrucieństwa.

Naglony tak przez nas wszystkich, Holmes wahał się widocznie. Chodził ciągle po pokoju z głową spuszczoną na piersi i zmarszczonymi brwiami, jak zawsze, gdy nad czymś głęboko rozmyślał.

— Nie będzie już żadnych morderstw — rzekł w końcu, stając nagle przed nami. — Możecie być tego pewni. Zapytaliście mnie, czy znam nazwisko mordercy. Znam. Sama świadomość jego nazwiska jest drobnostką w porównaniu z trudnością schwytania go. Liczę jednak, że to wkrótce nastąpi. Mam nadzieję dokonać tego własnymi siłami. Ale to sprawa wymagająca wiele taktu, bo mamy do czynienia z człowiekiem przebiegłym i zdolnym do wszystkiego, który ma pomocnika równie mądrego jak on sam, o czym miałem się sposobność przekonać. Dopóki ten człowiek nie domyśla się, że ktoś go śledzi, jest pewna szansa schwytania go. Ale skoro tylko powźmie najlżejsze podejrzenie, zmieni nazwisko i zniknie w jednej chwili wśród milionów mieszkańców naszej olbrzymiej stolicy. Nie mając najmniejszego zamiaru urazić któregokolwiek z panów, zmuszony jestem oświadczyć, że uważam, iż tym ludziom policja nie sprostą i dlatego nie prosiłem panów o pomoc. Jeśli mi się nie uda, cała wina za to niepowodzenie spadnie oczywiście na mnie. Jestem na to przygotowany. Na razie przyrzekam, że z chwilą gdy będę mógł podzielić się tym, co wiem, bez szkody dla swoim planów, uczynię to niechybnie.

Gregson i Lestrade nie byli bynajmniej zadowoleni z tego przyrzeczenia ani też zachwyceni lekceważącą wzmianką o policji. Lestrade zaczerwienił się aż po same korzonki swoich konopiastych włosów, a w okrągłych, wylupiastych oczach Gregsona zabłyśła ciekawość i niechęć. Zanim wszakże którykolwiek z nich zdążył sformułować jakieś zdanie, odezwało się nieśmiałe pukanie do drzwi i ukazał się przedstawiciel bandy urwisów, Wiggins we własnej, lichej i podejrzanej osobie.

— Proszę łaski pana — oznajmił — dorożka stoi na dole.

— Dobrze się sprawileś, chłopcze — rzekł Holmes obojętnie. — Dlaczego nie wprowadzacie tego systemu do Scotland Yardu? — ciągnął dalej, wyjmując z szuflady stalowe kajdanki. — Spójrzcie, jaka doskonała sprężyna. W okamgnieniu człowiek jest spętany.

— Stary system też jest dobry — zauważył Lestrade — bylebyśmy tylko mogli znaleźć człowieka, któremu moglibyśmy je nałożyć.

— Prawda, prawda — odparł Holmes z uśmiechem. — Dorożkarz mógłby mi pomóc zamknąć i znieść kuferek. Wiggins, zawołaj go na górę.

Zdumiałem się, słysząc, że mój towarzysz mówi o wyjeździe, nie uprzedziwszy o tym ani jednym słowem. W kącie pokoju stał mały kuferek, Holmes wydobył go i zaczął zapinać sprzączkę. Był zupełnie zatopiony w tym zajęciu, gdy dorożkarz wszedł do pokoju.

— Niech mi pan pomoże zapiąć ten rzemień — odezwał się Holmes, nie odwracając głowy.

Woźnica zbliżył się, spoglądając nieufnie dokoła i położył ręce na kufunku, aby pomóc Holmesowi. W tej chwili rozległ się suchy trzask, metaliczny dźwięk i Sherlock Holmes zerwał się na równe nogi.

— Panowie! — zawołał z błyszczącym wzrokiem. — Pozwólcie, niech wam przedstawię pana Jeffersona Hope'a, mordercę Enocha Drebbra i Josepha Stangersona.

Wszystko to stało się z tak błyskawiczną szybkością, że nie mogłem się zorientować, co się dzieje. Chwila ta utkwiała mi doskonale w pamięci: pamiętam wyraz triumfu w oczach Holmesa, dźwięk jego głosu, dziką rozpacz na twarzy dorożkarza, gdy spoglądał na lśniące kajdanki, które jakby na skutek czarodziejskiego zaklęcia zacisnęły się dokoła jego rąk.

Przez kilka sekund staliśmy wszyscy bez ruchu jak posągi. Po czym nagle woźnica z wściekłym rykiem wyrwał się z uścisku Holmesa i rzucił się ku oknu. Rama i szyby rozleciały się w kawałki, ale zanim zdołał wyskoczyć, Gregson, Lestrade i Holmes poskoczyli ku niemu jak psy gończe za zwierzyną. Zaciągnęli go na środek pokoju i tu rozpoczęła się straszna walka. Był tak silny i gwałtowny, że co chwila pokonywał nas wszystkich czterech. Miał moc człowieka w napadzie epileptycznym.

Twarz i ręce miał okropnie pokaleczone szkłem, ale utrata krwi nie zmniejszyła bynajmniej jego siły oporu. Dopiero gdy Lestrade'owi udało się wsunąć dłoń za krawat i gdy zaczął go dusić, zbrodniarz dał za wygraną. Ale i wówczas nie byliśmy pewni swego, dopóki nie skuliśmy jego nóg tak samo jak rąk, po czym powstaliśmy wyczerpani, nie mogąc złapać tchu.

— Na dole stoi jego dorożka — rzekł Sherlock Holmes. — Możemy z niej skorzystać, zawiezie nas do Scotland Yardu. A teraz, panowie — ciągnął dalej z uprzejmym uśmiechem — mamy wyjaśnienie naszej małej tajemnicy. Możecie mnie pytać, o co wam się tylko spodoba, odpowiem na wszystko z przyjemnością.

# CZĘŚĆ II. W KRAINIE ŚWIĘTYCH

## ROZDZIAŁ I. NA SŁONEJ PUSTYNI

Środkową część rozległych obszarów Ameryki Północnej zajmuje wielka, przerażająca pustynia, która przez szereg lat stanowiła nieprzebytą zaporę, powstrzymującą pochód cywilizacji. Od Sierra Nevada do Nebraski, od rzeki Yellowstone na północy do rzeki Colorado na południu panuje wszechwładnie pustka i milczenie. Przyroda nie jest jednostajna na tej ponurej przestrzeni. Wznoszą się tu wysokie góry o pokrytych śniegiem szczytach, są ciemne, smętne doliny. Wartkie potoki torują sobie drogę przez ciasne wąwozy, to znów ciągną się bezbrzeżne równiny, w zimie pokryte śnieżnym całunem, a latem zasłane grubą, szarą warstwą solnego pyłu. Wszędzie jednakże wyciśnięte to samo niegościnnie piętno bezpłodności i nędzy.

Ta kraina rozpaczy nie ma stałych mieszkańców. Od czasu do czasu przebiega ją tylko gromada czerwonoskórych Paunisów<sup>38</sup>, szukając nowych terenów do polowania, lecz najśmielsi z odważnych cieszą się, gdy znikną im z oczu te okropne obrazy, a oni znajdują się znów wśród swoich rozległych łąk. Myszołów, przecinający szybkim lotem powietrze, ociężały niedźwiedź, szukający wśród urwisk skalistych pożywienia — oto jedyni mieszkańcy tej pustyni.

Na całym świecie nie ma smutniejszego krajobrazu niż ten, który roztacza się z północnego stoku Sierra Blanco. Jak okiem sięgnąć ciągnie się płaszczyna zasłana jakby wielkimi płatami soli, poprzecinana skarłowaciałymi zaroślami. Na krańcu widnokregu wznosi się łańcuch gór, które rozdierają obłoki swymi nagimi, zaśnieżonymi szczytami. Na tym rozległym obszarze ustało wszelkie życie. Nigdy ptak nie szybuje pod stalowym sklepieniem nieba, żadna żywa istota nie porusza się na martwej, szarej ziemi — ponad wszystkim góruje bezwzględne milczenie. Największe wytężenie słuchu nie pochwyti śladu dźwięku wśród tej potężnej pustyni, wszędzie cisza, nic oprócz ścinającej lodem serce ciszy.

Czy naprawdę można twierdzić, że na tym rozległym obszarze nie ma śladów istnienia żywych stworzeń? Kto z wysokości Sierra Blanco spojrzy na równinę, ten dostrzeże szlak wijący się wśród pustyni i niknący w dali. Wyżłobiły na nim bruzdy nieliczne koła, wydeptały ślady stopy licznych awanturników. Tu i ówdzie lśnią w słońcu jakieś białe przedmioty i odcinają się jaskrawo od szarej warstwy pyłu solnego. To kości i szkielety: jedne wielkie, grube, inne znacznie mniejsze, delikatniejsze. Pierwsze to szczątki zwierzęce, drugie — ludzkie. Na przestrzeni tysiąca pięciuset mil ciągnie się ta karawana szkieletów, rozsiane kościotrupy tych, którzy padli na szlaku.

W dniu 4 maja 1847 roku samotny podróżnik patrzył ze szczytu na ten rozpaczliwy krajobraz. Wyglądał jak duch pokutujący wśród tej pustki. Trudno było określić jego wiek, czy bliższy był czterdziestki, czy też sześćdziesiątki. Twarz miał wychudłą, rysy ostre, a poźółkła skóra, sucha niby pergamin, przylegała do wystających kości. Srebrne pasma przewijały się w gęstej, ciemnej czuprynie i rozczochranej brodzie. Oczy, głęboko zapadłe, gorzały nienaturalnym blaskiem. Dłoń, zaciśnięta na strzelbie, mogła uchodzić za dłoń szkieletu. Opierał się na broni, nie mogąc widocznie się utrzymać, chociaż wysoki wzrost i barczysta postać wskazywały męską siłę. Lecz zapadnięta twarz, zbyt szerokie ubranie, obwisłe na wychudzonej postaci, wskazywały nazbyt jasno przyczynę tego nędznego wyglądu. Człowiek ten umierał... umierał z głodu i pragnienia.

Z trudnością zeszedł do wąwozu, z większym mozolem wdrapał się na wzgórze, w nadziei, daremnej niestety, że tam znajdzie jakiś ślad wody. Ale teraz przed jego wzrokiem rozciągała się tylko wielka równina solna, a w dali grzbiety groźnego łańcucha gór — nigdzie znaku rośliny ani drzewa, które wskazywałoby istnienie źródła lub jakiejś kałuży. Daremnie wodził błędnym okiem dokoła, zwracał wzrok to na północ, to na wschód, to na zachód. Zrozumiał, że nadszedł koniec, że tu kres jego wędrówki i że skona tu, na tej nagiej skale.

<sup>38</sup>Paunisi (ang. Pawnee) — plemię Indian Ameryki Północnej, zamieszkujących niegdyś tereny obecnego stanu Nebraska. [przypis edytorski]

— Dlaczego nie? Wszystko jedno, czy tu teraz, czy za lat dwadzieścia w wygodnym łóżku — szepnął, siadając pod osłoną olbrzymiego głazu.

Zanim usiadł, rzucił na ziemię swoją niepotrzebną broń, złożył duży tłumok, związany szarym szalem. Dźwigał go na prawym ramieniu, a był widocznie za ciężki na jego siły, gdyż opuścił go zbyt gwałtownie na ziemię. W tejże chwili z wnętrza szarego zawiniątka odezwał się żaloszny okrzyk i wysunęła się drobna, wylęklą twarzyczka dziecięca, w której jaśniały wielkie piwne oczęta, a po niej maleńkie, pulchne, zaciśnięte piąstki.

— Uderzyłeś mnie! — odezwał się dziecięcy głos tonem wyrzutu.

— O, Boże — odparł zmieszany mężczyzna. — To nieumyślnie.

Mówiąc to, odwinął szary szal i wydobył z niego pięcioletnią może dziewczynkę. Ładne trzewiczki, zgrabna różowa sukienka i biały fartuszek wskazywały, że ubierała ją troskliwa matka. Dziecko było blade i znużone, ale zaokrąglone ręce i łydki świadczyły, że nie przecierpiałoby tyle, co jego towarzysz.

— Boli cię jeszcze? — spytał z niepokojem, widząc, że dziewczynka pociera tył głowy, okryty bujnymi, jasnymi jak jedwab, miękkimi kędziorami.

— Pocałuj mnie tu, to się zagoi — odparła z całą powagą, wskazując obolałe miejsce. — Mama zawsze tak robi. A gdzie mama?

— Odeszła. Myślę, że niedługo znów ją zobaczysz.

— Odeszła? — rzekła dziewczynka — Jakie to dziwne, że się ze mną nie pożegnała. Zawsze się żegnała, choć by tylko poszła do cioci na herbatkę, a teraz to już nie ma jej trzy dni!... Słuchaj, tak mi się chce pić... Nie ma wody?... Chce mi się jeść... Daj mi coś do zjedzenia!

— Nie mam nic, kochanie. Musisz być jeszcze trochę cierpliwa, a potem już ci będzie dobrze. Oprzyj główkę o moje ramię, o tak... będzie ci wygodniej. Niełatwo to mówić, gdy język suchy jak skóra, ale wołę ci już powiedzieć wszystko... Co ty tam masz?

— O, jakie to ładne, jakie to śliczne! — zawołało dziecko radośnie, pokazując mu dwa kawałki miki, iskrzące się w słońcu. Jak wrócimy do domu, dam to braciszкови, Bobowi.

— Ujrzyś niedługo ładniejsze rzeczy — szepnął mężczyzna — poczekaj trochę... Ale chciałem ci powiedzieć... Czy pamiętasz, jak minęliśmy rzekę?

— O, tak.

— A więc, liczyliśmy, że znajdziemy niezadługo drugą rzekę, ale pomyliliśmy się... Kompas czy mapa wskazały nam złą drogę, nie wiem, i nie znaleźliśmy rzeki. Nasza woda wyczerpała się, zostało kilka kropel dla ciebie i... i...

— I nie mogłeś się umyć — przerwała dziewczynka poważnie, spoglądając na jego okrytą kurzem twarz.

— Tak, ani napić. A potem umarł najpierw pan Bender, a potem Indianin Pete i pani Mac Gregor, i Johnny Hones, i w końcu, kochanie, twoja mama....

— To mama także umarła! — krzyknęło dziecko, wtuliło buzię w fartuszek i rozszlochało się żalosznie.

— Tak, umarli wszyscy, prócz mnie i ciebie. Potem myślałem, że znajdziemy wodę w tych stronach. Wziąłem cię na plecy i powędrowaliśmy. Ale zawiodła mnie nadzieja... Teraz nie mamy już chyba czego się spodziewać!

— To może i my umrzemy, co? — spytało dziecko, przerywając nagle płacz i zwracając do towarzysza zalaną łzami twarzyczkę.

— Tak, dziecko moje, tak mi się zdaje.

— Dlaczegoś mi tego od razu nie powiedział? — spytała, śmiejąc się radośnie. — Tak mnie przestraszyłeś! Przecież jak umrzemy, to będziemy znów razem z mamusią.

— Tak, kochanie, ty pójdziesz do mamusi.

— I ty także. Ja już jej powiem, jakiś ty był dla mnie dobry. Wiesz, założę się z tobą, że będzie czekała na nas we drzwiach nieba z wielkim dzbankiem wody i z koszykiem gorących placków gryczanych, obsmażonych z obu stron... wiesz, takich, jak Bob i ja bardzo lubimy. A jak to długo jeszcze potrwa?

— Nie wiem... pewnie niedługo.

Mężczyzna skierował wzrok w północną stronę widnokręgu. Na błękitnym sklepieniu nieba ukazały się trzy ciemne punkciki, które wzrastały i zbliżały się z niesłychaną szybkością. Były to trzy wielkie ptaki, o ciemnych piórach, które zataczały koła ponad

Śmierć

głowami podróżników i w końcu usiadły na skale ponad nimi. Były to myszołowy, sępy zachodu, zwiastuny śmierci.

— Koguty i kury! — zawołała dziewczynka z radością, wskazując złowróżbne ptaki i klaszcząc w dłonie, aby je spłoszyć. — Powiedz, czy to Pan Bóg stworzył ten kraj?

— Naturalnie — odparł mężczyzna, zdumiony tym zapytaniem.

— Chyba, że nie — szczebiotało dalej dziecko. — Bóg stworzył przecież tamten kraj, Illinois, ale ten to musiał zrobić ktoś inny, bo jest dużo gorzej zrobiony. Zapomniano tu o wodzie i drzewach.

— A może byś się trochę pomodliła? — spytał mężczyzna nieśmiało.

— Kiedy jeszcze nie noc.

— Nic nie szkodzi. Ręczę, że Pan Bóg nie będzie się gniewał, chociaż to dzień. Zmów te modlitwy, które odmawiałaś co wieczór na wózk, jak byliśmy jeszcze w preriach.

— A dlaczego ty sam nie zmówisz? — spytało dziecko, patrząc zdumionymi oczyma na mężczyznę.

— Zapomniałem — odpowiedział. — Byłem jak połowa tej strzelby, kiedym się już odzwyczaił od modlitwy... Ale nigdy nie jest za późno... Odmawiaj, kochanie, modlitwy głośno, a ja będę powtarzał za tobą.

— No, to musisz uklęknąć, i ja także — odparła dziewczynka, rozpościerając szal. — Teraz złożysz ręce, o tak... Zobaczysz, zaraz poczujesz, żeś lepszy.

Szczególny to był widok, któremu przypatrywały się tylko myszołowy. Na wąskim szalu uklękli obok siebie swawolne dziecko i stary, zahartowany awanturnik. Okrągła, niewinna twarzyczka i wynędzniałe kościste oblicze zwróciły się razem ku błękitowi nieba, a z dwojga serc, tak różnych, wzniosła się w jednakim porywie modlitwa do Najwyższego. Dwa głosy — jeden cienki i czysty, drugi niski i ochryply — zły się w błaganu o miłosierdzie i przebaczenie.

Gdy skończyli modlitwę, powrócili na miejsce pod osłoną głazu i niebawem dziecko zasnęło, przytulone do szerokiej piersi opiekuna. On zaś czuwał przez czas jakiś nad snem dziecka, lecz w końcu natura wzięła górę. Przez trzy dni i trzy noce nie zaznał snu ani odpoczynku. Powieki opadły na znużone oczy, głowa pochylała się coraz niżej na pierś, aż wreszcie siwa broda mężczyzny złączyła się ze złotymi kędziorami dziecka i oboje spali snem twardym, bez marzeń.

Gdyby wędrowiec zasnął o pół godziny później, oczom jego ukazałby się osobliwy widok. Na samym krańcu rozległej płaszczyzny solnej ukazał się maleńki obłoczek kurzu. Zrazu bardzo lekki i zaledwie dostrzegalny w dali, wzrastał stopniowo, aż utworzył gęsty, wielki tuman, który zbliżał się i rósł ciągle, tak że w końcu oczywiste stało się, iż wywołuje go liczna gromada żywych stworzeń w ruchu.

W żyźniejszej okolicy można by przypuszczać, że to zbliża się jedno z wielkich stad żubrów, pasących się na prerii. Ale w tej pustce, wśród tej suszy, przypuszczenie takie było wprost niemożliwe. W miarę jak tuman kurzu zbliżał się do samotnej skały, na której spoczywali zbłąkani wędrowcy, zarysowały się coraz wyraźniej wozy z budami płóciennymi i postacie uzbrojonych jeźdźców. Była to tedy wędrująca na zachód karawana.

Jakaż olbrzymia! Gdy początek znajdował się już u stóp gór, koniec nie ukazał się jeszcze na widnokręgu. Wędrujące szeregi rozproszyły się po całej bezbrzeżnej równinie, furgony i wózki, mężczyźni konno i pieszo zajęli ją od krańca do krańca. Kobiety szły chwiejnym krokiem, uginając się pod nadmiernymi ciężarami, dzieci dreptały obok wózków lub wychylały się spod płóciennych bud. Nie była to niewątpliwie zwyczajna gromada wychodźców, lecz raczej jakiś koczujący naród, zniewolony siłą okoliczności do szukania nowej ojczyzny. Spośród tego olbrzymiego tłumu wznosiła się głucha wrzawa głosów ludzkich zmieszana ze skrzypem kół i rżeniem koni. Jakkolwiek była głośna, nie zdołała jednak obudzić znużonych wędrowców śpiących na skale nad karawaną.

Na czele pochodu jechało konno kilkunastu mężczyzn o twarzach poważnych i surowych. Odziani byli w ubrania z ciemnego, grubego sukna i uzbrojeni w strzelby. Dotarwszy do stóp urwiska, zatrzymali się i odbyli krótką naradę.

— Studnie są na prawo, bracia — rzekł jeden z nich, z twarzą zupełnie wygoloną, z wąskimi zaciśniętymi ustami i siwiejącymi włosami.

— Na prawo od Sierra Blanco... w takim razie dotrzemy do Rio Grande — odezwał się inny.

Podróż

— Nie obawiamy się braku wody — zawołał trzeci. — Ten, który sprawił, iż woda wytrysła ze skały, nie opuści swego wybranego narodu.

— Amen! Amen! — odpowiedzieli wszyscy chórem.

I zamierzali ruszyć w dalszą drogę, gdy jeden z najmłodszych, obdarzony najbystrzejszym wzrokiem, wydał okrzyk i wskazał głaz wznoszący się nad nimi. Na szczycie powiewał kawałek różowego materiału, odcinając się ostrym, jaskrawym tonem od szarego tła skał. Na ten widok wszyscy powstrzymali konie i chwycili za broń, a inni jeźdźcy nadbiegli galopem, aby wzmocnić awangardę<sup>39</sup>. Wyraz „czerwonoskórzy” był na wszystkich ustach.

— Niepodobna, żeby znalazła się tu liczniejsza gromada Indian — rzekł starszy mężczyzna, który był, jak się zdawało, dowódcą. — Minęliśmy osady Pawnsów i nie powinniśmy spotkać innych szczepów, aż poza łańcuchem wielkich gór.

— Czy mogę pójść zobaczyć, bracie Stangerson? — spytał jeden z gromady.

— I ja też... I ja też... — odezwało się kilkanaście głosów.

— Pozostawcie wasze konie, będziemy tu na was czekali — odparł starszy.

W jednej chwili najmłodszy zeskoczył z siodła, związał razem konie i zaczęli się wdrapywać na stromą pochyłość wiodącą do przedmiotu, który wzbudził zaciekawienie. Szli szybko i bez hałasu, z wprawą i pewnością ludzi przywykłych do chodzenia na zwiady. Pozostali na dole ścigali wzrokiem skaczących ze skały na skałę, aż wreszcie postacie ich zarysowały się na błękitnym tle nieba. Szli teraz, a przodował ten, który pierwszy uderzył na alarm. Nagle jego towarzysze ujrzeni, że unosi ręce w geście zdumienia, a zbliżywszy się do niego, sami osłupieli na widok, jaki przedstawił się ich oczom.

Na małej płaszczyźnie na szczycie skały wznosił się olbrzymi głaz, pod którym leżał wyciągnięty wysoki mężczyzna z długą brodą, barczysty, lecz wychudzony jak szkielet. Jego spokojna twarz i regularny oddech wskazywały, że śpi mocno. Obok niego spoczywało dziecko, które zarzuciło białe, pulchne rączka na żyłastą, ogorzałą szyję, a złotą główkę złożyło na piersi okrytej wytartą aksamitną kurtką. W rozchylonych, różowych ustach dziewczynki jaśniały śnieżną białością drobne ząbki, radosny uśmiech opromieniał dziecienną twarzyczkę. Okrągłe łydki, zakończone stopkami w białych skarpetkach i pantofelkach ze sprzączkami — wszystko to stanowiło szczególny kontrast z wychudzoną postacią jej towarzysza.

Nad śpiącymi, na skraju skały, siedziały nieruchomo trzy wielkie myszołowy, które na widok przybyszów zaczęły wydawać przeraźliwe wrzaski, jakby rozgniewane, że wydzierają im żer, i zabrały się ociężale do odlotu.

Krzyk ptaków obudził śpiących. Zerwali się przerażeni i rozglądali się z trwogą dokoła. Mężczyzna po chwili skoczył na równe nogi i patrzył na równinę, która była tak pusta, gdy sen go zmorzył, a teraz roiła się od ludzi i zwierząt. Na jego twarzy odbił się wyraz niedowierzania. Przesunął kościstą dłonią po oczach.

— Zaczynają się już gorączkowe widzenia — szepnął do siebie.

Dziewczynka stała obok niego, uczepliła się rączką kurtki i nic nie mówiła, tylko zdumionym, pytającym wzrokiem dziecka rozglądała się dokoła.

Ludzie, którzy przybyli tak niespodzianie na ratunek biednym zabłąkanym, przekonali ich niebawem, że nie byli tylko widzeniem. Jeden z nich wziął dziewczynkę i posadził ją sobie na ramieniu, dwaj inni ofiarowali swą pomoc jej wycieńczonemu towarzyszowi i poprowadzili go do wozów.

— Nazywam się John Ferrier — objaśniał wędrowiec. — Z dwudziestu jeden ludzi pozostaliśmy tylko ja i ona. Reszta umarła z głodu i pragnienia tam, na południu.

— Czy to twoje dziecko? — spytał jeden z mężczyzn.

— Myślę, że teraz nabyłem do tego prawo — zawołał wędrowiec. — Jest moja, bo ją uratowałem. Nikt nie zdoła mi jej odebrać. Od dziś nazywa się Lucy Ferrier. A wy kim jesteście? — dodał, spoglądając na swoich barczystych, ogorzałych wybawców. — Jest was, jak widzę, mnóstwo.

— Blisko dziesięć tysięcy — odezwał się jeden z młodzieńców. — Jesteśmy prześladowanymi dziećmi Boga... Wybranymi anioła Moroni...

<sup>39</sup>awangarda — straż przednia, oddział maszerujący przed siłami głównymi. [przypis edytorski]

— Nigdy o nim nie słyszałem — odparł wędrowiec. — Ale też wybrał sobie niemałą gromadę!

— Nie żartuj z tego, co święte. Jesteśmy z tych, którzy wierzą w święte pisma skreślone egipskimi zgłoskami na płytach z kutego złota, które przekazane zostały świętemu Josephowi Smithowi w Palmyrze<sup>40</sup>. Idziemy z Nauvoo, w stanie Illinois, gdzie wzniesiemy naszą świątynię. Szukamy schronienia przed człowiekiem niesprawiedliwym i bezbożnym, choćbyśmy je mieli znaleźć dopiero w głębi pustyni.

Nazwa Nauvoo obudziła widocznie wspomnienie w umyśle Johna Ferriera.

— Wiem już — rzekł. — Jesteście mormonami<sup>41</sup>.

— Jesteśmy mormonami — chórem odpowiedzieli jego towarzysze.

— A dokąd idziecie?

— Nie wiemy. Prowadzi nas ręka Boga w osobie naszego Proroka. Musicie stanąć przed jego obliczem, a on powie, co należy z wami uczynić.

W tej chwili dotarli właśnie do stóp wzgórza i otoczył ich tłum pielgrzymów: blade i przygnębione kobiety, czerstwe i roześmiane dzieci, mężczyźni o surowych twarzach i wyzywającym spojrzeniu. Na widok przybyłych, z których jedno było takie młode, a drugi tak wynędzniały, ze wszystkich stron odezwały się okrzyki zdumienia i współczucia. Ci, co ich przyprowadzili, nie pozwolili im jednak się zatrzymać, lecz naglili do dalszej drogi i szli tak, otoczeni licznym tłumem mormonów, dopóki nie stanęli przed wozem, który zwracał uwagę wielkością i bogactwem przyborów. Zaprzężony był w sześć koni, gdy inne tylko w dwa lub co najwyżej w cztery. Obok woźnicy siedział mężczyzna, który nie mógł mieć więcej niż trzydzieści lat, lecz wyrazista głowa i energia malująca się we wzroku i na twarzy wskazywały, że był przywódcą. Czytał książkę w brązowej okładce, lecz na widok zbliżającego się tłumy odłożył ją i wysłuchał uważnie przygody. Po czym zwrócił się do dwóch wędrowców.

— Jeśli was weźmiemy ze sobą — rzekł uroczystym głosem — to tylko jako dzielących naszą wiarę. Nie chcemy wilków w naszej owczarni. Lepiej, aby wasze kości bieleły na pustyni, niżbyście się mogli stać zaczątkiem zgnilizny, który z czasem niweczy cały owoc. Czy zechcecie pójść z nami na tych warunkach?

— Domyślacie się chyba, że wobec położenia, w jakim jestem, pójdę z wami, przyjmując wszelkie warunki — odparł Ferrier z taką skwapliwością, że nawet starsi, mimo swej powagi, nie mogli się powstrzymać od uśmiechu.

Tylko przywódca zachował surowy, nieubłagany wyraz twarzy.

— Weź go, bracie Stangerson — rzekł. — Trzeba nakarmić i napić i jego, i dziecko. Twoim zadaniem, bracie, będzie uczyć go naszej świętej wiary. Przystanek trwa już za długo. Naprzód! W drogę do Syjonu<sup>42</sup>!

— W drogę! Do Syjonu! — ryknął tłum mormonów, a słowa te, powtarzane z ust do ust, przepłynęły przez karawanę jak fala, której szum przycichał i skończył w oddali.

Rozległ się ponownie zgrzyt kół, trzask biczów, wielkie furgony i wózki potoczyły się dalej i karawana wiała się znów po pustyni niby pierścienie olbrzymiego węża. Starszy,

<sup>40</sup>Święte pisma skreślone egipskimi zgłoskami na płytach z kutego złota, które przekazane zostały świętemu Josephowi Smithowi w Palmyrze... — we wrześniu 1823 Josephowi Smithowi (1805–1844), mieszkającemu w wiosce Palmyra w stanie Nowy Jork, miał ukazać się starożytny prorok-kronikarz Moroni, zwany też aniołem Moroni, który nakazał mu odkopać na pobliskim wzgórzu złote płyty z wrytymi na nich inskrypcjami w języku reformowanym egipskim. W 1827 Moroni pozwolił zabrać złote płyty Smithowi, który pod wpływem boskiego natchnienia przetłumaczył je na język angielski, zwrócił płyty aniołowi i w 1830 opublikował ich tekst jako *Księgę Mormona*. Stała się ona, obok Biblii, podstawową świętą księgą wspólnoty religijnej założonej przez Smitha. Po wypędzeniu wspólnoty ze stanu Missouri w 1839 przeniosła się ona do Nauvoo w stanie Illinois, gdzie w 1844 Smith został zabity w zamieszkach. Po jego śmierci członkowie wspólnoty opuścili Nauvoo i wyruszyli na zachód kontynentu. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>mormoni — potoczne określenie członka wspólnoty religijnej założonej w 1830 przez Josepha Smitha pod oficjalną nazwą Kościół Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich. Nazwa „mormonizm” pochodzi od postaci Mormona, starożytnego proroka-kronikarza, który wg nich był autorem opublikowanej przez Smitha *Księgi Mormona*, stanowiącej (obok Biblii) jedną ze świętych ksiąg tego wyznania. Po śmierci Smitha mormoni, pod przywództwem jego następcy, Brigham Younga, przebyli Wielkie Równiny i osiedlili się w Dolinie Wielkiego Jeziora Słonego, gdzie w 1847 założyli miasto Salt Lake City. Pod wpływem przykładów biblijnych mormoni praktykowali wielożoność, zniesione dopiero w 1890. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>Syjon — wzgórze w Jerozolimie ze świątynią z Arką Przymierza; tu przenośnie: ziemia obiecana przez Boga. [przypis edytorski]

którego pieczy powierzonych zostało dwoje wędrowców, zaprowadził ich do swego wozu, gdzie czekało już na nich jedzenie.

— Pozostaniecie tutaj — rzekł. — Za dni kilka wypoczniecie, a tymczasem pamiętajcie, że na wieki dzielić musicie nasze wierzenia. Tak powiedział Brigham Young<sup>43</sup>, a przemówił on głosem Josepha Smitha, który jest głosem Boga.

## ROZDZIAŁ II. KWIAT UTAHU

Nie miejsce tu na przypominanie niewygód i cierpień, jakie znosili mormoni podczas swojej wędrówki, zanim dotarli do celu. Od wybrzeży Missisipi do zachodnich stoków Gór Skalistych walczyli z przeciwnościami, składając dowody wytrwałości nieznaney niemal w dziejach narodów. Dzięki tej własności rasy anglosaksońskiej pokonywali dzikich ludzi i dzikie zwierzęta, głód i pragnienie, zmęczenie i chorobę — wszelkie przeszkody, jakie natura mogła im stawiać na drodze.

Jednakże długa podróż i powtarzające się nieustannie niebezpieczeństwa wyczerpały odwagę najmężniejszych. Toteż wszyscy jak jeden mąż padli na kolana w porywie gorącej modlitwy, gdy ujrzeli u swoich stóp rozległą, skąpaną w blasku słonecznym dolinę Utah, gdy ich wódz oznajmił im, że to jest ich ziemia obiecana, a jej dziewicza rola stanie się na zawsze ich własnością.

Young dowiódł niebawem, że jest równie wytrawnym administratorem, jak energicznym przywódcą. Poleciał wykonać mapy i plany, na których nakreślono zarysy przyszłego miasta. Dokoła wyznaczono miejsca na farmy i rozdzielono je w stosunku do stanowiska każdego osadnika. Kupcowi umożliwiono powrót do handlu, rękodzielnikowi do rzemiosła. W mieście ulice i place powstawały jakby pod wpływem zaklęcia. Na wsi wznoszono ploty, orano i siano, tak że następnego lata cały kraj zasłany był łanami złocistych kłosów.

Wszystko wiodło się pomyślnie w tej szczególnej osadzie. Lecz przede wszystkim wielka świątynia, której fundamenty założyli w samym środku miasta, z każdym dniem wznosiła się wyżej i wyżej. Od pierwszej zorzy jutrzeńki dopóki nie zagaśł ostatni blask dzienny odzywał się stuk młotka i zgrzyt piły dokoła pomnika, jaki wychodźcy budowali ku czci Tego, który ich wyprowadził bez szwanku z tyłu niebezpieczeństw.

Dwoje wędrowców, John Ferrier i mała dziewczynka, która dzieliła jego dołę i którą adoptował jako córkę, towarzyszyli mormonom do końca ich wielkiej pielgrzymki. Mała Lucy jechała wygodnie na wozie starszego Stangersona wraz z trzema żonami mormona i jego synem, śmiałym, rezolutnym, dwunastoletnim chłopcem. Z właściwą dziecku podatnością Lucy odzyskała szybko swobodę po ciosie spowodowanym śmiercią matki i stała się niebawem ulubienicą kobiet, toteż pogodziła się najzupełniej z nowym życiem w ruchomym, pokrytym płótnem domu.

Ferrier ze swej strony, odzyskawszy siły, okazał się wkrótce pożytecznym przewodnikiem i niezmordowanym myśliwym. Zdobył szacunek swoich nowych towarzyszy tak prędko, że gdy stanęli u kresu wędrówki, przywódcy jednomyślnie postanowili, że Ferrier otrzyma równie obszerny i żyzny dział ziemi, jak każdy z osadników, z wyjątkiem samego Younga, Stangersona, Kimballa, Johnstona i Drebbiera, czterech głównych starszych.

Na otrzymanym w ten sposób gruncie John Ferrier wznosił naprzód trwałe domy z drewna, który z biegiem lat powiększył przybudówkami, tak że w końcu zmienił go w obszerny dwór. Był to człowiek praktyczny, śmiały, wytrwały w pracy i obdarzony niezwykle sprawną ręką. Żelazny organizm pozwalał mu pracować od rana do wieczora nad uprawą i użyźnianiem roli. Stąd też na jego farmie wszystko rosło i rozwijało się bujnie. Po trzech latach wiodło mu się lepiej niż wszystkim sąsiadom, po sześciu był człowiekiem zamożnym, po dziewięciu bogatym, a po dwunastu w całym Salt Lake City zaledwie sze-

<sup>43</sup>Young, *Brigham* (1801–1877) — amerykański przywódca religijny i polityk; drugi prezydent Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich (tzw. mormonów); w 1846–47 poprowadził ich ze stanu Illinois na zachód do Doliny Jeziora Słonego, gdzie założyli nowe miasto, Salt Lake City; w 1850 został pierwszym gubernatorem utworzonego na wniosek mormonów Terytorium Utah ze stolicą w Salt Lake City, należącego do Stanów Zjednoczonych; w latach 1861–1868 większość Terytorium Utah przyłączono do Terytoriów Nevady, Kolorado, Nebraski i Wyoming; mimo ponawianych petycji Utah przyjęto do Unii jako stan dopiero w 1896. [przypis edytorski]



ściu ludzi mogło się z nim równać. Od wielkiego wewnętrznego jeziora<sup>44</sup> do odległych gór Wahsatch nie było nazwiska znanego szczytniej od nazwiska Johna Ferriera.

Pod jednym względem wszakże budził podejrzenie u swoich współwyznawców. Żaden argument, żadne perswazyje nie zdołały go nakłonić do poślubienia kilku żon na wzór towarzyszy. Nie przytaczał nigdy przyczyn tego postanowienia; zadawał się niewzruszoną, wytrwałą odmową.

Jedni oskarżali go o brak gorliwości religijnej, inni przypisywali to skąpstwu, obawie większych wydatków. Byli i tacy, który przebąkaliwali o dawnej miłości, o jasnowłosej dziewczynie, która umarła z tęsknoty na wybrzeżach Atlantyku. Jakikolwiek był powód, Ferrier pędził życie w nieprzejednanym celibacie. Pod każdym innym względem stosował się ściśle do przepisów religijnych młodej kolonii i zyskał opinię człowieka stanowczego, prawego i pobożnego.

Lucy Ferrier rosła w chacie i dopomagała w pracy przybranemu ojcu. Ożywcze górskie powietrze, balsamiczna woń sosen zastępowały dziewczęciu starania matki. Z każdym rokiem rosła i męźniała, lica jej zaokrąglały się i okrywały coraz świeższym rumieńcem, chód stawał się elastyczniejszy. Niejeden wędrowiec, przechodząc gościńcem wiodącym obok farmy Ferriera, czuł, że w jego duszy budzą się dawno zapomniane myśli na widok smukłej dziewiczej postaci, przesuwej się wśród łąnów zboża lub dosiadającej na wpół dzikiego, nieokiełzanego konia ojcowskiego i kierującej nim z wdziękiem i swobodą prawdziwego dziecka Zachodu. Tak to pączek rozwinął się w precudny kwiat i w roku, w którym jej ojciec mógł już uważać się za najbogatszego farmera w okolicy, Lucy stała się najdoskonalszym typem urodziwej Amerykanki.

Nie ojciec jednak pierwszy spostrzegł, że dziecko zamieniło się w dziewczę. Tak zresztą bywa zawsze. Ta tajemnicza zmiana jest zbyt subtelna i stopniowa, by można ją określić jakąś datą. Najmniej świadoma jej jest sama młoda dziewczyna, dopóki dźwięk cudzego głosu lub uścisk ręki nie przyspieszy bicia jej serca i nie objawi, że budzą się w niej wrażenia nowsze i silniejsze. Przemiana ta trwoży ją nieco, lecz zarazem przejmuje słodką dumą.

Niewiele kobiet nie pamięta dnia i drobnego zdarzenia, które im były zwiastunami jutrzeńki nowego życia. I w pamięci Lucy Ferrier wyryło się podobne zdarzenie, mniej poważne samo przez się niż ze względu na skutki, jakie pociągnęło za sobą dla niej samej i wielu innych osób.

W ciepły czerwcowy poranek ci, którzy się przezwali Świętymi Dni Ostatnich, pracowali równie gorliwie jak pszczoły, których ul obrali sobie za godło. Na polach i na ulicach rozlegał się jednakowy szmer, wywoływany pracą ludzką. Wzdłuż zakurzonych gościńców postępowały długie szeregi obładowanych mułów. Wszystkie dążyły ku zachodowi, gdyż w Kalifornii wybuchła gorączka złota, a droga, która wiodła do złota, prowadziła przez miasto „wybranych”. Ukazywały się też kolejno na gościńcu to stada owiec i buhajów, powracające z odległych pastwisk, to znów gromady wychodźców, a ludzie i zwierzęta jednakowo byli zmęczeni podróżą bez końca.

Wśród tego różnorodnego tłumu i zamętu Lucy Ferrier konno torowała sobie drogę z wprawą skończonej amazonki<sup>45</sup>. Jej lica były lekko zaróżowione od ruchu i wysiłku, a bujne ciemnoblonde włosy ze złocistym odcieniem spadały swobodnie na ramiona. Ojciec dał jej, jak to często bywało, zlecenie do miasta, jechała tedy i śpieszyła się z całą niefrasobliwością młodości, myśląc jedynie o zleceniu i o tym, jak je załatwić. Znużeni podróżą awanturnicy spoglądali na nią ze zdumieniem, a nawet obojętni Indianie, okryci skórą, otrząsali się ze swej martwoty i podziwiali urodę dziewczyny o „bladej twarzy”.

Wjeżdżała właśnie na przedmieście, gdy nagle zagroziło jej drogę wielkie stado bydła pędzone przez sześciu tęgich, ponurych pastuchów z równin. Zniecierpliwiona, usiłowała ominąć tę przeszkodę i skierowała konia na wolne, jak jej się zdawało, przejście. W jednej chwili wszakże bydło stłoczyło się i otoczyło ją dokoła, tak że ta ruchoma fala buhajów o dzikim spojrzeniu i spiczastych rogach niosła ją prawie.

Przyzwyczajona do bydła, nie przelekła się, lecz korzystała z każdej luki, aby skierować w nią konia w nadziei, że zdoła wydostać się ze stada. Na nieszczęście jeden z buhajów

<sup>44</sup>Od wielkiego wewnętrznego jeziora — Salt Lake City położone jest nad Wielkim Jeziorem Słonym, mającym ok. 120 km długości i 45 km szerokości. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>amazonka — kobieta uprawiająca jazdę konną; od nazwy mitycznego plemienia kobiet-wojowniczek. [przypis edytorski]

ubódl konia rogami w bok. Wystraszony koń zadrzał z bólu i wściekłości, stanął dęba i zaczął się rzucać tak gwałtownie, że trzeba było całej umiejętności i pewności młodej dziewczyny, aby nie wylecieć z siodła. Położenie stawało się coraz groźniejsze. Za każdym skokiem koń spotykał się z rogami jednego z buhajów, a ciosy wprawiały go w coraz większy szal. Lucy już teraz trzymała się w siodle całym wysiłkiem i zdawała sobie doskonale sprawę z tego, że jeśli się zesunie, zginie straszną śmiercią pod kopytami stada rozwścieczonych zwierząt.

Zaczynała tracić już przytomność, a jej ręka puszczała cugle. Kurz i zaduch unoszący się spośród zwierząt dławili ją i zrozpaczona, chciała już zaprzestać dalszej walki, gdy nagle odezwał się tuż przy niej łagodny głos zwiastujący pomoc. W tej samej chwili żyłasta, brunatna dłoń schwyciła wylęknętego konia za uzdę i wyprowadziła go ze stada.

— Mam nadzieję, że się pani nic złego nie stało — rzekł wybawca tonem pełnym szacunku.

Lucy spojrzała na jego ogorzałą, surową twarz i zaśmiała się.

— Przestraszyłam się okropnie — odparła z prostotą. — Ale kto by pomyślał, że Poncho tak się przelęknie paru krów.

— Bóg łaskaw, że pani nie wyleciała z siodła — rzekł poważnie jej towarzysz, wysoki młodzieniec o dziczalej powierzchowności, siedzący na tęgim dereszowatym koniu, ubrany w strój myśliwski z grubego sukna, z długą strzelbą przewieszoną przez ramię.

— Domyślam się, że pani jest córką Johna Ferriera — zaczął znów po chwili. — Widziałem, jak pani wyjeżdżała z jego domu. Po powrocie niech go pani zapyta, czy pamięta Jeffersona Hope'a z St Louis. Jeśli to ten sam Ferrier, którego mam na myśli, w takim razie jest to wielki przyjaciel mojego ojca.

— Czy nie wołałby pan przyjść sam i zapytać? — rzekła nieśmiało.

Młodzieniec był widocznie zachwycony tą propozycją, nagły blask rozgorzał w jego ciemnych oczach.

— Uczynię to z przyjemnością — odparł — ale od dwóch miesięcy włóczyliśmy się po górach i nie jesteśmy przygotowani na wizyty. Ferrier musi mnie przyjąć tak, jak jestem.

— Winien panu niemało i ja również — rzekła. — Bardzo mnie kocha. Gdyby te krowy mnie stratowały, nie pocieszyłby się nigdy.

— Ani ja — odezwał się młodzieniec.

— Pan! Nie widzę, dlaczego miałyby to pana dotknąć. Wszak pan nie jest nawet naszym przyjacielem.

Ogorzała twarz młodego myśliwego tak spochmurniała na te słowa, że Lucy roześmiała się głośno.

— Wcale nie to chciałam powiedzieć — rzekła. — Ma się rozumieć, że teraz jest pan naszym przyjacielem. Musi pan nas odwiedzić. Ale teraz ruszam dalej w drogę, bo inaczej ojciec nie powierzy mi już nigdy swoich interesów w mieście. Do widzenia!

— Do widzenia! — odparł, unosząc swój kapelusz z wielkimi skrzydłami i pochylając głowę nad drobną dłonią, która się do niego wyciągnęła.

Lucy zwróciła konia, zacięła go szpicrutą i popędziła jak strzała gościńcem, pozostawiając za sobą obłok kurzu.

Młody Jefferson Hope jechał z towarzyszami ponury i milczący. Przebywali razem w górach Nevada, szukając srebra, i przyjeżdżali teraz do Salt Lake City w nadziei znalezienia kapitału na eksploatację odkrytych żył. Dotąd Jefferson był równie gorliwie zajęty tą sprawą, jak jego towarzysze, ale niespodziewane zajście nadało jego myślom zupełnie inny kierunek. Widok młodej, urodziwej dziewczyny, świeżej i zdrowej jak powiew wiatru górskiego, poruszył do głębi jego namiętne, nieokiełzane serce.

Gdy znikła mu z oczu, zrozumiał, że w życiu jego nastąpił przewrót i że odtąd ani kopalnie srebra, ani żadna sprawa nie zdoła współzawodniczyć z tym nowym, pochłaniającym całą jego istotę uczuciem. Miłość, która zrodziła się w jego sercu, nie była nagłym, zmiennym urojeniem chłopca, lecz raczej dziką, gwałtowną namiętnością mężczyzny silnej woli i despotycznego charakteru. Dotychczas wiodło mu się wszystko, co tylko zamierzył. Toteż poprzysiął sobie w duszy, że tu nie dozna zawodu, o ile tylko powodzenie zależeć będzie od wysiłku ludzkiego i ludzkiej wytrwałości.

Tego jeszcze wieczoru odwiedził Johna Ferriera, a potem powracał często i stał się codziennym niemal gościem na farmie. John, uwięziony w dolinie, pochłonięty przez

pracę, niewiele słyszał nowin ze świata przez ostatnich dwanaście lat. Jefferson Hope opowiadał mu tedy wszystko, co mogło go zainteresować, i to w taki sposób, że zarówno Lucy, jak i jej ojciec, słuchali go chciwie. Był pionierem w Kalifornii i opowiadał niejedne dziwne dzieje majątków zdobytych i straconych w tych czasach gorączki. Był też kolejno poszukiwaczem srebra, hodowcą bydła, myśliwym i ścigał Indian. Gdzie tylko zdarzyła się sposobność awanturniczej przygody, Jefferson Hope był jednym z pierwszych.

Niebawem stał się ulubieńcem starego farmera, który sławił z zapalem jego zalety. Lucy słuchała wówczas słów ojca w milczeniu, ale zarumienione lica i roziskrzony wyrazem szczęścia oczy wskazywały jasno, że serce jej przestało już być jej wyłączną własnością. Poczciwy jej ojciec nie zauważył wprawdzie tych oznak, lecz zrozumiał je dobrze ten, który opanował jej duszę.

Pewnego letniego wieczoru pędził galopem po gościńcu i zatrzymał się przed farmą. Uwiązał konia u kraty i wszedł na ścieżkę, którą, spostrzegłszy go, dążyła Lucy na jego spotkanie.

— Odjeżdżam, Lucy — rzekł, biorąc jej ręce w swoje dłonie i tonąc tkliwym spojrzeniem w jej oczach. — Nie chcę cię prosić, abys jechała teraz ze mną, ale gdy wrócę, czy zechcesz zostać moją?

— A kiedy to będzie? — spytała, płonąć i uśmiechając się.

— Za dwa miesiące najdalej. Wrócę i upomnę się o ciebie, mój skarbie. Nikt nie może stanąć między nami.

— A ojciec? — zapytała.

— Zezwolił pod warunkiem, że interesy kopalniane się powiodą. Ale nie mam w tym kierunku żadnych obaw.

— A więc, skoro ojciec i ty ułożyliście już wszystko, ja nie mam nic więcej do powiedzenia — szepnęła, opierając głowę na jego szerokiej piersi.

— Bogu chwała! — rzekł wzruszonym głosem, pochylił się i pocałował ją. — Zatem postanowione. Im dłużej pozostanę, tym ciężiej będzie mi odjeżdżać. Towarzysze czekają na mnie przy wąwozie. Bywaj zdrowa, ukochanie ty moje... bywaj zdrowa. Za dwa miesiące ujrzysz mnie znowu.

Wyrwał się z jej uścisku, wskoczył na konia i popędził galopem, nie odwracając się, jak gdyby w obawie, że gdy spojrzy raz jeszcze na to, co zostawia za sobą, zachwieje się w powziętym postanowieniu.

A Lucy stała oparta o sztachety i patrzyła za nim, dopóki nie znikł jej z oczu. Po czym wolnym krokiem weszła do domu. Była w tej chwili najszcześliwszym dziewczęciem w całym Utah.

### ROZDZIAŁ III. PROROK U JOHNA FERRIERA

Trzy tygodnie minęło od wyjazdu Jeffersona Hope'a i jego towarzyszy z Salt Lake City. Serce Johna Ferriera ścisnęło się na myśl o powrocie młodzieńca i o bliskiej utracie przybranej córki. Jednakże jej rozpromienione szczęściem oblicze skuteczniej niż wszelkie argumenty sprawiało, iż godził się z danym przyrzeczeniem.

W głębi duszy poprzysiął sobie, iż nic nie zdoła zniewolić go do wydania córki za mormona. Związku takiego nie uważał wcale za małżeństwo, lecz za hańbę i nieszczęście. Jakikolwiek były jego zapatrywania na zasady mormońskie, na tym jednym punkcie pozostał nieugięty. Nie mógł odezwać się z tym postanowieniem, gdyż w owych czasach wygłoszenie jakiegokolwiek samodzielnej myśli było w krainie świętych rzeczą niebezpieczną.

Tak, niebezpieczną, i to tak dalece, że najpobożniejsi odważali się zaledwie szeptem, z zapartym oddechem, wyrażać swoje zdanie, w obawie, aby z ust ich nie wyszło coś, co zostałoby źle zrozumiane i ściągnęłoby na nich szybką karę. Ofiary prześladowania stały się teraz z kolei same prześladowcami okrutnymi, nieubłaganymi. Ani inkwizycja<sup>46</sup>

<sup>46</sup>*hiszpańska inkwizycja* — instytucja kościelna powołana do strzeżenia katolickiej prawowierności mieszkańców Hiszpanii i jej kolonii; ustanowiona w 1478, zniesiona w 1808 po zajęciu Madrytu przez wojska napoleońskie oraz w 1813 przez opozycyjne wobec Francuzów kortezy w Kadyksie; przywrócona w 1814 przez króla Ferdynanda VII Burbona, zniesiona ostatecznie w 1834 przez Marię Celinę de Borbón, liberalną regentkę Izabeli II. [przypis edytorski]

w Sewilli, ani osławione Vehmgerichty, ani tajne włoskie stowarzyszenia nie uruchomiły groźniejszej działalności niż ta, która rzucała ponury cień na stan Utah.

Grozę tej organizacji podwajał fakt, że była niewidzialna i tajemnicza. Wydawała się wszechwiedząca i wszechmogąca, a jednak nikt nigdy nie widział żadnego jej znaku, nie słyszał, aby objawiła się czymkolwiek. Człowiek, który usiłował walczyć przeciw mormońskiemu Kościołowi, zniknął i nikt nie wiedział, dokąd się udał ani co się z nim stało. Żona i dzieci czekały nań w domu, lecz ojciec już nie powracał opowiedzieć, co zaszło między nim a jego potajemnymi sędziami. Niebaczne słowo, nierozważny czyn wywoływał unicestwienie, a nikt nigdy nie zdołał przeniknąć tajemnicy tej strasznej potęgi, jaka zawisła nad głowami wszystkich. Nic dziwnego zatem, że ci mężczyźni, zdjęci nieustanną trwogą, nie śmieli nawet w głębi pustyni zwierzać się sobie szeptem z wątpliwości, jakie ich gnębiły.

Początkowo ta władza, straszna i nieuchwytna, karała tylko opornych, którzy przyjąwszy wiarę mormońską, chcieli ją następnie przekształcać lub porzucić. Niebawem jednakże rozszerzyła swój zakres. Liczba dorosłych kobiet zmniejszała się, a poligamia<sup>47</sup> wobec niewystarczającej ludności niewieściej stawała się czczą doktryną. Wówczas zaczęły krążyć szczególnie pogłoski: mówiono o zamordowanych wychodźcach i zrabowanych obozowiskach w okolicach, gdzie nigdy nie widziano Indian. W haremach starszyny pokazały się jakieś nowe kobiety, kobiety, tonące we łzach i rozpaczy, z wyrazem nieopisanego wstrętu na wynędzniałych twarzach.

Zapóźnieni w górach podróżni opowiadali, iż spotykali uzbrojonych, zamaskowanych ludzi, którzy chyłkiem, w milczeniu, przemykali w ciemnościach. Opowieści i pogłoski przybierały z czasem wyraźną postać; powtarzane nieustannie i potwierdzane doprowadziły nareszcie do tego, że zrozumiano powszechnie istotę rzeczy. Do dnia dzisiejszego w samotnych farmach na Zachodzie nazwa bandy „Danitów” lub „Aniołów Zemsty” jest złowróżbna i wywołuje trwogę.

Gdy stały się wiadome bliższe szczegóły tej organizacji, trwoga, jaką szerzyła, powiększyła się jeszcze. Nikt nie wiedział, kto należy do tego okrutnego stowarzyszenia. Nazwiska uczestników tych krwawych gwałtów, popełnianych w imię religii, otoczone były najgłębszą tajemnicą. Ten sam przyjaciel, któremu zwierzałeś się ze swoich wątpliwości co do postępowania Proroka i jego posłannictwa, mógł być jednym z tych, co przychodzili nocą domagać się ogniem i mieczem straszego zadośćuczynienia.

Stąd każdy obawiał się sąsiada i nikt nie mówił o rzeczach najbliższej go obchodzących.

Pewnego pięknego poranka John Ferrier zabierał się do wyjścia w pole, gdy usłyszał zgrzyt otwierającej się furtki, a spojrzawszy przez okno, zobaczył idącego ścieżką barczystego mężczyznę w średnim wieku o płowych włosach. Serce zakołatało w piersiach Ferriera, gdyż poznał w przybytku wielkiego Brigham Younga we własnej osobie. Pelen niepokoju, gdyż wiedział dobrze, że taka wizyta nic dobrego nie przyniesie, Ferrier podbiegł ku drzwiom, aby powitać przywódcę mormonów. Brigham Young jednak przyjął powitanie oziębłe i nie rozjaśniając ponurego oblicza, wszedł za gospodarzem do bawialni.

— Bracie Ferrier — rzekł, siadając i patrząc bystro spod płowych rzęs na farmera — prawowierni okazali się, sądzę, dobrzy dla ciebie. Zabraliśmy cię z pustyni przymierającego głodem, dzieliłiśmy z tobą pożywienie, doprowadziliśmy cię zdrowo i cało do Wybranej Doliny, daliśmy ci ziemię i pozwoliliśmy wzbogacić się pod naszą opieką. Czy nie tak?

— Tak — odparł John Ferrier.

— W zamian za to wszystko domagaliśmy się spełnienia jednego tylko warunku: byś przyjął prawdziwą wiarę i stosował się pod każdym względem do jej przepisów. Przysiękłeś spełnić ten warunek, tymczasem, jeśli obiegujące wieści głoszą prawdę, nie dotrzymujesz przyrzeczenia.

— Jak to nie dotrzymuję? — spytał Ferrier, wznosząc ręce ku niebu. — Czyż nie daję składki na wspólny fundusz? Czyż nie chodzę gorliwie do świątyni. Czy nie...

— Gdzie są twoje żony? — spytał Young, rozglądając się dokoła. — Wezwij je tutaj, abym je mógł powitać.

<sup>47</sup>poligamia (z gr.) — związek małżeński z wieloma osobami w tym samym czasie; tu w potocznym znaczeniu, zawężona do: związek męzczyzny z dwiema lub więcej kobietami (poliginia). [przypis edytorski]

— Nie ożeniłem się, to prawda — odparł Ferrier. — Ale kobiet było wśród nas niewiele, a niejeden miał do nich większe prawo niż ja. Nie byłem sam, miałem córkę, która mi dopomagała w pracy.

— Właśnie o tej córce chciałem z tobą pomówić — rzekł przywódca mormonów. — Wyrosła na istny kwiat Utahu i znalazła łaskę w oczach niejednego z najpierwszych kraju.

John Ferrier stłumił głuchy jęk.

— Obiegają o niej pogłoski, którym nie chciałbym dać wiary. To niechybne plotki złośliwych języków. Jak brzmi trzynaste przykazanie w kodeksie błogosławionego Josepha Smitha? „Każda prawowierna dziewczyna winna zostać małżonką jednego z wybranych; albowiem gdyby wybrała poganina, popełniłaby grzech ciężki”. Tak chce jedno z naszych przykazań i niepodobieństwem jest, abyś ty, który wyznajesz prawdziwą wiarę, pozwolił córce je pogwałcić.

John Ferrier milczał i nerwowym ruchem obracał w rękach szpicrutę.

— Oto zatem nadarzyła się sposobność wystawienia na próbę gorliwości twojej wiary, tak postanowiła Święta Rada Czterech. Dziewczyna jest młoda i nie chcielibyśmy, aby posłubiła siwowłosego ani też nie zamierzamy pozbawić jej zupełnie prawa wyboru. My, starszyzna, posiadamy liczne stada jałówek, ale dzieci nasze muszą być zaopatrzone. Stangerson ma syna, ma syna i Drebber, a każdy z nich powitałby chętnie twoją córkę w progach swego domu. Niechaj wybierze jednego z nich. Są młodzi, bogaci i prawowierni. I jaką dasz mi na to odpowiedź?

Ferrier, z chmurą na czole, milczał jeszcze przez chwilę.

— Musimy mieć czas do namysłu — odparł wreszcie. — Moja córka jest młoda, zaledwie wyszła z lat dziecięcych.

— Będzie miała miesiąc do namysłu — rzekł Young, wstając. — Gdy czas ten minie, musi mi dać odpowiedź.

We drzwiach zatrzymał się i zwrócił ku Ferrierowi zagniewaną twarz i palające złowrogim blaskiem oczy.

— Johnie Ferrierze — przemówił, piorunującym głosem — jeżeli zamierzasz mimo swojej niemocy stawiać opór rozkazom Czterech Świętych, lepiej byłoby dla ciebie, gdyby twój i jej szkielet bielili się teraz na stokach Sierra Blanco.

Słowom tym towarzyszył groźny ruch ręki, po czym Brigham Young wyszedł i niebawem rozległ się na ścieżce zgrzyt żwiru pod jego ciężkimi krokami.

John Ferrier siedział z głową ukrytą rękach i rozmyślał, w jaki sposób oznajmi tę złowrogą wieść córce, gdy nagle miękka dłoń spoczęła na jego ramieniu. Podniósł głowę i ujrzał przed sobą Lucy, a jej blada, wylękła twarz wskazywała, że wszystko słyszała.

— Nie podsłuchiwałam umyślnie — rzekła w odpowiedzi na pytające spojrzenie ojca. — Jego głos rozlegał się w całym domu. Och, ojcze, co my pocniemy?

— Nie dręcz się — odparł, przyciągając ją do siebie i głaszcząc szeroką, szorstką ręką jej jedwabiste włosy. — Jakoś damy sobie radę. Chyba twoje uczucia do tego chłopca nie zmniejszą się?

Łkanie i uściśnięcie jego dłoni było jej jedyną odpowiedzią.

— Wiem o tym. Zresztą nie chciałbym usłyszeć od ciebie, że jest inaczej. Chłopak to dzielny i dobry chrześcijanin, czym nie są bynajmniej ci tutejsi ludzie mimo swych ciągłych modlitw i kazań. Słuchaj, jutro wyrusza kompania do Nevady. Postaram się przesłać mu wiadomość o tym, co tu zaszło. A musiałbym się bardzo pomylić w sądzie o nim, jeśli na tę wieść nie powróci do nas z szybkością, która zawstydzilaby iskrę telegraficzną.

Lucy uśmiechnęła się przez łzy, słysząc słowa ojca.

— On nam najlepiej poradzi, jak przybędzie. Ale ja się o ciebie boję, kochany ojcze. Opowiadają... takie straszne historie o tych, którzy stawiają opór Prorokowi... zdarza im się zawsze jakieś okropne nieszczęście.

— Ale my nie stawialiśmy mu jeszcze oporu — odparł ojciec. — Czas będzie zapobiec złu, gdy to uczynimy. Mamy miesiąc przed sobą, myślę, że gdy upłynie, najmądrzej zrobimy, znikając z Utah.

— Opuścić Utah?

— Taki mam zamiar.

— A farma?

— Postaramy się zebrać jak najwięcej gotówki, a resztę zostawimy. Mówiąc szczerze, Lucy, nie pierwszy raz myślę o tym. Nie lubię nikomu ulegać, jak oni tu wszyscy ulegają temu sztucznemu prorokowi. Jestem synem wolnej Ameryki i to wszystko tu dla mnie nowe. Ja już za stary na naukę. A jeśli on tu jeszcze przyjdzie i będzie mi się wtrącał do moich spraw domowych, może się spotkać z dobrym ładunkiem śrutu na powitanie.

— Ale oni nie zechcą nas puścić! — rzekła młoda dziewczyna.

— Poczekajmy na Jeffersona, a potem już sobie poradzimy. Tymczasem zaś nie martw się, nie dręcz, kochanie, i nie płacz, bo ci się oczy zaczerwienią, a ja będę musiał za to przed nim odpowiadać. Nie ma się czego bać i nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo.

Jan Ferrier pocieszał ją wprawdzie z wielką pewnością siebie, niemniej jednak Lucy zauważyła, że wieczorem z niezwykłą starannością zamykał drzwi na klucz i oczyściwszy najpierw, nabił starą strzelbę, która wisiała na ścianie w jego sypialni.

## ROZDZIAŁ IV. UCIECZKA

Najazutrz rano po rozmowie z Prorokiem John Ferrier udał się do Salt Lake City, a odnalazszy znajomego, który wyruszał w góry Nevady, powierzył mu list przeznaczony dla Jeffersona Hope'a. W liście tym opisywał, jak straszne niebezpieczeństwo mu groziło i jak dalece powrót jego jest konieczny. Co uczyniwszy, uczuł ulgę i ze swobodniejszym umysłem wracał do domu.

Zbliżając się do farmy, zdziwił się na widok dwóch koni przywiązanych do sztachet. A większe zdumienie ogarnęło go, gdy wszedł do bawialni i ujrzał dwóch młodych ludzi. Jeden, o długiej, bladej twarzy, leżał w bujaku, oparłszy nogi na piecu. Drugi, z osadzoną na szerokim karku głową, o rysach pospolitych, zwierzęcych stał przed oknem, trzymając ręce w kieszeni i gwizdząc popularną piosenkę. Obaj skinęli głowami, gdy Ferrier wszedł, a ten, który leżał w krześle, rozpoczął rozmowę.

— Możliwe, że pan nas nie zna — rzekł. — To jest syn starszego Drebbera, a ja jestem Joseph Stangerson, który podróżował z panem, gdy Pan wyciągnął swoją dłoń i włączył pana do swej prawowiernej trzody.

Jan Ferrier uklonił się chłodno. Wiedział teraz, co znaczyli ci goście.

— Przybyliśmy — ciągnął dalej Stangerson — za radą ojców naszych, prosić o rękę pańskiej córki dla tego z nas, który panu i jej bardziej się spodoba. Ponieważ jednak ja mam cztery żony, a brat Drebber siedem, przeto zdaje mi się, że moje oświadczyzny powinny być lepiej przyjęte.

— Nie, nie, bracie Stangerson — zawołał Drebber — nie chodzi o to, ile mamy żon, ale ile możemy utrzymać. Otóż ojciec odstąpił mi swoje młyny i ja jestem teraz bogatszy.

— Moje widoki na przyszłość są lepsze — rzekł Stangerson. — Gdy Pan powoła mojego ojca do swojej chwały, odziedziczę garbarnię i fabrykę skór. A poza tym jestem od ciebie starszy i zajmuję w Kościele wyższe stanowisko.

— Niechaj zatem panna zadecyduje — oświadczył młody Drebber, przeglądając się z upodobaniem w zwierciadle. — Zastosujemy się do jej postanowienia.

Podczas tej rozmowy John Ferrier, pałając gniewem i powstrzymując wybuch, stał w progu.

— Słuchajcie — rzekł w końcu, postępując ku nim. — Kiedy moja córka was sama wezwie, pozwolę wam przyjść, ale zanim to nastąpi, wara wam się tu pokazywać!

Młodzi mormoni patrzyli na niego w osłupieniu. W ich mniemaniu to współzawodnictwo w domaganiu się ręki dziewczyny było najwyższym zaszczytem zarówno dla niej, jak i dla jej ojca.

— Macie stąd dwie drogi wyjścia — krzyknął Ferrier. — Tu są drzwi, a tam okno. Którą wybieracie?

Jego ciemna twarz przybrała tak dziki wyraz, a jego żyłaste ręce były tak groźne, że goście zerwali się na równe nogi i zabrali się szybko do odwrotu. Stary farmer odprowadził ich do drzwi.

— A dajcie mi znać, jak się pogodzicie i postanowicie, który z was ma być moim zięciem — rzekł drwiąco.

— Zapłacisz nam za to! — wrzasnął Stangerson, błądy z wściekłości. — Wyzwałeś Proroka i Radę Czterech. Będiesz tego żałował do końca życia!

— Ręka Pana dotknie cię ciężko! — zawołał Drebber. — Pan powstanie i ześle na ciebie srogą karę!

— A więc to ja zacznę karać! — zawołał Ferrier, nie posiadając się z gniewu, i zawrócił po strzelbę, ale w tej chwili Lucy chwyciła go za ramię i powstrzymała.

Zanim się wyrwał z jej rąk, odgłos kopyt końskich dowiódł mu, że obaj mormoni umknęli.

— A to nikczemne lotry! — zawołał, ocierając pot z czoła. — Wolałbym cię raczej widzieć na marach, dziecko drogie, niż żoną jednego z nich.

— I ja również, mój ojciec — odparła. — Ale Jefferson przybędzie niezadługo.

— Tak. Wkrótce go zobaczymy. Im wcześniej, tym lepiej, bo nie wiemy, co nas może teraz z ich strony spotkać.

W istocie czas był wielki, aby odważny człowiek przyszedł z pomocą farmerowi i jego przybranej córce. W dziejach osady nie było bowiem jeszcze przypadku tak jawnego nieposłuszeństwa i lekceważenia powagi starszyny. Jeśli drobne przewinienia były surowo karane, jakaż kara mogła czekać za taki śmiały bunt?

Ferrier wiedział, że ani jego majątek, ani stanowisko na nic mu się w tym przypadku nie przydadzą. Niejeden już, równie jak on bogaty i znany, znikł bez śladu, a mienie jego przeszło na własność Kościoła. Pomimo całej swej odwagi Ferrier drżał z trwogi na myśl o nieznanym, tajemniczym niebezpieczeństwach, jakie nad nim zawisły. Każdemu niebezpieczeństwu wiadomemu umiał mężnie stawiać czoło, ale niepewność przyprowadzała go do rozpacz. Przed córką ukrywał dręczące go obawy i udawał, że nie przywiązuje do całej sprawy najlżejszej wagi. Niemniej Lucy zaostrzonym miłością dziecięcą wzrokiem widziała jasno, że gnębił go niepokój.

Ferrier oczekiwał jakiegoś poselstwa lub ustnej nagany od Younga za swoje postępowanie i nie omylił się, chociaż wieść otrzymał drogą niespodziewaną. Następnego ranka, obudziwszy się, ujrzał ze zdumieniem przypiętą do swej koldry kartkę, a na niej dużymi literami wypisane słowa:

Masz jeszcze 29 dni do namysłu, a potem...

Takie ostrzeżenie było bardziej zatrważające aniżeli wszystkie groźby. W jaki sposób dostało się do jego pokoju, John Ferrier nie mógł pojąć i to go najwięcej na razie niepokoiło. Służba spała w osobnym pawilonie, a drzwi i okna były dobrze pozamykane. Ferrier podarł kartkę na kawałki i nie powiedział ani słowa córce, lecz wypadek ten powiększył jeszcze bardziej jego trwogę.

Te dwadzieścia dziewięć dni były resztą zwłoki udzielonej przez Younga. Jaka siła, jaka odwaga mogła zrównoważyć wroga uzbrojonego w tak tajemniczą potęgę? Ręka, która przymocowała tę szpilkę, mogła mu wymierzyć cios w samo serce, a on nie wiedziałby nigdy, do kogo należała.

Nazajutrz rano doznał jeszcze silniejszego wstrząsu. Gdy zasiadł z córką do śniadania, Lucy z okrzykiem zdumienia wskazała na sufit. Na samym środku widniała nakreślona, widocznie węglem, liczba 28. Dla Lucy liczba ta pozostała niezrozumiała, a ojciec jej nie objaśnił. Tej nocy nie położył się, przesiedział ze strzelbą w ręku, czuwał i nad słuchiwał. Ale nic nie dostrzegł ani nie usłyszał, a jednak następnego ranka wielkie 27 zarysowywało się na drzwiach od dworu.

To samo działo się dzień za dniem, każdego ranka Ferrier przekonywał się, że jego ukryci wrogowie prowadzili ścisły rachunek i zaznaczali w jakimś miejscu, ile dni jeszcze pozostaje mu z owego miesiąca łaski. Niekiedy fatalne cyfry ukazywały się na ścianach, innym razem na podłodze, to znów na małych kartkach przytwierdzonych do sztachet ogrodu.

Pomimo całej czujności John Ferrier nie mógł wysledzić, skąd pochodziły te codzienne ostrzeżenia. Na widok liczb ogarniała go niemal zabobonna trwoga. Schudł, wynędzniał, był nieustannie rozdrażniony, a jego oczy przybierały bolesny wyraz ślepiów ściganej zwierzyny. Jedna tylko pozostała mu nadzieja: powrót młodego myśliwego z Nevady.

Dwadzieścia dni zamieniło się w piętnaście, piętnaście w dziesięć, a wiadomości od nieobecnego nie było. Liczba zmniejszała się stopniowo, a Jefferson wciąż nie dawał znaku życia. Skoro tylko odezwał się tętent kopyt końskich na drodze lub woźnica popędzał, nawołując, swoje konie, stary farmer biegł do furtki, łudząc się, że nadeszła nareszcie

upragniona pomoc. W końcu, gdy ujrzał, że piątka ustąpiła miejsce czwórce, a ta znów trójce, opuściła go odwaga, stracił wszelką nadzieję ratunku. Sam, nieznający górzystej okolicy dokoła kolonii, był zupełnie bezsilny i zdawał sobie z tego doskonale sprawę. Najbardziej uczęszczane drogi były pilnie strzeżone, nikt nie mógł nimi przejść bez pozwolenia Rady Czterech. Gdziekolwiek się zwrócił myślą, Ferrier nie widział sposobu uniknięcia katastrofy, która mu groziła. Niemniej ani przez chwilę nie zachwiał się w powyższym postanowieniu: raczej śmierć niż zezwolić na to, co uważał za hańbę córki.

Pewnego wieczoru siedział pogrążony w myślach, szukając na próżno sposobu wydotkania się ze straszego położenia, w jakim się znajdował. Z rana na ścianie domu ukazała się liczba 2, następny dzień zatem będzie ostatnim z udzielonej zwłoki. A co stanie się potem? Najrozmaitsze straszne przypuszczenia powstały w jego głowie. Jaki los spotka Lucy, gdy go zabraknie? Nie było sposobu ucieczki z niewidzialnej sieci, jaka ich osnuła. Uprzymiwnszy sobie swoją niemoc, Ferrier opuścił głowę na piersi i zakał rozpaczliwie.

Nagle rozległ się jakiś szmer: ciche, lecz wyraźne drapanie zakłóciło spokój nocy. Dochodziło od drzwi. Ferrier wysunął się do przedpokoju i nasłuchiwał. Odgłos ucichł na chwilę, po czym odezwał się ponownie. Ktoś widocznie stuknął bardzo lekko w jedną z desek drzwi. Czy to morderca, przybyły o północy, aby wykonać krwawy rozkaz tajnego sądu? Czy też wysłannik kreślący cyfrę, że nadszedł ostatni dzień łaski? John Ferrier czuł, że natychmiastowa śmierć będzie znośniejsza od niepewności, jaka szarpała jego nerwy i lodem ścinała krew w żyłach. Poskoczył naprzód, odsunął rygiel i otworzył drzwi.

Na dworze panowała cisza i spokój. Noc była pogodna, niebo iskrzyło się gwiazdami. Przed wzrokiem farmera ciągnął się okolony sztachetami ogródek, ale ani wewnątrz ogródka, ani też na drodze nie było widać żywej duszy. Odetchnął swobodniej i zaczął rozglądać się na prawo i lewo, aż wreszcie, spojrzawszy na dół przed siebie, osłupiał. U jego stóp leżał wyciągnięty jakiś mężczyzna, twarzą ku ziemi.

Widok ten tak przeraził Ferriera, że stary farmer oparł się o ścianę i chwycił się za gardło, aby stłumić okrzyk, który mu się wydierał. W pierwszej chwili myślał, że ten człowiek jest ranny lub konający, lecz niebawem ujrzał, że leżąca postać zaczęła pełznąć po ziemi i z cicha, ze zwinnością węża, wsunęła się do przedpokoju. Tu mężczyzna skoczył na równe nogi, zamknął drzwi, a zdumiony farmer ujrzał przed sobą dumne i energiczne oblicze Jeffersona Hope'a.

— Boże drogi! — wyjąkał Ferrier. — Jakżeś mnie przeraził! Ale dlaczego wchodzisz do nas w ten sposób?

— Niech mi pan da coś zjeść! — odparł Hope ochryplym głosem. — Przez czterdzieści osiem godzin nie miałem nic w ustach.

Rzucił się na resztki wieczerzy pozostałe na stole i z chciwością pożerał chleb i zimne mięso.

— Co robi Lucy, czy spokojna, zdrowa? — spytał, zaspokoiwszy głód.

— Tak. Nie wie, jakie niebezpieczeństwo nam grozi — odparł jej ojciec.

— To dobrze. Wasz dom jest strzeżony ze wszystkich stron, dlatego dowlokłem się tu na czworakach. Mogą być bardzo przebiegli, ale nie tak dalece, żeby mnie podejść.

Jan Ferrier nabrał otuchy z chwilą przybycia tego wiernego sprzymierzeńca. Pochwycił twardą dłoń młodzieńca i uściskał ją serdecznie.

— Można być z ciebie dumnym — rzekł. — Niewielu ludzi zdecydowałoby się tak powrócić i dzielić cudze troski i niebezpieczeństwa.

— Prawdę mówisz, ojcie — odparł Jefferson. — Szanuję cię bardzo, ale gdybyś był sam, przyznam, że namyślałbym się dobrze, czy wejść w to gniazdo os. Powróciłem dla Lucy, a zanim jej włos z głowy spadnie, myślę, że będzie jednego Hope'a mniej w Utah.

— Co pocniemy?

— Jutro upływa ostatni dzień, a jeśli nie przedsięwziemy nic tej nocy, wszystko stracone. Mam muła i dwa konie, które czekają na nas w Orlim Wąwozie. Ile ma pan pieniędzy?

— Dwa tysiące dolarów w złocie, a pięć w banknotach.

— To starczy. Ja mam drugie tyle. Musimy przez góry dostać się do Carson City<sup>48</sup>. Trzeba obudzić Lucy. Dobrze się składa, że służba nie śpi w domu.

<sup>48</sup>Carson City — stolica amerykańskiego stanu Nevada. [przypis edytorski]



Ferrier poszedł uprzedzić córkę o podróży, w którą mieli wyruszyć, a Jefferson tymczasem zebrał wszystkie zapasy żywności, jakie mógł znaleźć, zrobił z nich paczkę, a następnie napełnił kamienny dzban wodą. Wiedział bowiem z doświadczenia, że źródeł w górach było niewiele i jedne od drugich bardzo oddalone. Załedwie zdążył skończyć przygotowania, wszedł farmer z córką ubraną, gotową do drogi. Powitanie narzeczonych było czułe, lecz krótkie, bo czas naglił.

— Musimy niezwłocznie ruszyć w drogę — rzekł Jefferson głosem cichym, lecz stanowczym, jak człowiek, który zdaje sobie sprawę z całej grozy niebezpieczeństwa. — Wejście frontowe i tylne są strzeżone, ale przy wielkiej ostrożności będziemy się mogli wydostać bocznym oknem i uciec przez pola. Skoro staniemy na gościńcu, będziemy mieli tylko dwie mile do wąwozu, gdzie czekają konie, i myślę, że do świtu przebędziemy połowę drogi w górach.

— A jeśli nas pochwycą?

Hope uderzył dłonią w rękojeść rewolweru za pasem.

— Jeśli będzie ich za dużo na nas dwóch, ze trzech weźmiemy ze sobą na pewno na tamten świat — odparł z ponurym uśmiechem.

Pogasili wszystkie światła w domu, po czym Ferrier patrzył przez chwilę oknem na pola, które były jego własnością, a które miał porzucić na zawsze. Sposobił się jednak od dawna do tej ofiary, a myśl o uratowaniu czci i szczęścia córki przeciwważyła wszelki żal nad straconym mieniem. Wszystko dokoła tchnęło tak błogim spokojem, poczawszy od drzew szemrzących z cicha do rozległych łąnów zboża, że trudno było uprzytomnić sobie, iż wśród tego otoczenia czyhał duch zbrodni. Bładość oblicza młodego myśliwego, jego zaszępienie czoła świadczyły, że widział po drodze dosyć, aby wiedzieć, czego się trzymać.

Ferrier niósł worek ze złotem i banknotami, Jefferson Hope prowianty i wodę, a Lucy małe zawiniątko, zawierające to, co posiadała cenniejszego. Otworzywszy powoli i z wielką ostrożnością okno, czekali, dopóki wielka chmura nie zaciemniła nieba, i wówczas jedno po drugim wyszli do ogrodu. Z zapartym oddechem, czolgając się i potykając, dotarli do płotu i pod jego osłoną podążali dalej do wyrwy wychodzącej na pole. Byli już prawie u celu, gdy Jefferson schwycił gwałtownie towarzyszy i cofnął ich w cień, i wszyscy rzucili się na ziemię, gdzie legli bez ruchu.

Wychowany na prerii, Jefferson Hope zawdzięczał kocującemu życiu, jakie prowadził, niesłychanie wyostrzony słuch. Załedwie rzucili się na ziemię, gdy odezwał się przeraźliwy krzyk puszczyka, na który niezwłocznie z niedalekiej odległości odpowiedział taki sam odgłos. W tej samej chwili w otworze, do którego dążyli, ukazała się ciemna postać i powtórzył się jęklivy krzyk, po czym z cieniów nocy wysunął się drugi mężczyzna.

— Jutro o północy — rzekł pierwszy, wódz, jak się zdawało. — Gdy puszczyk odezwie się trzykrotnie.

— Dobrze — odparł tamten. — Czy mam uprzedzić brata Drebbera?

— Uprzedź go i innych również. Dziewięć do siedmiu.

— Siedem do pięciu! — Obie postacie odeszły w przeciwnych kierunkach.

Ostatnie wyrazy były widocznie ich hasłem. Skoro tylko odgłos ich kroków ucichł w oddaleniu, Jefferson Hope zerwał się na równe nogi, dopomógł towarzyszom w przejściu przez wyrwę i wyprowadził ich na łąkę, nagłąc do pośpiechu, podtrzymując na wpół omdlałą dziewczynę, gdyż upadała na siłach.

— Prędeż! prędeż! — szeptał od czasu do czasu. — Jesteśmy na linii warty. Wszystko zależy od pośpiechu. Prędeż!

Skoro wydostali się na gościńiec, droga była łatwiejsza, więc szli szybciej. Tylko raz spotkali jakiegoś człowieka, lecz zdążyli zejść w bok i ukryć się w polu, zanim zostali poznani. Pod miastem Jefferson skręcił i wszedł na wąską, urwistą ścieżkę wiodącą w góry. Dwa czarne, zębate szczyty zarysowały się wśród ciemności, między nimi ciągnął się ów Orli Wąwóz, w którym czekały konie. Wiedziony nieomylnym instynktem, Jefferson Hope odnajdywał ścieżkę wśród głazów i wzdłuż wyschniętego koryta potoku, aż wreszcie dotarł do ukrytego zakątka, gdzie pod osłoną wielkiej skały stały przywiązane zwierzęta. Lucy dosiadła muła, stary Ferrier z workiem pieniędzy wsiał na jednego konia, Jefferson Hope zaś prowadził drugiego niebezpieczną ścieżką nad brzegiem przepaści.

Dokoła roztaczał się krajobraz przerażający dla każdego, kto nie był przyzwyczajony widywać przyrody w tej dzikiej, pełnej grozy szacie, w jaką przyobleka się niekiedy. Z jed-

nej strony olbrzymia czarna skała, ponura, groźna, wznosząca się na przeszło tysiąc stóp wysokości, o powierzchni poprzecinanej długimi słupami bazaltowymi, które nadawały jej wygląd jakiegoś skamieniałego potwora z wystającymi żebrami. Z drugiej strony stopy odłamków skał i głazów zaścieniały wąwóz, a pośrodku wiła się ścieżka, miejscami tak wąska, że jechać nią mogła zaledwie jedna osoba, a tak urwista, że tylko doświadczony jeździec mógł się odważyć na jej przebycie.

Jednak mimo niebezpieczeństw i przeszkód podróżni czuli w sercu wielką ulgę, gdyż każdy krok powiększał odległość między nimi a straszliwym despotyzmem, przed którym uciekali.

Niebawem wszakże przekonali się, że byli jeszcze w obrębie władzy „Świętych”. Wjechali właśnie w najdzikszą i najtrudniejszą do przebycia część wąwozu, gdy Lucy wydała okrzyk przerażenia i wskazała ręką w górę. Na skale wznoszącej się nad ścieżką i odcinającej się ostro na tle nieba stał samotny człowiek sprawujący wartę. On dostrzegł ich również i panującą w wąwozie ciszę przerwało wezwanie:

— Kto idzie?

— Podróźni dążący do Newady — odparł Jefferson Hope i przyłożył rękę do strzelby zawieszanej u siodła.

Dostrzegli, że tamten odwiódł kurek od karabinu i spojrział w dół, jak gdyby niezadowolony z odpowiedzi.

— Za czym pozwoleniem? — spytał.

— Czterech Świętych — odparł Ferrier.

Znał o tyle zwyczaje mormonów, iż wiedział, że jest to najwyższa władza, na jaką mógł się powołać.

— Dziewięć do siedmiu — krzyknęła warta.

— Siedem do pięciu — odparł Jefferson Hope śpiesznie, przypominając sobie hasło zasłyszane w ogrodzie.

— Przejdźcie i niechaj Pan czuwa nad wami — odparł głos z góry.

Odtąd już droga była szersza, tak że konie mogły iść klusem. Odwróciwszy się, Jefferson i Ferrier ujrzeli, że samotny człowiek stał oparty o strzelbę, a postać ta wskazywała im, iż minęli granice siedziby narodu wybranego, i zaświtała przed nimi jutrzienka.

## ROZDZIAŁ V. ANIOŁOWIE-MŚCICIELE

Przez całą noc jechali przez spadziste wąwozy, po ścieżkach zasłanych odłamkami skał. Niejednokrotnie mylili drogę, lecz dokładna znajomość gór Hope'a pozwalała mu zawsze ponownie odnaleźć właściwy szlak.

O świcie ich oczom ukazał się krajobraz niebywale wspaniały w swej grozie. Ze wszystkich stron dokoła wznosiły się amfiteatralnie pokryte śniegiem szczyty. Po obu stronach drogi zalegały skały, tak strome i spiczaste, iż zdawało się, że wyrosłe na ich szczytach sosny i modrzewie są tylko zawieszane i za lada silniejszym powiewem wiatru runą na głowy wędrowców. Obawa ta zresztą nie była zupełnie bezzasadna, gdyż kotlinę zaścieniały drzewa i odłamy skał, które stopniowo spadały z góry. Nawet w chwili, gdy przejeżdżali, wielki głaz runął z wysokości z głuchym łoskotem, który rozległ się grzmiącym echem wśród ciszy wąwozów i tak przeraził konie, że mimo wyczerpania puściły się galopem.

Gdy słońce zaczęło się ukazywać, na zachodnim widnokręgu jeden po drugim zapalały się szczyty olbrzymich gór, niby światła na jakiejś uroczystości, aż wreszcie zapłonęły wszystkie purpurowym blaskiem. Przepyszny, niezrównany widok dodał otuchy trojgu zbiegom i nową energią zasilił ich dusze. Nad brzegiem wartkiego potoku, który wypływał z wąskiej szczeliny w skałach, zatrzymali się, napoili konie i sami pokrzepili się, zjadłszy śpiesznie śniadanie. Lucy i jej ojciec byłiby odpoczęli nieco dłużej, lecz Jefferson Hope był nieubłagany.

— Na pewno już nas ścigają — rzekł. — Wszystko zależy od naszego pośpiechu. Gdy dostaniemy się do Carson, będziemy mogli odpoczywać przez resztę życia.

Przez cały dzień jechali uciążliwą drogą wśród skał i wąwozów, a nad wieczorem obliczyli, że byli o jakieś trzydzieści mil oddaleni od swoich wrogów. Gdy zapadła noc, znaleźli zagłębienia między skałami, gdzie jako tako zabezpieczeni od przejmującego chłó-

Góry

dem wiatru, przytuleni jedno do drugiego, przespali kilka godzin. Przed świtem wszakże byli na nogach i ruszyli w dalszą drogę.

Dotychczas ich prześladowcy nie dawali znaku życia i Jefferson Hope zaczął przypuszczać, że znajdują się nareszcie poza obrębem władzy straszego związku, którego gniew ściągnęli na siebie. Nie wiedział jeszcze, jak mógł niebawem pochwycić ich i zmiążyć.

Okolo południa drugiego dnia ich uciezki szczupłe zapasy żywności zaczęły się wyczerpywać. Hope nie zaniepokoił się tym jednak, gdyż wiedział, że w górach jest zwierzyna, a nieraz już w życiu liczył jedynie na swoją strzelbę, aby się wyżywić. Wybrawszy osłonięty zakątek, przyniósł trochę suchych gałęzi i rozpałił ogień, przy którym jego towarzysze mogliby się rozgrzać, znajdowali się bowiem blisko pięć tysięcy stóp nad poziomem morza, a ostre, lodowate powietrze dokuczalo dotkliwie. Związawszy konie i zarzuciwszy strzelbę na ramię, Jefferson pożegnał Lucy i wyruszył na poszukiwanie zwierzyny. Po chwili obejrzał się i zobaczył, jak starzec i młoda dziewczyna siedzą skuleni przy płonącym ognisku, a troje zwierząt stoi bez ruchu za nimi. Niebawem wystająca skała ukryła ich przed jego wzrokiem.

Przez jakieś dwie mile szedł z wąwozu do wąwozu, nie spotykając żadnej zwierzyny, chociaż ze znaków na korze drzew oraz ze śladów, jakie dostrzegał na ziemi, wnosił, że niedźwiedzie były liczne w tych stronach. Nareszcie po trzygodzinnym daremnym szukaniu zamierzał już, zrozpaczony, wrócić z niczym, gdy nagle, spojrzawszy w górę, zadrżał z radości.

Na krawędzi wystającej skały, o kilkaset stóp ponad nim, stało zwierzę z olbrzymimi rogami. Ten muflon był prawdopodobnie stróżem trzody pewnego gatunku baranów, niewidocznej jeszcze dla oczu myśliwego. Na szczęście zwrócił łeb w przeciwną stronę i nie dostrzegł go. Położywszy się na ziemi, Jefferson Hope oparł kolbę strzelby o głaz i celował dobrze i długo, zanim spuścił kurek. Zwierzę rzuciło się w górę rozpaczliwym skokiem, zatoczyło się na krawędzi skały i runęło całym swym ciężarem w głąb doliny.

Zwierzyna była taka wielka, że nie mógł zabrać całej. Zadowolili się przeto odcięciem jednego uda i części boku, a zarzuciwszy zdobycz na ramię, zabrał się spieszenie do powrotu, gdyż zaczął zapadać wieczór. Zaledwie jednak ruszył w drogę, przekonał się, że czekała go nowa niespodziewana trudność do zwalczania. W pogoni za zwierzyną minął znaną sobie część okolicy, a niełatwo było odnaleźć ścieżkę, którą przyszedł.

Dolina, w której się znajdował, poprzecinana była w rozmaitych kierunkach licznymi wąwozami, tak do siebie podobnymi, że niepodobna było ich odróżnić. Jefferson zagłębił się tedy w jeden z nich, a gdy uszedł z milę lub więcej, napotkał górski potok, którego z pewnością poprzednio nie widział. Przekonawszy się, że zmylił drogę, wszedł w inny wąwóz i było już zupełnie ciemno, gdy nareszcie znalazł się w wąwozie, który mu się wydał znany.

Jednak nawet wówczas nie łatwo było utrzymać się na właściwej drodze, albowiem księżyc jeszcze się nie ukazał, a wysokie skały po obu stronach powiększały panującą dokoła ciemność. Uginając się pod ciężarem, który dźwigał, wyczerpany zmęczeniem Jefferson Hope potykał się za każdym niemal krokiem. Podtrzymywał w sercu otuchę jedynie myślą, że każdy krok zbliża go do ukochanej i że niesie ze sobą zapas żywności, który starczy im do końca podróży.

Nareszcie stanął u wejścia do wąwozu, gdzie ich zostawił. Nawet w ciemności poznawał wyraźnie zarysy skał, które go otaczały. Ferrier i Lucy niezawodnie czekają na niego z niepokojem — myślał — bo jego nieobecność trwała prawie pięć godzin. Spodiewając się bliskiego spotkania, przyłożył dłoń do ust i huknął z całych sił radosne nawoływanie jako znak, że nadchodzi. Gdy umilkł, czekał przez chwilę na odpowiedź. Nic jednak nie przerywało panującej dokoła ciszy prócz jego własnego krzyku, który zatoczył się nieskończonym echem po samotnych wąwozach. Więc huknął raz drugi, silniej jeszcze i znów wiatr nie przyniósł mu żadnej odpowiedzi od przyjaciół, których opuścił przed kilkoma godzinami. Zdjął go lęk straszny, nieokreślony. Popędził naprzód jak szalony, gubiąc po drodze cenną żywność.

Gdy minął zakręt skały, ujrzał przed sobą miejsce, gdzie przed kilkoma godzinami rozpałił ognisko. Stos popiołu tlił się jeszcze, lecz widocznie od chwili odejścia Jeffersona Hope'a nikt nie podtrzymywał ognia.

Dokoła panowała grobowa cisza. Obawy Jeffersona Hope'a zmieniły się w pewność, pobiegł naprzód. W pobliżu dogasającego ogniska nie było żywej istoty; mężczyzna, dziewczyna, zwierzęta, wszyscy znikli. Teraz już stało się dla niego oczywiste, że podczas jego nieobecności zdarzyła się jakaś straszna i nagła katastrofa, katastrofa, która ich pochłonęła i nie zostawiła żadnego śladu.

Oszolomiony tym nagłym ciosem, Jefferson Hope uczuł zawrót głowy i musiał oprzeć się na strzelbie, aby nie upaść. Jednakże był on przede wszystkim człowiekiem czynu i wnet odzyskał przytomność umysłu. Schwyciwszy tłąc się jeszcze gałąź, rozdmuchał ogień tak, że zajaśniał płomieniem, i przy tym świetle rozglądał się bacznie dokoła. Ziemia była stratowana kopytami końskimi, co dowodziło, że liczny oddział jeźdźców dogonił zbiegów, a kierunek końskich śladów wskazywał, że następnie powrócili do Salt Lake City.

Czy zabrali ze sobą jego towarzyszy? Jefferson Hope zaczął przypuszczać, że tak się stało, gdy nagle jego wzrok padł na przedmiot, na którego widok począł drżeć na całym ciele. Nieopodal na stronie wznosił się niewielki nasyp rudej ziemi, którego poprzednio tam nie widział. Pomyłka była niemożliwa — to świeżo wykopany grób.

Zbliżywszy się, Jefferson Hope ujrzał kawałek papieru w szczelinie zatkniętego w ziemię kija, a na tym papierze napis krótki, ale niestety nazbyt wymowny:

JOHN FERRIER  
OBYWATEL SALT LAKE CITY  
ZMARŁ DNIA 4 SIERPNIĄ 1860 ROKU

Dzielny starzec, którego opuścił zaledwie przed kilkoma godzinami, przestał istnieć i pozostał po nim jedynie ten napis. Jefferson Hope spojrział dokoła błędnym wzrokiem, szukając drugiego grobu, lecz go nie znalazł. Lucy została zatem zabrana przez swych strasznych prześladowców, aby spełnić początkowe przeznaczenie i powiększyć harem syna jednego ze Starszych. Gdy Jefferson Hope uprzytomnił sobie całą groźbę losu ukochanej i własną wobec tego bezsilność, zaczął gorzko żałować, że nie dzieli ze starym farmerem cichego miejsca wiecznego spoczynku.

Niebawem jednak pod wpływem wrodzonej energii otrząsnął się ponownie z przynębnienia wywołanego rozpaczą. Jeśli wszystko utracił, miał przynajmniej możność poświęcenia swego życia zemście. Z niesłychaną cierpliwością, z nieporównaną wytrwałością łączył Jefferson Hope uczucie nienawiści i mściwości tak potężne, że nie powstydziliby się go Indianie, wśród których żył tak długo. Stojąc nad opuszczonym ogniskiem, uczuł, że jedyna rzecz mogła złagodzić jego ból: odwet, straszliwy, krwawy odwet na wrogach. Poprzysiągł sobie, że odtąd będzie miał w życiu ten jedyny cel i jemu się poświęci całą siłą woli, całą swoją niewyczerpaną energią. Śmiertelnie blady, z wyrazem zaciętego bólu na twarzy, powrócił tam, gdzie upuścił swoją zdobycz, i roznieciwszy znów ogień, upiekł tyle mięsa, żeby mu starczyło na kilka dni. Po czym zawinął je i nie bacząc na znużenie, wyruszył w powrotną drogę przez góry, idąc śladami tych, którzy nadawali sobie nazwę Aniołów-Mścicieli.

Pięć dni włócił się, wyczerpany, z pokrwawionymi stopami, przez wąwozy, które już poprzednio przebył konno. Nocą padał gdziekolwiek pod skalą i spał przez kilka godzin, lecz o świcie był już zawsze na nogach. Szóstego dnia dotarł do Orlego Wąwozu, który był pierwszą stacją ich ucieczki, tak strasznie zakończonej, i stamtąd mógł już widzieć siedzibę Świętych.

Spojrząwszy uważniej w tę stronę, zauważył, że na niektórych główniejszych ulicach powiewały chorągwie, odróżnił też inne oznaki jakiejś uroczystości. Zadawał sobie pytanie, co by to miało znaczyć, gdy naraz posłyszał odgłos kopyt końskich i ujrzał zbliżającego się ku niemu jeźdźca. Niebawem poznał w nim mormona Cowpera, któremu niejednokrotnie oddawał różne przysługi. Zaczepił go tedy, gdy podjechał, chciał bowiem przede wszystkim dowiedzieć się, jaki los spotkał Lucy.

— Jestem Jefferson Hope — rzekł. — Pamięta mnie pan, prawda?

Mormon przyglądał się z nieukrywanym zdumieniem. Istotnie trudno było w odzianym w lachmany wędrowcu z rozwichrzonym włosiem, śmiertelnie bladą twarzą i dzikim wyrazem roziskrzonych oczu poznać dawnego eleganckiego myśliwego. Gdy go jednak w końcu poznał, zdumienie mormona zamieniło się w osłupienie.

— Jak możesz się tu pokazywać! Czyś oszalał? — zawołał. — Niech mnie zobaczą, jak z tobą rozmawiam, a mogę to przyplacić życiem. Przecież Czterej Święci wydali na ciebie wyrok za pomaganie w ucieczce Ferrierom.

— Nie obawiam się ani ich, ani ich wyroku — odparł Hope poważnie. — Słuchaj, Cowper, musisz wiedzieć, co się tu stało. Zaklinam cię na wszystko, co ci jest drogie, odpowiedz mi na kilka pytań. Wszak byliśmy zawsze przyjaciółmi. Na miłość boską, nie odmawiaj mi odpowiedzi!

— Co chcesz wiedzieć? — spytał zaniepokojony mormon. — Spiesz się. Nawet skały mają uszy, a drzewa oczy.

— Co się stało z Lucy Ferrier?

— Wczoraj odbyły się jej zaślubiny z młodym Drebblerem... No, odwagi, człowieku! Zdawałoby się, że życie z ciebie ucieka!

— Mniejsza o to — odparł Hope słabym głosem.

Poblądł jak chusta, zachwiał się na nogach i upadł na głaz, o który się oparł.

— Mówisz, że wyszła za mąż?

— Tak, wczoraj... to właśnie dlatego wiszą chorągwie na gmachu ratusza. Między Drebblerem a młodym Stangersonem zaszła kłótnia o to, który ma ją zaślubić. Obaj należeli do oddziału, który ich ścigał, a Stangerson zabił ojca, co, jak mniemał, nadawało mu większe prawa. Ale gdy sprawa przyszła przed Wielką Radę, większość oświadczyła się za Drebblerem i Prorok jemu oddał dziewczynę. Nikt wszakże nie będzie jej miał długo, gdyż widziałem piętno śmierci na jej twarzy. Podobna jest raczej do widma aniżeli do kobiety. A teraz pójdziesz stąd?

— Tak, pójdę — odparł Jefferson Hope, wstając.

Twarz miał surową, nieruchomą, jak wykutą z marmuru, oczy świeciły w niej złowrogim blaskiem.

— Dokąd idziesz?

— Mniejsza o to — odpowiedział i zarzuciwszy broń na ramię, zszedł ze stoku i zniknął wśród gór, w głębokich wąwozach, gdzie tylko dzikie zwierzęta miały swe legowiska. A w tej chwili żadne z nich nie było okrutniejsze i niebezpieczniejsze od niego.

Przepowiednia mormona spełniła się nazbyt szybko. Złamana okropną śmiercią ojca czy też skutkami nienawistnego małżeństwa, biedna Lucy nikła w oczach i w miesiąc później umarła. Mąż, który poślubił ją dla majątku Ferriera, nie okazywał bynajmniej żalu po jej stracie. Inne jego żony oplakiwały ją szczerze i stosownie do zwyczaju mormońskiego czuwały przy niej przez całą noc w wigilię pogrzebu.

Siedziały wszystkie dokoła jej trumny, gdy nagle o świcie, ku niewypowiedzianemu ich zdumieniu i przerażeniu, drzwi otworzyły się z trzaskiem, a do pokoju wpadł mężczyzna o dzikim wyrazie twarzy, wynędzniały, w zakurzonym, podartym ubraniu. Nie spojrzawszy na wylękłe kobiety ani nie przemówiwszy do nich słowa, podszedł do białej, marmurowej postaci, z której uleciała czysta dusza Lucy Ferrier. Pochylił się nad nią, przycisnął ze złości usta do jej zimnego czoła, po czym pochwywszy jej dłoń, ściągnął z palca obrączkę.

— Nie zabierz tego przynajmniej do grobu! — ryknął wściekłym głosem i zanim kobiety zdążyły zawołać o pomoc, zbiegł ze schodów i zniknął.

Wszystko to stało się tak szybko, w sposób taki nieprawdopodobny, że świadkowie zajścia mogliby je uważać za wytwór wyobraźni, gdyby nie brak złotej obrączki na palcu zmarłej.

Przez kilka miesięcy Jefferson Hope tułał się w górach, prowadząc życie dzikiego człowieka i żywiąc w sercu namiętne pragnienie zemsty, które go pochłonęło całkowicie. W mieście zaczęły niebawem krążyć szczególne pogłoski o postaci, która jak duch ukazywała się na przedmieściach, to znów błąkała się w samotnych wąwozach górskich. Pewnego dnia kula wpadła przez okno do Stangersona, świsnęła mu koło ucha i rozplaszczyła się, uderzając w ścianę o kilka kroków od niego. Innym razem, gdy Drebbler przechodził pod skałą, wielki głaz oderwał się i stoczył w przepaść. Byłby go położył trupem, gdyby nie to, że Drebbler miał tyle przytomności umysłu, iż skoczył w bok i padł plackiem na ziemię.

Zarówno Stangerson, jak i Drebber wykryli niebawem przyczynę i sprawcę zamachów na ich życie i urządzili kilka wypraw w góry w nadziei, że schwycą lub zabiją wroga, lecz usiłowania ich były daremne. Wówczas postanowili nie wychodzić nigdy bez towarzysza ani po zachodzie słońca i otoczyli strażą swe domy. Po pewnym czasie nie przestrzegali już tak pilnie tych środków ostrożności, gdyż ich nieprzyjaciel nie dawał znaku życia. Sądźli zatem, że czas ukoił jego pragnienie zemsty.

Tymczasem wprost przeciwnie, trawiąca Hope'a żądza zemsty wzmogła się jeszcze. Miał on naturę twardą, nieugiętą, a górująca nad wszystkim chęć zemsty tak dalece nim oświadczyła, że zagłuszyła wszelkie inne uczucia. Wszelako był on też obdarzony niepospolitym zmysłem praktycznym. Niebawem uświadomił sobie, że nawet jego żelazny organizm nie wytrzyma długo nieustających wysiłków, na jakie go narażał. To życie pełne niebezpieczeństw, brak pożywej stawy wyczerpywały jego siły. Jeśli umrze jak pies w górach, co się stanie z zamierzoną zemstą? A jednak tylko taki czekał go koniec przy trybie życia, jaki prowadził. Zrozumiał, że działał w ten sposób na korzyść wrogów, i wprawdzie niechętnie, powrócił jednak do kopalni w Newadzie, celem odzyskania zdrowia i zebrania takiego funduszu, który by mu pozwolił dążyć do celu bez wystawienia się na takie trudy i niewygody.

Zamierzał przebywać w kopalniach najwyżej rok, lecz nieprzewidziane okoliczności tak się złożyły, że musiał pozostać przez blisko pięć lat. Pomimo jednak tak długiego czasu odczuwał swe krzywdy i łaknął zemsty z taką samą siłą, jak owej pamiętnej nocy, kiedy stał nad grobem Johna Ferriera.

Przebrany i pod zmienionym nazwiskiem powrócił do Salt Lake City, nie dbając, że naraża życie, byleby tylko zdołał wymierzyć sprawiedliwość. W mieście czekały nań złe nowiny. Kilka miesięcy temu wśród wybranego narodu powstała schizma<sup>49</sup>. Kilku młodszych członków Kościoła zbuntowało się przeciw władzy starszyny, skutkiem czego nastąpiło oderwanie się grona niezadowolonych, którzy opuścili Utah i wyparli się wiary mormonów. Między nimi byli też Drebber i Stangerson, a nikt nie wiedział, dokąd się udali. Obiegały wieści, że Drebber zdołał spieniężyć znaczną część swego majątku i wyjechał jako człowiek zamożny, gdy natomiast jego towarzysz Stangerson był stosunkowo biedniejszy. Nikt wszakże nie posiadał najmniejszej wskazówki, gdzie przebywali.

Niejeden człowiek pomimo żądzy zemsty byłby wobec takich trudności porzucił myśl odwetu. Jefferson Hope wszelako nie zachwiał się ani na chwilę w powziętym postanowieniu. Z niewielkim funduszem, jaki posiadał, wędrował z miasta do miasta po Stanach Zjednoczonych, szukając śladu swoich wrogów, zasilając swoje materialne środki pracą, gdzie tylko ją mógł znaleźć. Mijał rok za rokiem, krucze włosy Hope'a przyprószyła siwizna, a on ciągle jeszcze wędrował i tropił jak zażarty pies gończy, wyteżając wszystkie wysiłki woli dla osiągnięcia celu, któremu poświęcił życie.

W końcu jego wytrwałość została wynagrodzona. Pewnego dnia spostrzegł zarys twarzy w oknie, a to jedno spojrzenie przekonało go, że ci, których ścigał, znajdują się w Cleveland w stanie Ohio. Powrócił do swej nędznej izby, mając gotowy plan zemsty. Ale zdarzyło się, iż Drebber, wyglądając przez okno, poznał ulicznego włóczęgę, a w jego oczach wyczytał wyrok śmierci. W towarzystwie Stangersona, który został jego prywatnym sekretarzem, udał się tedy do sędziego pokoju<sup>50</sup> i oznajmił, że ich życiu grozi niebezpieczeństwo skutkiem zazdrości i nienawiści dawnego rywala.

Tego wieczoru osadzono Jeffersona Hope'a w areszcie, a ponieważ nie mógł znaleźć żadnego poręczyciela, siedział przez kilka tygodni. Gdy go nareszcie wypuszczono, przekonał się, że dom Drebbera jest pusty, a on sam wraz z sekretarzem wyjechał do Europy.

Mściciel ponownie doznał porażki, lecz moc jego nienawiści była zbyt silna, aby miał zaniechać pościgu. Jednak jego fundusze wyczerpały się, zatem znów zabrał się do pracy i oszczędzał każdego dolara na zamierzoną podróż. Zebrawszy wreszcie tyle, żeby nie umrzeć z głodu, wyruszył do Europy i ścigał swych wrogów z miasta do miasta, zarabiając w najrozmaitszy sposób na utrzymanie, lecz nie mogąc ich nigdzie schwytać.

Gdy przybył do Petersburga, oni wyjechali do Paryża, a gdy udał się tam za nimi, dowiedział się, że właśnie wyruszyli do Kopenhagi. Do stolicy Danii przybył znów o parę

<sup>49</sup>schizma — rozłam, formalny rozdział między wyznawcami jednej religii. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>sędzia pokoju — w krajach anglosaskich: sędzia najniższej instancji; należą do niego sprawy cywilne mniejszej wagi i drobne wykroczenia. [przypis edytorski]

dni za późno; obaj odплыnęli do Londynu, gdzie wreszcie zdołał dokonać swej zemsty. Jak się to zaś stało, dowiemy się najlepiej z opowieści mściciela spisanej w dzienniku doktora Watsona, któremu już tyle zawdzięczamy.

## ROZDZIAŁ VI. CIĄG DALSZY WSPOMNIENÍ DOKTORA JOHNA WATSONA

Rozpaczliwy opór naszego więźnia nie był bynajmniej objawem wrogiego usposobienia do nas, gdyż skoro został nareszcie obezwładniony, uśmiechnął się najuprzejmiej w świecie i wyraził nadzieję, że w walce, jaką z nim stoczyliśmy, nie zrobił żadnemu z nas krzywdy.

— Domyślam się, że zamierza pan zawieźć mnie na policję — zwrócił się do Sherlocka Holmesa. — Moja dorożka stoi przed bramą. Jeśli pan rozwiąże mi trochę nogi, zejść sam; bo nieść mnie będzie trudno, nie jestem już taki lekki, jak za młodych lat.

Gregson i Lestrade zamienili spojrzenia, jak gdyby chcąc zaznaczyć swoje zdumienie taką zuchwałą propozycją. Holmes jednakże, biorąc naszego więźnia za słowo, rozwiązał ręcznik, którym związaliśmy mu stopy. Jefferson Hope wstał i rozprostował nogi, jak gdyby chciał się upewnić, że nie są spętane. Pamiętam, iż przyglądając mu się, pomyślałem sobie, że mało widziałem ludzi zbudowanych równie silnie jak on. Na jego ciemnej, ogorzalej twarzy malował się wyraz stanowczości i energii, która swoją potęgą imponowała nie mniej od jego siły osobistej.

— Jeśli stanowisko naczelnika policji jest wolne — rzekł, patrząc na Holmesa z nieukrytym podziwem — pan powinien je otrzymać bezwarunkowo. Sposób, w jaki pan mnie śledził, jest najlepszym świadectwem pańskich zdolności.

— Pójdziecie ze mną, sądzę — rzekł Holmes do obu policjantów.

— Mogę panów zawieźć — rzekł Lestrade.

— Dobrze! A Gregson wsiądzie razem ze mną. I pan, doktorze, także. Skoro brał pan tak żywy udział w tej sprawie, nie opuści nas pan teraz.

Przystaliśmy na to chętnie i zeszliśmy wszyscy razem. Więzień ani nie myślał o ucieczce, wsiadł spokojnie do dorożki, a my za nim. Lestrade wsiadł na kozioł, zaciął konia i niebawem stanęliśmy u celu. Wprowadzono nas do małego pokoju, gdzie inspektor policji zanotował nazwisko naszego więźnia i nazwiska tych, o których zamordowanie był oskarżony. Urzędnik, człowiek o bladej, nieruchomej twarzy, obojętnie wypełniał swoje obowiązki.

— Aresztowany w ciągu tygodnia stanie przed sądem — rzekł. — A tymczasem, czy ma pan co do powiedzenia, panie Jefferson Hope? Muszę pana ostrzec, że pańskie słowa będą spisane i że mogą następnie zostać użyte przeciw panu.

— Mam bardzo dużo do powiedzenia — odparł Hope wolno. — Chciałbym panom opowiedzieć wszystko.

— Czy nie lepiej zachować to, jak pan stanie przed sądem? — spytał inspektor.

— Kto wie, czy ja tam kiedy stanę przed sądem — odparł Hope. — Niech się panowie nie niepokoją. Nie myślę bynajmniej o samobójstwie. Czy pan jest doktorem? — dodał, zwracając na mnie ciemne, przenikliwe oczy.

— Tak jest — odparłem.

— Proszę, niech pan przyłoży rękę tutaj — rzekł, uśmiechając się i podnosząc skutą dłoń do piersi.

Uczyniłem, jak chciał, i wnet odczułem gwałtowne bicie serca i zaburzenia wewnętrzne. Zdawało się, że cała klatka piersiowa drży i chwieje się, jak wątyły budynek, w którego wnętrzu porusza się potężna machina. W ciszy panującej w pokoju mogłem dosłyszeć głuchy szmer i świst pochodzący z tego samego źródła.

— Ależ — zawołałem — pan ma rozszerzenie aorty!

— Tak mi to nazwali — odparł obojętnie. — Byłem u doktora w zeszłym tygodniu, żeby się poradzić, i powiedział mi, że aorta pęknie lada dzień. Przez tyle lat z każdym rokiem jest gorzej. To skutek nadmiernego zmęczenia i marnego odżywiania się w górach Salt Lake. Ale teraz, skoro spełniłem swoje zadanie, wszystko mi jedno, kiedy umrę. Chciałbym tylko opowiedzieć swoją historię, bo mi zależy na tym, żeby nie pozostawić wspomnienia popolitego mordercy.

Inspektor i dwaj policjanci odbyli śpieszną naradę nad tym, czy należy zadośćuczynić żądaniu aresztanta.

— Panie doktorze, czy uważa pan, że temu człowiekowi grozi niebezpieczeństwo nagłej śmierci? — zapytał inspektor.

— Niewątpliwie! — odparłem.

— W takim razie naszym obowiązkiem jest w interesie sprawiedliwości wysłuchać zeznania — rzekł inspektor. — Proszę, niech pan mówi, ale ostrzegam pana ponownie, że każde słowo pańskie będzie zapisane.

— Usiądę, jeśli pan pozwoli — rzekł aresztant, zamieniając słowa w czyn. — Męcę się prędko skutkiem choroby, a walka, jaką z panami stoczyłem przed godziną, nie poprawiła bynajmniej mego stanu. Stoję nad grobem, więc możecie panowie być pewni, że nie będę kłamać. Każde słowo, które powiem, będzie szczerą prawdą, a jaki panowie zrobią z tego użytek, to mi już wszystko jedno.

To mówiąc, Jefferson Hope oparł się o poręcz krzesła i zaczął następujące opowiadanie. Mówił tonem spokojnym, obojętnym, jak gdyby niezwykle przygody były najpospolitszymi w świecie. Mogę zaręczyć za dokładność poniższego sprawozdania, gdyż zacerpnąłem szczegóły z notatnika Lestrade'a, który skrzętnie notował słowa aresztanta.

— Przyczyny mojej nienawiści do tych dwu ludzi mało panów obchodzą — zaczął. — Powiem tylko, że spowodowali zgon dwojga ludzi — ojca i córki — i że skutkiem tego sami zasłużyli na śmierć. Tyle czasu wszakże upłynęło od chwili ich zbrodni, że niepodobna mi było szukać na nich sprawiedliwości w jakimkolwiek sądzie. Ponieważ zaś dla mnie ich wina nie ulegała wątpliwości, przeto postanowiłem, że sam będę ich sędzią i katem. Panowie uczyniliby tak samo, gdybyście byli na moim miejscu.

Młoda dziewczyna, o której wspomniałem, przed dwudziestu laty miała być moją żoną. Zmuszona do zaślubienia tego właśnie Drebbera, umarła z żalu i rozpacz. Z jej martwego palca zdjąłem ślubną obrączkę i poprzysiągłem sobie, że dogasające oczy Drebbera spoczną na niej, a ostatnią jego myślą będzie zbrodnia, za którą został ukarany. Nie rozstawałem się z obrączką i ścigałem go wraz z jego towarzyszem na obu półkulach, dopóki ich nie schwytałem. Myśleli, że mnie znużą i zniechęcą, ale omylili się. Jeśli umrę jutro, co jest bardzo możliwe, to przynajmniej zejść z tego świata z przeświadczeniem, że spełniłem swoje zadanie i spełniłem dobrze. Zginęli obaj, i to z mojej ręki. Teraz już niczego nie pragnę, niczego się nie spodziewam.

Oni byli bogaci, a ja byłem ubogi, tak że ściganie ich nie przyszło mi łatwo. Gdy przyjechałem do Londynu, musiałem wyszukać sobie jakieś zajęcie, żeby mieć z czego żyć. Powozić, jeździć konno było dla mnie rzeczą naturalną, jak chodzić. Zgłosiłem się do biura pewnego właściciela dorożek i niebawem dostałem u niego miejsce. Miałem obowiązek przynosić co tydzień pryncypałowi<sup>51</sup> pewną sumę, a to, co zarobiłem więcej, mogłem zachować dla siebie. Rzadko kiedy wprawdzie zdarzało się, żebym miał przewyżkę, ale jakoś sobie radziłem. Najtrudniejszym zadaniem dla mnie było orientowanie się w mieście, bo ze wszystkich labiryntów na świecie Londyn jest chyba najzawilszy. Miałem wszakże zawsze przy sobie plan ulic, a skoro tylko zapamiętałem położenie głównych hoteli i dworców, już sobie jakoś dawałem radę.

Upłynął czas jakiś, zanim odszukałem mieszkanie moich dwóch wrogów, ale pytałem się i dowiadywałem, dopóki w końcu ich nie odnalazłem. Mieszkali w pensjonacie w Camberwell, z tamtej strony rzeki. Z chwilą gdy wiedziałem, gdzie ich mogę schwytać, byli na mojej łasce. Zapuściłem brodę, tak że nie mogliby mnie poznać. Postanowiłem ich śledzić, szpiegować i czekać na odpowiednią sposobność. Poprzysiągłem sobie, że tym razem już mi nie ujdą.

A jednak pomimo tego wszystkiego o mało co mi się nie wymknęli. Gdziekolwiek się ruszyli, dążyłem za nimi. Niekiedy ścigałem ich dorożką, niekiedy pieszo, ale pierwszy sposób był lepszy, bo wówczas miałem pewność, że nie stracę ich z oczu. Tylko wczesnym rankiem lub późnym wieczorem mogłem cokolwiek zarobić, tak że stopniowo zadłużyłem się u swego pryncypała. Nie troszczyłem się wszakże o to, skoro tym kosztem mogłem być ciągle na tropie swoich wrogów.

<sup>51</sup>pryncypał (daw.) — szef, pracodawca. [przypis edytorski]



Byli jednak przebiegli. Musieli widocznie podejrzewać, że mogą być ścigani, gdyż wychodzili tylko we dnie i nigdy jeden bez drugiego. Przez dwa tygodnie jeździłem za nimi codziennie i nigdy nie widziałem ich osobno. Drebbler przeważnie był pijany, ale Stangersona nie widziałem nietrzeźwego. Śledziłem ich rano i pod wieczór — daremnie, ani cienia jakiej pomyslniej sposobności. Obawiałem się jedynie, żeby mi to wewnątrz nie pękło za wcześnie, zanim zdążę spełnić, co zamierzałem.

Nareszcie pewnego wieczora, jeżdżąc tam i z powrotem po ulicy Torquay Terrace, na której mieszkali, spostrzegłem, że przed ich dom zajeżdża dorożka. Po chwili wyniesiono pakunki, po czym wyszedł Drebbler, za nim Stangerson. Wsiedli do dorożki i odjechali. Zaciąłem konia i pojechałem również, nie tracąc ich ani chwili z oczu, wielce zaniepokojony, obawiałem się bowiem, że zamierzają opuścić Londyn. Przed stacją Euston wysiedli, a ja, poleciwszy jakiemuś chłopcu pilnować mojego konia, udałem się za nimi na peron. Słyszałem, jak dopytywali o pociąg do Liverpoolu, i odpowiedziano im, że jeden właśnie odszedł, a następny nadejdzie dopiero za kilka godzin. Stangerson był tym widocznie zirytowany, lecz Drebblerowi ta zwłoka była jakoś na rękę. Podszedłem do nich tak blisko w tłumie, jaki się przewijał na peronie, że słyszałem każde słowo ich rozmowy.

Drebbler powiedział jeszcze, że ma jakąś sprawę osobistą do załatwienia, że niedługo powróci, i chciał, żeby Stangerson na niego zaczekał. Ten nie chciał się na to zgodzić i przypomniał mu, że postanowili nigdy się nie rozstawać. Na to znów Drebbler odparł, że sprawa jest natury bardzo delikatnej i że musi iść sam. Nie mogłem tym razem dosłyszeć odpowiedzi Stangersona, ale tamten wybuchnął, zaczął mu wymyślać i kłąć i powiedział mu, że jest tylko jego płatnym sługą i nie ma najmniejszego prawa mu rozkazywać. Wobec tego sekretarz zaprzestał dalszych perswazji i zażądał tylko, aby jeśli Drebbler nie zdąży na pociąg, spotkali się w hotelu Halliday, na co znów Drebbler odparł, że powróci na peron przed jedenastą, po czym oddalił się.

Chwila, na którą czekałem tak długo, nadeszła nareszcie. Miałem zniechęconych wrogów w swej mocy. Gdy byli razem, mogli się bronić wzajemnie, ale rozłączeni byli na mojej łasce. Nie działałem wszakże z nierozważnym pośpiechem. Plan miałem od dawna ułożony. Zemsta przynosi zadowolenie zupełne tylko wtedy, gdy krzywdziciel ma czas uprzytomnić sobie, czyja ręka zadaje mu cios i z jakiego powodu spotyka go kara. Mój plan obmyślony był właśnie w ten sposób, żeby sprawca moich katuszy widział jasno, iż jego dawna zbrodnia zostaje ukarana.

Zdarzyło się, że kilka dni przedtem jakiś człowiek, który miał nadzór nad kilkoma domami na Brixton Road, zostawił klucz od jednego z nich w mojej dorożce. Tego samego wieczora zgłoszono się po ten klucz i został oddany. Ja jednak miałem czas zrobić z niego odcisk i następnie sfabrykowałem taki sam. Tym sposobem zyskałem możliwość wejścia do jednego przynajmniej schronienia w tej olbrzymiej stolicy, gdzie mogłem być pewien, że mi nikt nie przeszkodzi. Teraz pozostało mi jednak zadanie najtrudniejsze: wciągnąć Drebblera do tego pustego domu.

Drebbler szedł pieszo i po drodze wstępował do kilku szynków. W ostatnim pozostał przez prawie pół godziny, a gdy wyszedł, chwiał się na nogach i był widocznie dobrze podchmielony. Tuż przede mną stała dorożka, do której wsiadł. Jechałem za nią tak blisko, że pysek mego konia był od niej oddalony zaledwie o łokieć. Minęliśmy most Waterloo i mnóstwo ulic, aż wreszcie, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, znaleźliśmy się znów przed domem, w którym Drebbler dotąd mieszkał. Nie mogłem pojąć, co miał znaczyć ten powrót, co Drebbler zamierzał. Ujechałem jeszcze kawałek drogi i zatrzymałem się nieopodal domu. Gdy Drebbler wysiadł, dorożka odjechała... Proszę, niech mi pan da szklankę wody. Zasycha mi w gardle, gdy długo mówię.

Podał mi szklankę wody, którą wypił duszkiem.

— A... teraz mi lepiej — rzekł. — Otóż czekałem z jakiś kwadrans, gdy nagle rozległ się w domu hałas, jak gdyby rozpoczęła się bijatyka. W następnej chwili drzwi otworzyły się z trzaskiem i ukazali się dwaj mężczyźni. Jednym z nich był Drebbler, a drugim młody chłopak, którego jeszcze nigdy nie widziałem. Chłopak trzymał Drebblera za kołnier, a gdy stanęli na schodkach przed domem, pchnął go i kopnął nogą tak silnie, że tamten potoczył się na środek ulicy. „Ty psie jakiś! — krzyczał, grożąc mu kijem — Ja cię nauczę

żyć uczciwą dziewczynę!”. Był tak wzburzony, że myślałem, iż zacznę okładać kijem Drebbra, ale on, zataczając się, uciekał, co mu sił starczyło, i ujrawszy na rogu moją dorożkę, wskoczył do niej i krzyknął: „Do hotelu Halliday”.

Świadomość, że mam go nareszcie w swojej mocy, przejęła mnie taką radością, serce zakolało mi tak silnie, że obawiałem się, że moje cierpienie spleta mi figla w ostatniej chwili. Jechałem wolno, rozważając, jak najlepiej postąpić. Byłem już prawie zdecydowany wywieźć go za miasto i tam, w jakimś samotnym ustroniu, gdziekolwiek w polu, rozmówić się z nim po raz ostatni, gdy on sam nastreczył mi sposób rozstrzygnięcia sprawy. Ogarnęła go ponowna żądza wódki i kazał stanąć przed szynkiem. Wsiadł, polecił mi czekać i wszedł do środka, gdzie pozostał aż do zamknięcia, a gdy się znów zjawił, był w takim stanie, że miałem go całkowicie w swoich rękach.

Niech sobie panowie nie wyobrażają, że zamierzałem go zabić z zimną krwią. Jakkolwiek byłoby to tylko wymierzeniem sprawiedliwości, nie mogłem jednak się przewyciężyć. Od dawna postanowiłem, że dam mu sposobność ocalenia życia, jeśli zechce z niej skorzystać.

Pośród licznych zajęć, jakie wykonywałem w ciągu tułaczego życia w Ameryce, byłem też przez czas jakiś posługaczem i preparatorem w York College. Pewnego dnia profesor miał wykład o truciznach i pokazywał studentom jakiś alkaloid, jak go nazywał, który otrzymał z jadu używanego przez mieszkańców Ameryki Południowej do zatruwania strzał. Profesor zapewniał, iż najmniejsze ziarnko tej trucizny powoduje natychmiastową śmierć. Zapamiętałem flaszeczkę zawierającą tę substancję, a gdy wszyscy wyszli, wziąłem niewielką ilość.

Stałem się skutkiem wprawy niezłym preparatorem, z łatwością zatem zrobiłem z owego alkaloidu małe, rozpuszczalne w płynie pigułki, po czym wziąłem pudełeczka i do każdego z nich włożyłem po dwie jednakowe pigułki, jedną zabójczą, a drugą nieszkodliwą. Wówczas to postanowiłem, że gdy nareszcie nadejdzie odpowiednia sposobność, zaproponuję każdemu z moich wrogów, aby wybrali po jednej pigułce, gdy ją połkną tę, która pozostanie. Było to równie śmiertelne, a o wiele mniej hałaśliwe niż strzelanie z rewolweru przez chustkę do nosa. Od owego dnia nie rozstawałem się z pigułkami i oto właśnie nadszedł czas skorzystania z nich.

Dochodziła już pierwsza po północy, noc była ciemna, wicher dał przeraźliwie, deszcz lał jak z cebra. Pomimo, że świat był ponury, w moim sercu panowała radość tak wielka, że mógłbym krzyczeć głośno z uciechy. Jeśli któryś z panów pragnął kiedyś czegoś ze wszystkich sił duszy, jeśli łaknął tego przez lat dwadzieścia i naraz wszystkie jego nadzieje się spełniły, ten mnie zrozumie.

Zapaliłem cygaro dla uspokojenia nerwów, ale ręce mi drżały i czułem przyśpieszone bicie tętna w skroniach. Jadąc, widziałem przed sobą twarz starego Johna Ferriera i słodkie oblicze Lucy, którzy wśród ciemności patrzyli na mnie z uśmiechem; a widziałem wyraźnie, jak widzę tu panów wszystkich w pokoju. Przez cały czas towarzyszyli mi z obu stron konia, dopóki nie stanąłem przed domem na Brixton Road.

Dokoła nie było widać żywej duszy, nie odzywał się najłżejszy dźwięk oprócz plusku deszczu. Gdy zajrzałem przez szybę do dorożki, spostrzegłem Drebbra na wpół leżącego, pogrążonego w głębokim śnie pijaka. Potrzęsnałem nim mocno, mówiąc:

— Czas wstać!

— Bardzo dobrze, mój przyjacielu — odparł.

Przypuszczał widocznie, że zajechaliśmy przed hotel, o którym mówił, bo wyszedł, nie mówiąc już słowa, i poszedł ze mną przez ogród. Musiałem iść tuż obok niego, aby go podtrzymać, bo z trudnością trzymał się na nogach. Gdyśmy doszli do drzwi, otworzyłem je i wprowadziłem go do frontowego pokoju. Daję panom słowo, że przez całą drogę ojciec i córka szli przed nami.

— Piekielnie tu ciemno — odezwał się Drebbber, tupiąc nogą.

— Zaraz będziemy mieli światło — rzekłem, pocierając zapałkę i przytykając ją do woskowej świecy, którą przyniosłem ze sobą. — A teraz, Enochu Drebbber — ciągnąłem dalej, zwracając się do niego i oświetlając własną twarz — przyjrzyj mi się, poznajesz mnie?

Zemsta

Patrzył na mnie chwilę mętnymi oczyma pijaka, po czym ujrzałem w nich nagle grozę, która wykrzywiła straszonym skurczem jego twarz i wskazała mi, że mnie poznał. Pobladał śmiertelnie, zachwiał się, zatoczył w tył, widziałem, jak kroplisty pot wystąpił mu na czoło, słyszałem, jak szczękały mu zęby. Na ten widok oparłem się plecami o drzwi i roześmiałem się na całe gardło. Myślałem zawsze, że zemsta musi być słodka, ale nigdy, w najśmielszych warunkach, nie spodziewałem się doznać takiego uczucia rozkoszy, jakie teraz przepęlniało moją duszę.

— Ty psie! — rzekłem w końcu. — Ścigałem cię od Salt Lake City do Petersburga, a zawsze mi się wymykałeś. Teraz nareszcie skończyły się twoje wędrówki, bo albo ty, albo ja nie ujrzemy jutrzejszego słońca.

W miarę jak mówiłem, Drebber cofał się coraz dalej i wyczytałem z wyrazu jego twarzy, że przypuszczał, iż oszalałem. Na razie istotnie byłem w szale. Tętna biły mi w skroniach coraz silniej i zdaje mi się, że byłbym dostał ataku, gdyby krew nie puściła mi się nosem, co mi przyniosło ulgę.

— Przypominasz sobie teraz Lucy Ferrier? — zawołałem, zamknąwszy drzwi na klucz, którym wymachiwałem mu przed nosem. — Kara kazała czekać na siebie długo, prawda, ale dzień zemsty nadszedł nareszcie.

Nędznik drżał na całym ciele, słuchając tych słów. Byłby mnie niewątpliwie błagał, żebym mu darował życie, lecz widział dobrze, iż mu się to na nic nie zda.

— Chcesz mnie zamordować? — wyjąkał.

— To nie będzie morderstwo — odparłem. — Czy zabicie wściekłego psa można nazwać morderstwem? A ty miałeś litość nad moją ukochaną dziewczyną, gdyś ją oderwał od zwłok ojca i zabrał do swego przeklętego, hańbiącego haremu?

— To nie ja zabiłem jej ojca! — zawołał.

— Ale ty zламаłeś jej młode życie! Niech Bóg Najwyższy będzie naszym sędzią. Wybierz jedną z tych dwóch pigulek i połknij. Ja wezmę tę, którą ty pozostawisz. Zobaczmy, czy jest sprawiedliwość na ziemi, czy też rządzi nami tylko przypadek.

Padł na kolana, krzycząc i błagając litości, ale wy dobyłem nóż i trzymałem mu go na gardle, dopóki mnie nie usłuchał. Potem połknąłem drugą pigułkę i staliśmy naprzeciw siebie w milczeniu przez jakąś minutę mniej więcej. Który z nas umrze, a który żyć będzie?

Chyba nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy, gdy pierwsze bóle ostrzegły go, że to on połknął truciznę. Roześmiałem się na ten widok i podsunąłem mu pod oczy obrączkę ślubną Lucy. Trwało to jednak krótką chwilę, bo trucizna działała piorunująco. Skurcz straszego bólu wykrzywił mu całą twarz, wyciągnął ręce przed siebie, zatoczył się i wydając ochrypły krzyk, runął na ziemię. Odwróciłem go wówczas nogą i przyłożyłem mu dłoń do serca. Nie wyczułem najlżejszego ruchu. Nie żył.

Krew ciekła mi ciągle z nosa, ale nie zwracałem na to uwagi. Nie wiem, co mi wpadło do głowy, żeby napisać coś krwią na ścianie. Może kierowała mną złośliwa chęć wprowadzenia policji na fałszywy trop — tak mi było błogo i wesoło w owej chwili!

Przypomniałem sobie, że w Nowym Jorku znaleziono zamordowanego Niemca, nad którym wypisany był wyraz „RACHE”. Dzienniki dowodziły wówczas, że zbrodnia musiała być popełniona przez jedno z tajnych stowarzyszeń. Pomyślałem sobie, że to, co zdziwiło i zaintrygowało nowojorczyków, wprawi w nie mniejsze zdumienie i londyńczyków. Umoczyłem tedy palec we własnej krwi i wypisałem ten sam wyraz drukowanymi literami w odpowiednim miejscu. Następnie wyszedłem i powróciłem do dorożki. Pogoda była w dalszym ciągu okropna, a dokoła zupełna pustka.

Gdy ujechałem kawałek drogi, wsunąłem rękę do kieszeni, gdzie chowałem zawsze obrączkę Lucy, i przekonałem się, że jej nie ma. Odkrycie to przeraziło mnie niesłychanie, była to bowiem jedyna pamiątka, jaką po niej miałem. Przypuszczając, że upuściłem obrączkę, gdy schylałem się nad zwłokami Drebbera, zawróciłem i zostawiwszy dorożkę na bocznej ulicy, poszedłem śmiało do domu. Byłem bowiem zdecydowany raczej odważyć się na wszystko niż stracić obrączkę. Ale gdym wchodził, wpadłem na policjanta, który wychodził, i tylko udając pijanego, zdołałem rozproszyć jego podejrzenia.

Tak tedy zmarł Enoch Drebber. Pozostało mi jeszcze załatwić to samo z Stanger-sonem i spłacić w ten sposób dług Johna Ferriera. Wiedziałem, że mieszka w hotelu Halliday, i czatowałem tam przez cały dzień, ale się nie pokazał. Zdaje mi się, że coś po-

dejrzał, gdy Drebber nie powrócił. Stangerson był bardzo przebiegły i miał się zawsze na baczości. Jeśli wszakże myślał, że ujdzie mojej zemście, siedząc w domu, mylił się bardzo.

Z łatwością odnalazłem okno jego sypialni, nazajutrz wczesnym rankiem skorzystałem z drabiny, która leżała na uliczce za hotelem i o szarym świetle dostałem się do pokoju Stangersona. Zbudziłem go i powiedziałem mu, że nadeszła godzina zemsty za jego dawne zbrodnie. Opisałem mu śmierć Drebbera i dałem mu tak samo do wyboru pigułki. Zamiast skorzystać z tej szansy ratunku, jaką mu ofiarowałem, wyskoczył z łóżka, rzucił się na mnie i chwycił mnie za gardło. Broniąc się, wbilem mu nóż w serce. Zresztą tak czy owak byłby umarł, gdyż Opatrzność nie dopuściłaby nigdy, aby jego zbrodnicza ręka wybrała pigułkę bez trucizny.

Niewiele mam już do powiedzenia. I dobrze, bo jestem zupełnie wyczerpany. Przez kilka dni jeździłem dorożką, zamierzając zebrać tyle, aby mi starczyło na powrót do Ameryki. Dzisiaj stałem na podwórku, gdy jakiś oberwany chłopak podszedł ku mnie i powiedział, że właśnie przysłał go po dorożkę jakiś pan z Baker Street 221 b.

Pojechałem pod wskazany adres, nie podejrzewając nic złego, a w następnej chwili ten oto młodzieniec ubrał mnie w niesłychanie zręczny i elegancki sposób w bransoletki. Taka jest moja historia, panowie. Możecie mnie uważać za mordercę, lecz moim zdaniem jestem takim samym narzędziem sprawiedliwości jak i wy, panowie.

Opowieść Jeffersona Hope'a tak pochłonęła naszą uwagę, a jego sposób mówienia oddziałł na nas tak głęboko, że zrazu siedzieliśmy milczący i pogrążeni w zadumie. Nawet zawodowi detektywi, chociaż otrząskani z najrozmaitszymi zbrodniami, byli widocznie bardzo wzruszeni tą historią. Gdy skończył, siedzieliśmy przez kilka chwil w milczeniu, które przerywał tylko zgrzyt ołówka Lestrade'a, kończącego swe notatki.

— Chciałbym jeszcze tylko wyświetlić jeden szczegół — rzekł w końcu Sherlock Holmes. — Kim był pański współnik, który przyszedł po obrączkę?

Aresztant mrugnął żartobliwie na mego przyjaciela.

— Mogę zwierzyć się panu z moich własnych tajemnic — rzekł — ale nie chcę zdradzać cudzych i przyczyniać ludziom kłopotu. Przeczytałem pańskie ogłoszenie i pomyślałem sobie, że to może być albo podstęp, albo też ta obrączka, której szukałem. Mój przyjaciel ofiarował mi swoje usługi, powiedział, że pójdzie i zobaczy. Przyzna pan chyba, że wywiązał się z zadania sprytnie.

— Tak, bardzo.

— A teraz, panowie — odezwał się inspektor poważnie — formalności prawne muszą być dopełnione. W czwartek aresztant stanie przed sądem, a wówczas obecność panów będzie potrzebna. Do tego czasu ja za niego odpowiadam.

Mówiąc to, zadzwonił i ukazali się dwaj strażnicy, którzy wyprowadzili Jeffersona Hope'a, po czym wyszliśmy z Holmesem, wsiedliśmy do dorożki i pojechaliśmy na Baker Street.

## ROZDZIAŁ VII. ZAKOŃCZENIE

Otrzymaliśmy wszyscy wezwanie do sądu na czwartek. Ale gdy dzień ten nadszedł, zeznania nasze stały się zbyteczne. Najwyższy Sędzia wziął tę sprawę w swoje ręce, a Jefferson Hope powołany został przed jedyny trybunał, który wymierza ścisłą sprawiedliwość. W nocy po aresztowaniu nastąpiło u Hope'a pęknięcie aorty i dozorca znalazł go rano wyciągniętego na podłodze w celi. Twarz miał uśmiechniętą, spokojną, jak gdyby w chwili zgonu oczyma duszy spoglądał na życie spędzone użytecznie, na spełnione zadanie swego przeznaczenia.

— Gregson i Lestrade będą wściekli, że umarł — zauważył Holmes, gdy mówiliśmy o tym następnego wieczoru. — Co się stanie z ich wielką reklamą?

— Nie uważam, żeby mieli jakiś udział w schwytaniu Hope'a — odparłem.

— Na tym świecie nie tyle znaczy to, co człowiek zrobi istotnie — odpowiedział mój towarzysz z goryczą — lecz to, co zdoła wmówić w innych, że zrobił. Mniejsza o to — ciągnął po chwili weselszym tonem. — Byłbym niepokieszony, gdyby mnie ta sprawa ominęła. Nie pamiętam równie zajmującej. Jakkolwiek taka prosta, niemniej zawierała kilka bardzo pouczających dla mnie faktów.

Zemsta

Śmierć

— Taka prosta! — zawołałem.

— Oczywiście, nie można doprawdy określić jej inaczej — rzekł Sherlock Holmes, uśmiechając się z mojego zdumienia. — A dowodem, jak dalece była prosta, jest fakt, że bez żadnej pomocy, z wyjątkiem kilku bardzo zwykłych wniosków, zdołałem pochwycić przestępcę w ciągu trzech dni.

— To prawda — odrzekłem.

— Wyjaśniłem już panu, że wszystko, co przekracza granice zwykłych wydarzeń, jest raczej wskazówką niż przeszkodą. W sprawie tego rodzaju główną rzeczą jest snuć wniosków wstecz. Jest to bardzo proste i bardzo użyteczne, ale ludzie mało się tym posługują. W życiu powszednim istotnie użyteczniejsze jest wysnuwanie wniosków na przyszłość i dlatego ludzie zaniedbują tamten system. Na pięćdziesięciu ludzi działających na zasadzie syntezy zaledwie jeden swoje działanie opiera na analizie.

— Wyznaję — rzekłem — że nie bardzo pana rozumiem.

— Domyślałem się tego. Spróbuję tedy wytłumaczyć się jaśniej. Większość ludzi, gdy im pan poda szereg następujących po sobie faktów, opowie panu zawsze, co z nich wynika. Połączą bowiem w myśli te fakty i wywnioskują z nich, co może się stać. Mało bardzo wszakże jest osób, które jeśli im pan poda wynik, zdołają odtworzyć sobie w umyśle różne okoliczności, jakie do tego wyniku doprowadziły. Tę zdolność odtwarzania nazywam właśnie wysnuwaniem wniosków wstecz lub analizą.

— Rozumiem — rzekłem.

— Otóż w tej ostatniej sprawie mieliśmy wynik, a resztę trzeba było odnaleźć samemu. Spróbuję teraz wykazać panu mój system działania. Zaczniemy od samego początku. Zbliżyłem się, jak panu wiadomo, do domu owego pieszo, mając umysł wolny od wszelkich wrażeń w danym kierunku. Zacząłem naturalnie od oglądania drogi i, jak panu już mówiłem, dostrzegłem wyraźnie ślady dorożki, która nie mogła tam być kiedy indziej niż w nocy. O tym zaś, że była to dorożka, a nie powóz prywatny, wywnioskowałem z wąskiego odstępu między kołami. Koła pospolitej londyńskiej dorożki są znacznie wężziej osadzone niż koła powozu prywatnego.

Zdobyłem tedy pierwszą wskazówkę. Następnie szedłem wolno ścieżką ogrodową, na której, ponieważ była gliniasta, odciskały się nader wyraźnie wszelkie ślady. Pan widział tam niewątpliwie tylko błotnistą, zdeptaną we wszystkich kierunkach drogę, lecz dla mego wprawnego oka każdy z tych śladów na jej powierzchni miał znaczenie.

Nie ma gałęzi wiedzy policyjnej, która byłaby tak ważna i taka zaniedbana, jak sztuka odczytywania śladów odcisniętych na ziemi. Na szczęście zawsze przywiązywałem do tego wielką wagę i dzięki długiej praktyce doszedłem do niemałej wprawy w tym kierunku. Oto dostrzegłem tam ślady ciężkiego chodu policjantów, ale także i ślady stóp dwóch mężczyzn, którzy pierwsi przechodzili przez ogród. Nietrudno było odgadnąć, że byli tam przed policjantami, bo miejscami ślady ich nóg były zupełnie zatarte przez ślady tych, którzy przyszli później. W ten sposób zyskałem już drugie ogniwo łańcucha, które mi wykazało, że gości nocnych było dwóch, z tych jeden niezwykle wysokiego wzrostu (wywnioskowałem to z długości jego kroków), a drugi modnie ubrany, sądząc z niewielkiego i zgrabnego kształtu śladów, jakie pozostawiły jego buty.

Wszedłszy do domu, przekonałem się, że moje ostatnie przypuszczenie się potwierdziło, mój wykwintnie obuty jegomość leżał przede mną. Ten wysoki zatem był sprawcą morderstwa, jeżeli w ogóle zostało popełnione morderstwo. Nieboszczyk nie miał nigdzie rany, ale wzburzony wyraz jego twarzy wskazał mi, że zmarły przewidział los, jaki go spotkał. Ludzie, którzy umierają skutkiem wady serca lub innej nagłej naturalnej przyczyny, nie mają nigdy takiej wzburzonej twarzy. Powąchawszy usta nieboszczyka, odczułem lekką kwaskową woń i stąd wywnioskowałem, że zmuszono go do zażycia trucizny. A że go zmuszono, dowiodła mi nienawiść i trwoga, jaka malowała się na jego martwym obliczu. Żadna inna hipoteza nie odpowiada tym faktom. Niech pan nie sądzi, że to taka niezwykła rzecz. Zmuszanie do zażycia trucizny nie jest bynajmniej rzeczą nową w rocznikach kryminalistyki. Wszystkim, którzy zajmowali się toksykologią, znane są sprawy Dolskiego w Odessie i Leturiera w Montpellier.

A teraz nasuwała się kwestia najpoważniejsza: powód zbrodni. Nie popełniono jej dla rabunku, gdyż zmarłemu nic nie zabrano. Jakaż więc była pobudka: polityka czy kobieta? — zadałem sobie pytanie i od razu ta druga wydała mi się prawdopodobniejsza. Zabójcy

polityczni działają śpiesznie, a gdy zrobią swoje, myślą już tylko o ucieczce. To zabójstwo zaś dokonane było z największym spokojem, a morderca pozostawił ślady swoje w całym pokoju, co wykazało, że pozostał do samego końca.

Tak systematycznie wykonaną zemstę mogła wywołać tylko krzywda prywatna, nie zaś polityczna. Po odkryciu napisu na ścianie byłem jeszcze bardziej przeświadczony o słuszności mego przypuszczenia. Ten napis był widocznie tylko zasadzką dla zmylenia śladów, a znaleziona obrączka potwierdziła ostatecznie moje domysły. Najwidoczniej morderca użył jej dla przypomnienia swojej ofierze jakiejś zmarłej lub nieobecnej kobiety. Wówczas spytałem Gregsona, czy w depeszy wysłanej do Cleveland pytał o jakiś specjalny szczegół z dawniejszego życia Drebbbera. Przypomina pan sobie, sądzę, że otrzymałem odpowiedź przeczącą.

Zabrałem się następnie do dokładnego obejrzenia pokoju, a to badanie utwierdziło mnie w przekonaniu, że nie omyliłem się co do wzrostu mordercy, i dostarczyło mi dodatkowych szczegółów, dotyczących cygara „Trichinopoly” oraz długości paznokci zabójcy. Poprzednio już doszedłem do wniosku, że skoro nie było śladów walki, znajdujących się na ziemi krew polała się z nosa mordercy, skutkiem jego nadmiernego uniesienia. Dostrzegłem, że ślady krwi idą równo ze śladami jego kroków. Rzadko się zdarza, żeby podobny przypadek zdarzył się skutkiem wzruszenia człowieka, który nie jest bardzo krwisty. Zaryzykowałem tedy przypuszczenie, że zabójca jest człowiekiem silnym i ma rumianą cerę. Dalsze wypadki dowiodły znów, że wnioskowałem słusznie.

Opuściwszy ten dom, zrobiłem to, czego Gregson zaniedbał. Zatelegrafowałem do naczelnika policji w Cleveland, ograniczając się do zapytania, co wie o okolicznościach związanych z małżeństwem Drebbbera. Odpowiedź była decydująca. Doniosła mi, że Drebbber zwracał się już z prośbą o opiekę prawa przeciw dawnemu rywalowi w miłości, Jeffersonowi Hope, i że tenże Hope przebywa obecnie w Europie. Miałem zatem już wszystkie nici tajemnicy w rękę, chodziło jeszcze tylko o schwytanie mordercy.

Nie wątpiłem już, że człowiek, który wszedł z Drebbberem do domu, był woźnicą dorożki, którą ten przyjechał. Ślady kopyt na ulicy wykazały mi, że koń powłókł się trochę dalej, czego nie mógłby zrobić, gdyby ktoś go pilnował. Gdzie zatem mógł być woźnica, jeśli nie w domu? Nadto trudno przypuścić, żeby człowiek przy zdrowych zmysłach popełniał z góry obmyśloną zbrodnię wobec osoby trzeciej, która by go niechybnie zdradziła. Wreszcie, jeśli ktoś chciał ścigać wroga w Londynie, jakież mógł obrać lepszy zawód niż zostać dorożkarzem? Te wszystkie rozważania doprowadziły mnie do niezbitego wniosku, że Jeffersona Hope'a należy szukać wśród dorożkarzy stolicy.

Jeśli bowiem był istotnie dorożkarzem, nie miał teraz powodu porzucić rzemiosła. Przeciwnie, z jego punktu widzenia jakakolwiek nagła zmiana zwróciłaby na niego uwagę. Byłem zatem pewien, że przynajmniej jeszcze przez jakiś czas pozostanie przy dotychczasowym zawodzie. Nie było też powodu przypuszczać, że ukrywał się pod przybranym nazwiskiem. Po cóż by miał zmieniać nazwisko w kraju, w którym nikt jego prawdziwego nie znał? Z tego powodu zorganizowałem swój oddział uliczników i posyłałem ich systematycznie do każdego właściciela dorożek w Londynie, dopóki nie wykryli tego, którego szukałem. Jak się wywiązali z zadania i jak szybko skorzystałem z ich odkrycia, pamięta pan chyba dobrze. Zamordowanie Stangersona było wypadkiem zupełnie niespodziewanym, ale niepodobna mu było zapobiec. Skutkiem tej zbrodni wszakże wpadły mi w ręce pigułki, których istnienia już się domyślałem. Jak pan widzi, cała ta sprawa stanowi nieprzerwaną i zupełnie logiczną łańcuch przyczyn i skutków.

— Ależ to kapitalne! — zawołałem. — Pańskie zasługi powinny być znane publiczności. Musi pan opisać tę sprawę, a jeśli pan tego nie uczyni, ja to zrobię za pana.

— Może pan robić, co zechce, doktorze — odparł Sherlock Holmes. — Ale proszę spojrzeć! — ciągnął dalej, podając mi dziennik. — Przeczytać to tutaj.

Było to „Echo” z tego samego dnia, a wskazany artykułik mówił właśnie o naszej sprawie.

Publiczność — brzmiał artykuł — straciła sensacyjny proces skutkiem naglej śmierci niejakiego Hope'a, podejrzanego o zamordowanie Enocha Drebbbera i Josepha Stangersona. Szczegóły morderstwa nie będą już prawdopodobnie wobec tego nigdy znane, chociaż wiemy z wiarodignego źró-

dła, że zbrodnia była wynikiem dawnego romantycznego zajścia, w którym wchodzą w grę miłość i mormonizm.

Zdaje się, że obie ofiary należały za młodych lat do sekty mormonów, a Hope, zmarły więzień, również pochodził z Salt Lake City. Sprawa ta nie dała żadnego rezultatu, lecz ma przynajmniej tę zasługę, że wykazała w świetny sposób zdolność naszej policji i posłużyła za naukę wszystkim cudzoziemcom, iż lepiej uczynią, gdy załatwiać będą swoje zatargi w domu, nie przenosząc ich na ziemię brytyjską. Jawną tajemnicą jest, że niełatwe, a tak zręczne schwytywanie domniemanego mordercy to zasługa wyłącznie dobrze znanych urzędników Scotland Yardu, panów Lestrade'a i Gregsona. Zbrodniarz został aresztowany podobno w mieszkaniu niejakiego Sherlocka Holmesa, który uprawia amatorsko rzemiosło detektywa i wykazał niejednokrotnie pewien spryt. Jest nadzieja, że mając takich nauczycieli, z czasem dojdzie w pewnej mierze do tej samej doskonałości co oni. Spodziewać się należy, iż obaj urzędnicy policyjni w uznaniu położonych zasług otrzymają odpowiednią nagrodę.

— Czy nie przepowiedziałem tego od samego początku? — zawołał ze śmiechem Sherlock Holmes. — Oto wynik wszystkich naszych zabiegów: zdobyć dla nich nagrodę!

— Mniejsza o to — odparłem. — Mam całą tę sprawę zapisaną w dzienniku i publiczność dowie się o wszystkim.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/doyle-studium-w-szkarlacie/>

Tekst opracowany na podstawie: Arthur Conan Doyle, tłum. E.S., Późna zemsta, Polski Dom Wydawniczy, Rzym 1947.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową w Warszawie w egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Biblioteki.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Danuta Pustówka, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-6777-2

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).